

Miłość, intryga i dramat w fascynującej powieści

MARY  
**SHELDON**

Wieloletnia dziennikarka  
i autorka powieści

**PUSZKA PANDORY**



WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLENIA

# *Sheldon Mary*

## *Puszka Pandory*

**Pandora marzy, by wyrwać się z małej miejsciny i z biedy. Pragnie blasku, szaleństwa, spełnienia - życia, jakie wie dzie jej wuj, hollywoodzki agent. Gdyby marzenia się spełniały...**

**I nagle dostaje szansę od losu. Staje się nową kobietą. Kobieta piękną, wpływową, pożądaną. Kobieta, która może uszczęśliwić... i która może zniszczyć.**

- Proszę - powiedział Gabriel, znów się ożywiając - niech się pani nad tym chwilę zastanowi. Ja poczekam, panno Everdene. Wyjdzie pani za mnie? Proszę, Batshebo. Kocham panią bardziej, niż to przyjęte!
- Nie mogę - odparła i cofnęła się.
- Ale dlaczego? - nalegał. Znieruchomiał, jakby przytłoczony pragnieniem zdobycia jej. Patrzył znad krzaków.
- Bo pana nie kocham... To się nie godzi, panie Oak.

**Thomas Hardy** *Z dala od zgiełku*

## **Prolog**

Zimno dzisiaj, ciągle kaszlę. Śpią, kaszel mnie budzi, wydaje mi się, że jestem zwierzyną, na którą polują. Śniło mi się, że Gene żyje. Pieprzyliśmy się na biurku w gabinecie. Troy też tam był, patrzył, ale nie było w tym niczego dziwnego. Podeszedł, pochylił się, przykrył dłonią moją pierś, uśmiechnął się. Ten uśmiech mnie zabolął, aż się obudziłam.

Wiatr wieje przez całą noc, gazety fruwią. „Variety” przy koszu na śmieci, jeśli tam dojdę. Jestem zbyt zmęczona, nie chce mi się wstawać. Ulicą idzie dziewczyna. Jasnowłosa, zalotna, w zwiewnej sukience. Jak ona, kiedy po raz pierwszy weszła do biura.

Pandora z mitu, ta która otworzyła puszkę i wypuściła wszystkie nieszczęścia tego świata.

## Gary

Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, miałem jedenaście lat. Był piękny ranek na pustyni koło Palm Springs; śpiewały ptaki, kwitły oleandry i świeciło wrześnie słońce. Był to jednak także pierwszy dzień szkoły, szóstej klasy, i nie miałem humoru, więc go nie doceniłem.

Jechałem do szkoły Tachevah Drive najwolniej, jak umiałem. I tak zbyt szybko dotarłem do znajomego budynku z czerwonej cegły i przypiąłem rower. Niewiele się zmieniło w podstawówce imienia Katherine Finchy, odkąd pożegnałem się z nią w czerwcu.

Moi przyjaciele już byli na boisku. Siłowaliśmy się trochę, graliśmy w piłkę ręczną, ale bez entuzjazmu.

Znudziłem się sobą. Spędziliśmy razem wszystkie letnie popołudnia: odwiedzaliśmy się w domach, bawiliśmy się w ogródkach, pływaliliśmy w basenach. Szybko zrezygnowaliśmy.

Zauważyłem nową uczennicę, kiedy tylko przeszła przez bramę. Była inna niż dziewczyny, które znałem. Po pierwsze, była bardzo blada - jej skóra przywodziła na myśl lody waniliowe i najlepszą porcelanę mamy. I miała na sobie sukienkę. Żadna znajoma dziewczynka tak się nie ubierała, chyba że do kościoła czy na przyjęcie urodzinowe, a i wtedy była to tylko bluzka i spódnica. A ta miała prawdziwą sukienkę, białą w kwiatki.

Ale przede wszystkim uderzyły mnie jej włosy. Długie, prawie do pasa, i złociste, zupełnie jak włosy filmowej Śpiącej Królewny.

Niosła płócienną torbę z książkami, która uderzała o jej nogi. Im bliżej nas była, tym wolniej szła.

- Wyglądasz jak robot! -zawołał ktoś.

Dziewczynka zaczerwieniła się, jakby oblano jej policzki szklanką burgunda.

- Jak się nazywasz? - zapytał ktoś inny. Pokręciła głową.

- Nie powiem wam.

Miała dziwny głos. Nigdy takiego nie słyszałem. Jakby mówiła w dwóch tonacjach jednocześnie.

Spodobało mi się, że nie chciała nam powiedzieć, jak ma na imię.

Zadzwoił dzwonek i koszmarna McClellan, z błękitnymi włosami i w rogowych okularach, wychyliła się z klasy.

Kazała nam wejść do środka i wybrać sobie miejsca.

Wszyscy puścili się pędem i wołali przyjaciół, żeby siadali koło nich. W poprzednich latach robiłem to samo, ale teraz czekałem. Byłem ciekaw, gdzie usiądzie nowa.

Weszła do klasy ostatnia. Zostały już tylko dwie ławki, te najgorsze, przy samych drzwiach. Usiadła w pierwszej, a ja w drugiej.

Czułem na sobie zdumione spojrzenia Bobby'ego i Toma, moich najlepszych kumpli.

- Witajcie, kochani - zaczęła McClellan z szerokim uśmiechem. - Daję słowo, wszyscy urosliście co najmniej dziesięć centymetrów, odkąd widziałam was ostatnio. Mam nadzieję, że mieliście udane wakacje i jesteście gotowi do pracy. - Poczekała na nieunikniony jęk, po czym ciągnęła: - Jak widzicie, mamy nową uczennicę. Niedawno przeprowadziła się do Palm Springs z Barstow i liczę, że pomożecie jej się tu zadomowić. - Wskazała ławkę przy drzwiach. - Moi drodzy, to Pandora Brown.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Pandora?

Zastanawiałem się, co podsunęło jej rodzicom takie dziwaczne imię. W zeszłym roku przerabialiśmy mity greckie i Rick Jameson palnął oczywisty żart:

- Puszka Pandory! - szepnął tak, że słyszeli go wszyscy poza starą McClellan.

Wiedzieliśmy, że „puszka” mówi się na intymne miejsca kobiece, i wszyscy zaczęli chichotać. Zerknąłem na Pandorę. Wbiła wzrok w ławkę, znowu czerwona jak burak.

Tego dnia nie słuchałem nauczycieli. Cały czas patrzyłem na Pandorę Brown, jak siedzi, jak trzyma pióro, jak bawi się srebrną bransoletką.

Przez cały ranek kombinowałem, jak zacząć z nią rozmowę. Chciałem podejść i powiedzieć: „Cześć, jestem Gary Ortiz. Moim zdaniem Pandora to superimię. Słuchaj, znam takie miejsce, gdzie łowi się ogromne zębacze. Jeśli chcesz, możemy tam pójść po szkole”. I po ostatniej lekcji Pandora wskoczy na bagażnik mojego roweru i pojedziemy.

Kiedy zadzwonił dzwonek, wszyscy zerwali się z miejsc i rzucili na boisko. Wszyscy oprócz Pandory. Nie ruszyła się z ławki. Kilkoro uczniów, widząc, że nie ma zamiaru wyjść, zatrzymało się tuż za drzwiami i czekało, co będzie dalej.

- Pandoro - pani McClellan mówiła głośno i powoli, jakby dziewczynka była niedorozwinięta. - Jest przerwa. Czas, żeby wyjść na dwór i się pobawić.

Pandora z ociąganiem wstała i podeszła do drzwi. Ledwie przekroczyła próg, dzieciaki otoczyły ją kołem.

- Pandora, Pandora! Puszka Pandory!

Dokuczali jej, śmiali się z jej imienia, z sukienki, z torby na książki, z włosów. To nie były złe dzieciaki, w każdym razie większość nich, po prostu chciały ją sprowokować. Gdyby nie zareagowała, po kilku minutach daliby jej spokój. Lecz Pandora oddychała tak szybko, jakby znalazła się w klatce z lampartem. A potem zamachnęła się torbą i zdzieliła Matta Meltzera w twarz.

Dzieciaki pobiegły na plac zabaw. Pandora wróciła do klasy i usiadła w ławce.

W południe wyjęliśmy z szafek drugie śniadania i poszliśmy na dwór. Tom i Bobby zajęli mi miejsce i usiadłem między nimi, jak zawsze, od czasów przedszkola. Szukałem wzrokiem Pandory, ale nigdzie jej nie widziałem.

Powiedziałem chłopakom, że zaraz wracam.

Znalazłem ją w końcu za szkołą. Siedziała na ziemi, w słońcu, i widziałem, jak jej blade kolana stają się czerwone.

- Dostaniesz udaru - ostrzegłem. Pokręciła głową.

- Nic mi nie będzie.

Pamiętam doskonale, pierwsze słowa, które powiedziała do mnie tym swoim dziwnym, dwutonowym głosem.

Zorientowałem się, że nie ma drugiego śniadania.

- Nie jesz? Wzruszyła ramionami.

- W mojej starej szkole była stołówka. Mamusia nie wiedziała, że ma mi dać śniadanie.

- Poczekaj chwilę.

Pobiegłem do naszej ławki i zabrałem swoje śniadanie.

- Jedzcie beze mnie - rzuciłem do chłopaków i odbiegłem, zanim zdążyli zapytać, o co chodzi.

Usiadłem koło Pandory i wyjąłem udko kurczaka.

- Proszę - podałem jej. - Moja mama zawsze daje mi za dużo.
- Dzięki. - Odgryzła kawałek i uśmiechnęła się. - Bardzo dobre.

Oparłem się o nagrzaną słońcem ścianę i patrzyłem, jak je. Nie powiedziałem tego, co sobie wymyśliłem, o wycieczce na ryby, ale to nie miało znaczenia. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu czuł się lepiej. Prawda jest chyba taka, że zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia.

Przed Pandorą wszyscy moi przyjaciele byli właściwie kopią mnie samego. Mieszkaliśmy w dzielnicy Mesquite, w domach ze stiukami, dachówką i basenem. Prezenty na urodziny kupowaliśmy sobie w sklepie z zabawkami Wuja Dona, a strzygliśmy się u Rona w centrum handlowym. Nasi rodzice wykonywali podobne zawody. Ojcowie byli właścicielami sklepów, hydraulikami, kierownikami budowy. Matki to recepcjonistki, pielęgniarki, nauczycielki. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu, spotykaliśmy się w centrum albo w domach, szaleliśmy na rowerach, pływaliliśmy, chodziliśmy do kina. W sobotnie ranki graliśmy w piłkę nożną, a po meczu szliśmy na koktajl mleczny do Shakeya. A ilekroć szykowała się jakaś wyjątkowa wyprawa, wyruszaliśmy wspólnie - jedna rodzina planowała, na przykład, wypad do Disneylandu, ale jechało ich co najmniej kilka.

Życie Pandory Brown wyglądało zupełnie inaczej. Po pierwsze, mieszkała w Domach Marzeń. Był to kompleks domków wybudowany w latach pięćdziesiątych dla ubogich rodzin. Od tamtego czasu dzielnica znacznie podupadła. Za dnia było tam jeszcze znośnie, lecz nocami miały miejsce włamania, napady, handel narkotykami, a nawet strzelaniny. Wszystkie znane mi dzieciaki miały zakaz chodzenia tam, pod groźbą szlabanu.

Mniej więcej po tygodniu od rozpoczęcia roku szkolnego Pandora zaprosiła mnie do siebie. Zapytałem, gdzie mieszka, a kiedy powiedziała, że w Chia Place, nie wierzyłem własnym uszom. Pomyślałem, że pewnie są dwa takie miejsca albo że pomyliła nazwę.

- O co chodzi? - pytała w kółko. Ale skoro nie wie, ja jej tego nie uświadomię.

Mało brakowało, a powiedziałbym, że nie mogę, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Postarałem się tylko, żeby mama się nie dowiedziała, dokąd idę.

Po lekcjach pojechaliśmy na rowerach do Pandory. Nigdy nie widziałem takiego domu. My chyba trochę przesadzaliśmy z troską o nasze domy: malowaliśmy je, zanim farba wyblakła, a w ogrodach nie było ani jednego chwastu. Natomiast dom Pandory był bardzo zaniedbany. W dachu jaśniały plamy po brakujących dachówkach, w szczelinach asfaltowego podjazdu zagnieździły się chwasty. Jednak Pandora nic nie powiedziała, więc i ja milczałem.



Także wewnątrz było trochę zapuszczone; zapamiętałem zakurzone pomarańczowe chodniki i tandetne meble. Ale pokój Pandory był super. Wypełniały go książki, ale nie powieści dla nastolatków, jakie czytaliśmy wszyscy, tylko książki dla dorosłych, poezja i biografie. Na ścianach powiesiła plakaty, ale nie z Madonną, tylko afisze ze starych filmów.

- *Obywatel Kane, Trzeci człowiek, Boże Narodzenie w lipcu* Kto to ogląda? - zażartowałem.

- Ja - odparła. - A plakaty dostałam od wujka Gene'a.

Jej rodziców nie było w domu, więc mieliśmy wszystkie pokoje dla siebie. Pandora wymyśliła świetną zabawę, krzyżówkę chowanego z zabawą w wampiry, i bawiliśmy się prawie do piątej, kiedy musiałem wracać. Gdy jechałem do siebie, przemknęło mi przez myśl, że może Domy Marzeń i Chia Place wcale nie są takie złe.

I tak się zaczęło. Aż do końca szóstej klasy, co najmniej dwa razy w tygodniu, zawsze w soboty i czasem też w niedziele, jechałem do Pandory. Najpierw prosto Sunrise, potem skręcałem w Ramon i dojeżdżałem do lotniska w Palm Springs. Do dziś pamiętam tę trasę.

Dopiero w październiku zebrałem się na odwagę i powiedziałem mamie, gdzie znikam. Odparła, że od dawna o tym wie - w miasteczku takim jak Palm Springs trudno utrzymać cokolwiek w tajemnicy. I póki wracam do domu przed zmierzchem, wszystko jest w porządku.

Kiedy po raz pierwszy zaprosiłem Pandorę do siebie, denerwowałem się, jak zareaguje na widok naszego domu. Był dużo większy i bardziej zadbane niż jej i bałem się, że będzie jej przykro. Ale chyba nie było. Powoli obeszła każdy pokój, podziwiała bibeloty mamy, zachwycała się wszystkim.

Bałem się także, że jako dziewczyna, nie zainteresuje się tym, co lubiłem: komputerami, komiksami i modelami samochodów. Ale ją ciekawiło wszystko. Najbardziej spodobał jej się kosz do koszykówki za domem. Graliśmy jeden na jednego przez całe popołudnie. Nie szło jej najlepiej i świetnie się bawiłem, drażniąc się z nią, rzucając tak, że nie była w stanie przejąć piłki.

Nie znosiła przegrywać.

Kiedy nadeszła pora kolacji, mama zaprosiła Pandorę, żeby z nami zjadła. Był to uroczy wieczór, chociaż z rozkoszą zamordowałbym Janinę, moją czternastoletnią siostrę, która przez cały czas rzucała złośliwe komentarze na temat „Gary'ego i jego dziewczyny”. Ulżyło mi, kiedy się zorientowałem, że Pandora nie zwraca na to uwagi.

Po kolacji powiedziała, że wróci do domu rowerem, ale oczywiście mama nie chciała o tym słyszeć. Zapakowaliśmy jej rower do bagażnika i odwieźliśmy ją do Domów Marzeń.

Kiedy podjeżdżaliśmy pod dom, zawahała się.

- Wejdziecie? - zapytała. Była zmieszana i wiedziałem, że nie chce, żeby mama zobaczyła, jak mieszka.

- Nie, dziś nie-odparłem szybko. - Muszę jeszcze odrobić lekcje. Uśmiechnęła się do mnie.

W drodze powrotnej zapytałem mamę:

- I co o niej sądzisz?

- Z pewnością ma charakter - odparła. - To mi się podoba.

- A w której jest szufladzie? - Mama w ten sposób klasyfikowała ludzi.

- Nie wiem, w dolnej czy w górnej - odpowiedziała po dłuższej chwili. Zapamiętałem to na zawsze.

W następny piątek w końcu poznałem jej mamę. Tego dnia Pandory nie było w szkole i znajomi zaproponowali, żebym wpadł z nimi po lekcjach na colę do Denny'ego.

Ledwie weszliśmy, zobaczyłem nową kelnerkę. Wyglądała jak z telewizji, miała długie rude włosy upięte w kok, usta pomalowane pomarańczową szminką i niebieskie brokatowe cienie na powiekach. Nosiła mnóstwo łańcuszków i bransoletek, w jej uszach dyndały długie kolczyki zakończone złotymi kulkami.

- Cześć, dzieciaki - powiedziała. - Co wam podać?

Julia Haight zerknęła na mnie, żeby się upewnić, czy wszystko słyszę.

- Cóż, przede wszystkim chcieliśmy się dowiedzieć, jak się czuje Pandora - zaczęła fałszywie słodkim dzieciennym głosem. - Nie było jej dzisiaj w szkole.

- Miło, że pytacie - odpowiedziała kelnerka. - Nic jej nie jest, to tylko przeziębienie.

Julia posłała mi tryumfalne spojrzenie i zrozumiałem, że ta dziwna kobieta to mama Pandory. Wziąłem się w garść i nie okazałem zdziwienia ani rozczarowania.

Kiedy poznałem panią Brown, bardzo ją polubiłem. Doszło nawet do tego, że podobało mi się, że tak bardzo różni się od innych mam. Nie obchodziło jej, jak wygląda dom, nie zależało jej, żeby zapisać się do jednego z licznych kobiecych stowarzyszeń, a jej umiejętności kulinarne to kpina. Kiedyś wysłała Pandorę do szkoły z surową rzepą w charakterze drugiego śniadania. Była pogodna i zabawna, i witała mnie serdecznie, ilekroć do nich przychodziłem.

Polubiłem też ojca Pandory, choć i on nie był taki jak inni ojcowie. Wszyscy znani mi ojcowie pracowali w sklepie albo w biurze, a pan Brown nie robił nic. Kiedy do nich wpadałem, zawsze siedział w saloniku i oglądał telewizję albo rozwiązywał krzyżówki.

- Twój tata nie pracuje? - zapytałem Pandorę.

- Już nie. Dawniej był tragarzem u Searsa, ale kilka lat temu spadła na niego lodówka i od tego czasu jest na rencie. Nie za bardzo wiedziałem, co to renta, ale brzmiało złowrogo. Natomiast Frank Brown nie był ani odrobinę złowrogi. Robił na mnie smutne wrażenie, kiedy tak całymi dniami siedział w ciasnym saloniku. Pandora powiedziała mi, że chętnie gra w karty, więc zawsze proponowałem mu partyjkę.

Szósta klasa była dla Pandory dość ciężka. Choć bardzo inteligentna, nie zawsze potrafiła skupić się na lekcjach i czasami nie odrabiała pracy domowej, więc nie miała najlepszych ocen. Nie była też zbyt popularna, nie starała się zaprzyjaźnić z innymi dziećmi. Wiedziałem, że jest po prostu nieśmiała, ale i tak było mi jej żal. Nikt jej nie lubił. Z powodu długich włosów i bladej cery dziewczyny nazywały ją Meduzą.

Pandora się nie przejmowała. Powtarzała, że dziewczyny są puste i głupie.

- Oprócz Steph, oczywiście - dodawała zawsze.

Steph Bradley to jej najlepsza przyjaciółka z Barstow, znały się od piaskownicy. Dużo słyszałem o Steph, o tym jak fajnie Pandora się z nią bawiła, i szczerze mówiąc, czasami byłem zazdrosny.

Aż w pewien weekend Steph przyjechała do Palm Springs i Pandora zaprosiła mnie, żebym ją poznał. Ku mojemu zdumieniu dogadywaliśmy się doskonale. Steph okazała się piegowatym łobuziakiem, zabawnym i pomysłowym, i we trójkę mieliśmy niezły ubaw. Jeździliśmy na deskorolkach po całej dzielnicy. Pandora wymyśliła nam przydomki: „Steph, Prawdziwa Przyjaciółka,” i „Gary, Kochany Kumpel”. Czułem się, jakbym zdał ważny egzamin. Liczyłem, że w miarę upływu czasu Pandora zaprzyjaźni się z innymi z Palm Springs, lecz tak się nie stało. Zawsze pozostawała z boku, zawsze była tą, o której szepczą inni. A ponieważ zawsze trzymaliśmy się razem, dotknęło to i mnie. Miałem wielu przyjaciół, teraz to się zmieniło. Dwie dziewczynki, które kochały się we mnie od przedszkola, nagle przestały mnie zauważać, a niektórzy chłopcy - ale nie Bobby i Tom - przestali mnie do siebie zapraszać.

Mama martwiła się, że nie jestem tak lubiany jak dawniej, ale mnie to nie obchodziło. Do szczęścia wystarczała mi Pandora Brown.

Czas spędzany z Pandorą... Teraz widzę, że tak naprawdę nie robiliśmy niczego wyjątkowego. Po prostu Pandora umiała wszystko zamienić w świetną zabawę.

Ciekawiło ją wszystko i niemal co tydzień miała nowe hobby. Przez pewien czas interesowało ją obserwowanie ptaków, potem skoki do wody, a następnie gimnastyka artystyczna. Podglądaliśmy sąsiadów, zbieraliśmy kamienie, piekliśmy chleb, pisaliśmy sztukę, przy czym pomagała nam nawet moja siostra Janinę.

Pandora uwielbiała chodzić po górach i często na całe popołudnia znikaliśmy w kanionie Taquitz. Już za pierwszym razem dotarła do samego wodospadu. Byłem pod wrażeniem.

Najbardziej jednak lubiła stare filmy. Jej wujek Gene był agentem w Hollywood i przysyłał jej klasyki. Nigdy nie chodziliśmy do wypożyczalni wideo. Robiliśmy sobie prażoną kukurydzę, siadaliśmy na jej łóżku i oglądaliśmy wszystko, od *Obywatela Kane 'a* po *Filadelfię*.

Czasami - i to chyba lubiłem najbardziej - po prostu siedzieliśmy za jej domem i rozmawialiśmy. Uwielbiała snuć marzenia o przyszłości, choć jej plany ciągle się zmieniały. Czasami chciała być aktorką, innym razem malarką albo lekarzem pediatrą. Ale przede wszystkim pragnęła być bardzo bogata, żeby pewnego dnia móc zaopiekować się rodzicami.

Zazwyczaj na zakończenie popołudnia szliśmy na drugą stronę ulicy, na lotnisko Palm Springs. Staliśmy przy siatce i godzinami gapiliśmy się na startujące samoloty.

- Chciałabym tam być - wzdychała zawsze.

Nie podobało mi się, kiedy to mówiła. Wolałem nie myśleć, że kiedyś odejdzie.

Na Halloween przebrałem się za pirata, a Pandora za Audrey Hepburn ze *Śniadania u Tiffany 'ego*. Przyjechała do mnie i chodziliśmy po wszystkich sąsiadach. Skończyliśmy o ósmej, było już ciemno. Pandora zapewniała, że wróci sama, ale uparłem się, że ją odprowadzę. Wymknęliśmy się, żeby nie widziała nas moja mama.

Nigdy nie byłem w tej dzielnicy po zmierzchu; było strasznie. Nic się nie działo, ale agresja wręcz wisiała w powietrzu.

Kiedy skręciliśmy w uliczkę Pandory, stanęliśmy jak wryci. Już z daleka widzieliśmy, że dom jest zdemolowany. Na krzakach powiewały wstęgi papieru toaletowego, na werandzie poniewierały się sterty śmieci, ogrodzenie nikło pod świeżym graffiti.

Pandora przyglądała się zniszczeniom. W świetle ulicznej latarni widziałem, jak jej twarz przybiera odcień białego sera.

- Nienawidzę tego miejsca - syknęła. Mówiła twardo, jak dorosła. -Chcę się stąd wyrwać.

Nie wiedziałem, co zrobić, co powiedzieć, żeby poprawić jej humor. Zaczęła płakać, więc objąłem ją i przytuliłem, póki nie przestała.

Następnego dnia była sobota. Przyjechałem z samego rana i pomogłem im sprzątać.

W listopadzie w końcu poznałem wujka Gene'a, agenta z Hollywood. Przyjechał z Los Angeles na Święto

Dziękczynienia i Pandora zaprosiła mnie na deser.

Muszę przyznać, że wujek Gene nie przypadł mi do gustu. Wyglądał jak typowy agent, miał niestaranną fryzurę i koszulę rozpiętą niemal do pępka. W kółko opowiadał o swojej agencji, o aktorach i aktorkach, których prowadzi.

Nigdy o nich nie słyszałem, ale Pandora i jej ojciec chłonęli każde słowo.

Kiedy powiedziałem, że muszę już iść, wujek Gene uściśnął mi rękę.

- Fajny z ciebie chłopak, Larry - mruknął. - Jakbyś chciał się wkręcić do filmu, daj mi znać. Masz w sobie coś z Tomka Sawyera. Może uda mi się coś dla ciebie załatwić.

Zawstydziłem się, za to Pandora była wniebowzięta.

Następnego ranka zadzwoniła z wiadomością, że wujek Gene zaprasza ją na weekend do Los Angeles. Była bardzo podekscytowana, opowiadała, dokąd pójda i co będą robić.

- Przecież w sobotę mieliśmy iść w góry - przypomniałem. Umilkła. Szybko wziąłem się w garść i powiedziałem, że ma jechać do

Los Angeles i świetnie się bawić.

Przez cały weekend umierałem ze strachu, że zadzwoni i powie, że nie wraca, że zostaje tam na zawsze. Ale wróciła w niedzielne popołudnie i zaraz pognałem do niej na rowerze.

Buzia jej się nie zamykała, gdy opowiadała, jak było wspaniale.

- Poszliśmy do muzeum figur woskowych, na rynek i do La Brea. I widziałam agencję wujka Gene'a i takiego bardzo znanego agenta, który pracuje piętro wyżej.

Chyba miałem bardzo nieszczęśliwą minę, bo nagle się uśmiechnęła.

- Coś ci przywiozłam.

Podarła mi małego plastikowego Oscara, z plakietką z napisem NAJLEPSZY PRZYJACIEL NA ŚWIECIE.

- Nie jest autentyczny, wyprodukowano go w Chinach - tłumaczyła się. Nic mnie to nie obchodziło. To był najwspanialszy prezent, jaki w życiu dostałem.

Szóstego grudnia były urodziny taty. Umarł, kiedy miałem osiem lat, ale mama, Janinę i ja nadal obchodziliśmy jego urodziny. Piekliśmy tort i dawaliśmy sobie prezenty. Pewnego wieczoru, przy ogrodzeniu lotniska, opowiedziałem o tym Pandorze. Bałem się, że uzna nas za dziwaków, ale powiedziała, że jej zdaniem to cudowne.

- Jaki był? - zapytała.

Niewiele mówiłem o tacie, nadal mi go brakowało, ale Pandorze trochę opowiedziałem: jak lubił chodzić po górach i jak ładnie śpiewał.

Nagle nie mogłem mówić dalej. Bałem się, że wybuchnę płaczem. Pandora wzięła mnie za rękę i więcej o nim nie rozmawialiśmy. W dniu jego urodzin podeszła do mnie na przerwie i podała mi małą paczuszkę.

- Na cześć wiesz kogo.

W ostatni dzień szkoły, przed feriami bożonarodzeniowymi, piąte i szóste klasy wezwano na specjalny apel. Miał przemawiać znany artysta, ilustrator książek dla dzieci. On jednak, zamiast mówić, przeszedł po auli i wręczył każdemu arkusz papieru i ołówek.

- Chciałbym, żebyście coś narysowali, z natury - wyjaśnił. - Najlepiej poznaje się sztukę, uprawiając ją.

Rozejrzał się po sali pełnej dzieci i wskazał Pandorę.

- A ty będziesz modelką.

Zszedł ze sceny, zbliżył się do niej, podał ramię jak dorosłej kobiecie i poprowadził na podium. Widziałem, jak inne dziewczyny umierały z zazdrości.

Przez następne dwadzieścia minut mieliśmy naszkicować portret Pandory. Dziewczyna po mojej lewej stronie narysowała ją prostą, sztywną kreską, dziewczynka po prawej, jako potwora pokrytego łuskami.

Ja nie rysowałem. Patrzyłem na nią, taką cichą i piękną na krześle, z lekko uniesioną twarzą, z włosami przerzuconymi przez ramię, i pisałem jej imię i nazwisko różnymi charakterami pisma. *Pandora Brown. Pandora Brown. Pandora Brown.*

Tego dnia po lekcjach czekałem na nią przy szafkach. W końcu przyszła. Niosła spory arkusz.

- Co to? - zapytałem.

- Nieważnego.

Ale i tak go jej zabrałem. To był jej portret, narysowany przez artystę podczas apelu. Był tak piękny, że aż onieśmiał.

- Jest bardzo znany - powiedziałem. - Pewnie dostaniesz za to mnóstwo forsy.

Pandora się skrzywiła. Złapała arkusz w obie ręce i widziałem, że zaraz go podrze.

- Nie rób tego - poprosiłem. Znieruchomiła i spojrzała na mnie.

- Chcesz?

- No...-Wzruszyłem ramionami. W życiu niczego tak nie pragnąłem.

Byłem normalnym dwunastoletnim chłopcem i oczywiście snułem fantazje o Pandorze. Wyobrażałem sobie, że trzymamy się za ręce i całujemy, ale nigdy nie starałem się zrobić tego na jawie. Pandora ciągle śmiała się z dzieciaków, które ze sobą chodziły i uznałem, że na wszelki wypadek lepiej niczego nie próbować, żeby jej nie urazić. Najważniejsze, żebyśmy nadal się przyjaźnili, na resztę przyjdzie czas później. To jednak nie przeszkadzało mi być zazdrosnym niczym Otello.

W kwietniu do naszej szkoły przeniesiono nowego ucznia, Jasona Mos-sa. Widziałem, że Pandora wpadła mu w oko, ale nie miałem pojęcia, co ona o nim sądzi. Ilekroć o nim wspominałem, śmiała się tylko, ale tak kpiąco, że mogło to oznaczać wszystko. Doprowadzało mnie to do szału.

Pewnego ranka powiedziała, że zgubiła ulubiony breloczek, który zrobiła jej Steph. Po południu przechodziłem koło szafki Jasona i zobaczyłem breloczek na jego półce.

- Skąd go masz? - zapytałem.

- Nie twój interes.

Złapałem go, on się szarpnął, i ani się obejrzałem, a biliśmy się w najlepsze. Zbiegły się dzieciaki i zagrzewały nas do walki. Stara McClellan wyjrzała z klasy, zwabiona hałasem, i zaraz pognęła po dyrektora. Po chwili pan Beebe nas rozłączył i po raz pierwszy w życiu musiałem zostać za karę po lekcjach.

Siedziałem w jego gabinecie z okładem z lodu na oku. Szykował się niezły siniak, ale nie przegrałem walki, co było pewnym pocieszeniem.

Gdy otworzyły się drzwi, myślałem, że to pan Beebe przyszedł mi powiedzieć, że wylatuję ze szkoły. Ale to była Pandora. Poważna i przerażona. Podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

- Nie musiałeś tego robić, Gary - powiedziała. - Przepraszam, że się z tobą drażniłam.

W czerwcu skończyliśmy podstawówkę. Po rozdaniu świadectw Susan Chalmers urządzała imprezę. Nie byłem pewien, czy Pandora przyjdzie, ale była tam i świetnie się bawiliśmy. Graliśmy w ping-ponga i pluskaliśmy się w basenie przez całe popołudnie. Po kolacji Susan zaciągnęła wszystkich do siebie na oglądanie *Psychozy*. Pandora i ja niedawno

widzieliśmy ten film, więc zostaliśmy w salonie i bawiliśmy się planszą do wywoływania duchów. Nigdy przedtem nie miałem z tym do czynienia i początkowo nie wiedziałem, jak zmusić wskazówkę do poruszania się, ale w końcu drgnęła. Zadawaliśmy różne pytania, jednak cały czas otrzymywaliśmy bezsensowne odpowiedzi.

A potem Pandora zapytała:

- Za kogo wyjdę za mąż?

Wskazówka sunęła ku literze „J”. Pandora kochała się wtedy w Jonathanie Taylorze Thomasie i byłem pewien, że właśnie to ma oznaczać „J”, więc pchnąłem wskazówkę do „G”. Po „G” chciałem skierować ją na „A”, ale ani drgnęła i zdałem sobie sprawę, że to Pandora ją przytrzymuje, bo nie chce, żeby plansza podała moje imię.

Pchaliśmy oboje, aż wskazówka wystrzeliła jak z procy i pomknęła przez pokój. Roześmialiśmy się i nigdy do tego nie wracaliśmy.

Spędziliśmy razem prawie całe lato: chodziliśmy po górach, jeździliśmy na deskorolkach, siedzieliśmy w jej pokoju, oglądając filmy, lecz wrzesień nadszedł za szybko i poszliśmy do gimnazjum.

Ja byłem w Raymond Cree, a Pandora w Ellie Coffman. Powtarzałem sobie, że nie ma znaczenia, że chodzimy do różnych szkół, i rzeczywiście przez pierwszych kilka miesięcy nie miało, nadal często się widywaliśmy. Gnałem do niej na rowerze, kiedy tylko mogłem, nadal oglądaliśmy filmy na wideo, chodziliśmy na spacer i patrzyliśmy, jak startują samoloty.

Lecz po pewnym czasie musiałem przyznać, że nie jest już tak jak dawniej. Mieliśmy teraz inne zajęcia, innych nauczycieli, inne klasowe kawały. Kiedy dostałem się do szkolnej drużyny pływackiej, pochłonęły mnie treningi, potem Pandora zaangażowała się w szkolne kółko teatralne. W którymś momencie nie mieliśmy już dla siebie czasu. A później zauważyłem, że nawet kiedy jesteśmy razem, mamy coraz mniej wspólnych tematów. Nagle stała się wobec mnie nieśmiała, a ja uważałem na każde słowo. Było mi smutno, że nasza przyjaźń się rozpada, ale nie wiedziałem, jak to zmienić. Nadal marzyłem, że ją całuję, ale teraz byłoby to jeszcze bardziej niezręczne niż dawniej i nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by to zrobić.

W styczniu Andrea Cramer, najładniejsza dziewczyna w mojej klasie, zaprosiła mnie do kina. Zgodziłem się. Andrea dała mi bardzo jasno do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko całowaniu i przez cały film pieściliśmy się w ostatnim rzędzie.

Od tego czasu coraz rzadziej myślałem o Pandorze. Najpierw nie widywaliśmy się tygodniami, potem miesiącami.



Po dziewiątej klasie poszedłem do Palm Springs High School. Pandora też, ale i tak rzadko się spotykaliśmy - mieliśmy całkiem odmienne zainteresowania. Ja byłem wzorowym uczniem, przewodniczącym klubu informatycznego, i, dla równowagi, żeby nikt nie wziął mnie za kujona, grałem w obronie w szkolnej drużynie. Pandora miała przeciętne stopnie, nauka jej nie interesowała. Czasami mijaliśmy się na korytarzu, machaliśmy sobie i mówiliśmy „cześć”. I tyle. Trudno było uwierzyć, że kiedyś byliśmy sobie tak bliscy.

A potem, na jesieni w ostatniej klasie, był szkolny bal.

Chyba nie różnił się od innych szkolnych potańcówek, lecz dla mnie był inny, bardziej melancholijny, może dlatego, że rozpoczynałem ostatni rok w szkole. Wszyscy świetnie się bawili. Alicja Fern, z którą przyszedłem, szalała z koleżankami z drużyny cheerleaderek, a ja zastanawiałem się w kółko, jak bardzo zmieni się nasze życie w ciągu najbliższych lat.

Podszedłem do stołu z przekąskami i przekonałem się, że ktoś „podrasował” poncz. Z zasady nie piłem dużo, ale tego wieczoru wychyliłem kilka szklaneczek. Może nawet więcej niż kilka.

Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem Pandorę w ramionach mojego przyjaciela Billa Higginsa. Nie miałem pojęcia, że Bill w ogóle ją zna, ani że przyjdzie z nią na bal. Nie wiadomo dlaczego rozdrażnił mnie ten widok.

Kiedy taniec się skończył, Bill poszedł pogadać z chłopakami z drużyny i Pandora została sama.

Podszedłem do niej. Wyglądała jak syrena w ciemnozielonej sukni bez ramiączek, z rozpuszczonymi włosami.

- Nie wiedziałem, że tu będziesz - zacząłem.

- Żałuję, że przyszłam.

Wyszliśmy na dwór, na taras. Niebo jaśniało od gwiazd.

- Co u ciebie? - zapytałem.

- W porządku.

- Wiesz już, gdzie chcesz studiować? Wzruszyła ramionami.

- Ubiegam się o stypendium w uczelniach na Wybrzeżu Wschodnim, ale wątpię, żeby mnie przyjęli. Mam za kiepskie stopnie, więc pewnie wyląduję w College of the Desert.

- To dobra uczelnia... Ja też tam składam papiery - powiedziałem. Nie wydawała się zachwycona.

Zapytałem o rodziców.

- W porządku - odparła. - Mama nadal pracuje u Denny'ego. Powiedziałem, że czasami ją tam widuję.

- A twój tata nadal wszystkich ogrywa w karty?

- Oczywiście. A twoja mama i siostra?

Opowiedziałem, że Janinę wyszła za mąż i mieszka teraz w Dallas.

- A mama pracuje na pół etatu w sklepie, ale dokłada do tego fortunę. Ciągłe jej szkoda biednych klientów, daje im zniżki i potem pokrywa różnicę z własnej kieszeni.

Pandora się roześmiała.

I kiedy się śmiała, wyglądała jak dawna Pandora, jak jedenastoletnia dziewczynka, która tak powoli szła przez szkolne podwórze tamtego pierwszego dnia w szóstej klasie. I nagle, kiedy tak patrzyłem, jak się śmieje pod gwiazdami, w zielonej sukni syreny, wróciły stare uczucia i wiedziałem, co muszę zrobić. Wziąłem ją w ramiona i całowałem, całowałem...

Odsunęła się zmieszana po dłuższej chwili.

- Po tylu latach - westchnęła. Udawałem, że to wina ponczu.

Przez resztę roku szkolnego trzymałem się od niej z daleka. W kwietniu uczelnie ogłosiły listy przyjętych i nasza szkoła wywiesiła listę, kto gdzie będzie studiował. Pandora miała rację, jak ja trafiła do College of the Desert. Było mi jej żal, bo wiedziałem, jak bardzo chciała wyrwać się z Palm Springs.

W college'u nie miałem zbyt dużo wolnego czasu. Studiowałem ekonomię i informatykę, po zajęciach pomagałem w pracowni komputerowej. W weekendy dorabiałem w lokalnym warsztacie, żeby uezierać na motocykl.

Prowadziłem też bujne życie towarzyskie. Zawierałem nowe przyjaźnie i chodziłem z dziewczyną, którą poznałem na wykładzie z ekonomii, choć nie traktowałem jej poważnie. Daleko mi było do poważnego związku.

Na pierwszym roku widywałem Pandorę w stołówce albo w drodze na zajęcia. Zamienialiśmy kilka słów.

Studiowała dziennikarstwo, po dyplomie marzyła jej się praca w wiadomościach telewizyjnych. Moim zdaniem to był świetny pomysł, doskonale wyobrażałem sobie Pandorę Brown na ekranie.

Na drugim roku nie widywałem jej wcale, aż pewnego kwietniowego dnia wpadliśmy na siebie przed sklepem.

- Dawno cię nie widziałem - zacząłem. - Co słyhać? Spuściła wzrok.

- Rzuciłam studia - powiedziała. - Mój tata ma raka kości. Musiałam iść do pracy.

Uznałem, że to bez sensu, żeby przerywała naukę, ale nie miałem prawa tego powiedzieć. - Przykro mi - mruknąłem. - Pozdrów go ode mnie. Obiecała, że to zrobi.

Zanim znowu ją zobaczyłem, minęły dwa lata.

W pewien sobotni rano, mniej więcej miesiąc przed dyplomem, zadzwonił mój przyjaciel Tom i zaproponował, żebym wyskoczył z nim na przejażdżkę. Zgodziłem się ochoczo, paliłem się, żeby wypróbować w przełaju moje najnowsze cacko, yamahe OT 250. Pognaliśmy autostradą 111. Jechałem na wydmę. Mniej więcej w połowie wzgórza z silnika zaczął dochodzić dziwny pisk. Nim zareagowałem, świat uciekł mi spod kół, i ani się obejrzałem, wszystko ogarnęła ciemność.

Kiedy się ocknąłem, Tom stał nade mną. Było mi przede wszystkim głupio. Nie straciłem dużo krwi, rozciąłem sobie policzek, ale ramiona i klatkę piersiową miałem boleśnie otarte, a szary piach, który dostał się pod skórę, upodabniał mnie do wielkiego jaszczura.

Zanim dotarliśmy na ostry dyżur w szpitalu Eisenhowera, ból zaatakował. Wszystko wydawało się nierzeczywiste, jak sen. Tom mnie podtrzymywał, chociaż upierałem się, że mogę iść o własnych siłach.

Dotarliśmy do holu i recepcjonistka podniosła głowę. Pandora. Jęknęła na mój widok, pobladła. Wcale się nie zdziwiłem, że ją widzę - była po prostu częścią snu. Chciałem powiedzieć coś dowcipnego, ale zanim otworzyłem usta, zemdlałem.

Następnego dnia zadzwoniła do mnie do domu, żeby zapytać, jak się czuję. Zaprosiła mnie do siebie, kiedy będę w lepszej formie, i mniej więcej tydzień później do niej poszedłem. Było jak dawniej. Jej matka upiekła ciastka i opowiadała dowcipy, ojciec ograł mnie w karty. A Pandora krążyła dokoła jak piękny ptak o złotych piórach.

Po partyjce kart poszliśmy do jej pokoju. Włączyliśmy kasetę od wujka Gene'a, ale nie mogłem oderwać wzroku od Pandory. W połowie filmu objąłem ją i pocałowałem.

To, co stało się później, było chyba nieuniknione.

Pierwszy raz z Pandorą był bardzo słodki. Pamiętam, jak naturalne wydało mi się to, że w końcu się z nią Kocham. Chłód jej skóry, włosy tak złote, że niemal zielonkawe, jej ruchy pode mną; wszystko było znajome, jakby od dawna było częścią mnie.

Później obserwowałem ją, jak leżała. Kulila się jak dziecko, włosy opadały na bladą twarz. Pomyślałem: zawsze cię kochałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

Byliśmy razem ponad rok. To był cudowny czas. Miałem wrażenie, że wróciły beztrudne dni dzieciństwa. Pandora nadal potrafiła zrobić ze wszystkiego coś wyjątkowego i gdybym mógł, zatrzymałbym tamte chwile na zawsze. Nie była łatwą partnerką, miewała humory, ale uważałem się za szczęściarza, że ze mną jest. Czasami, kiedy szliśmy na spacer albo oglądaliśmy film, przyglądałem się jej i usiłowałem zrozumieć fakt, że w końcu, po tylu latach, Pandora Brown jest moja.

Po studiach postanowiłem założyć własną firmę, chciałem budować sieci dla małych lokalnych przedsiębiorstw. Miałem szczęście, od razu znalazłem klientów i nie mogłem się doczekać, kiedy będę obsługiwał całą dolinę Coachella.

Kiedy stan jej ojca się ustabilizował, liczyłem, że Pandora zmieni zdanie co do studiów, ale twierdziła, że już z tego wyrosła. Nie była jednak szczęśliwa, pracując na ostrym dyżurze, więc nie byłem pewien, czy postępuje słusznie. Oboje wyprowadziliśmy się od rodziców, lecz mniej więcej po dziesięciu miesiącach Pandora zrezygnowała z własnego mieszkania. Z jej ojcem znowu było gorzej i chciała pomóc matce opiekować się nim.

I mniej więcej wtedy zaczęło się między nami psuć.

Wyczuwałem, że powoli się ode mnie odsuwa. Nie pojmowałem dlaczego. Miałem wrażenie, że nudzi ją moje towarzystwo. Odwoływała randki, wymyślała wymówki, żeby do mnie nie przychodzić. Była niespokojna i roztargniona, kochaliśmy się coraz rzadziej.

Z jej ojcem było tak źle, że nie chciałem naciskać, ale myśl o przyszłości, naszym związku, nie dawała mi spokoju.

Bąłem się jednak poruszyć ten temat, bąłem się tego, co mogłaby mi powiedzieć.

Chyba za bardzo ją kochałem, żeby to usłyszeć.

## **Pandora**

Jest trzecia w nocy, już nie próbuję zasnąć. Przed agencją czekało dzisiaj dwóch dziennikarzy. Biegli za mną do samochodu i krzyczeli imię Troya, Johna Bradshawa.

Wyobrażam sobie, że mam magiczny guzik ucieczki. Zawsze wracam. Chyba nie powinnam. Tam to się zaczęło. To nie tak, że uważam, że mo-

głabym zmienić bieg wydarzeń, gdybym mogła cofnąć czas, na tyle nie oszalałam, ale jakoś mi z tym lepiej. Usiłuję sobie uświadomić, od czego to wszystko się zaczęło. Chyba w Nowy Rok. Tak, i właściwie to przeczuwałam. Pamiętam, jak się obudziłam i pomyślałam, że w tym roku wszystko będzie inaczej. Tamtego ranka długo leżałam w łóżku. Była mgła i już to wydawało się dziwne, magiczne. W Palm Springs rzadko jest mglisto; już to było wróżbą.

Wstałam i poszłam do kuchni zrobić rodzicom śniadanie. Zrobiłam francuskie tosty i zniosłam im do łóżka.

- Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, Andy-Pandy. - Tata pocałował mnie w policzek. Jego skóra była gorąca jak rozgrzany pergamin. - Oby był najlepszy z tych, które dotychczas przeżyłaś.

Życzyłam mu tego samego, ale serce mi się krajało. Był taki kruchy, jak zawsze rano, z siwą nieuczesaną czupryną.

Włączyłam telewizor, nastawiłam na *Paradę róż*. W Los Angeles mżyło, prezenter był przemoknięty i zły.

- Może zobaczymy Gene'a - powiedział tata. - Mówił, że chyba pójdzie obejrzeć paradę.

Wątpiłam, byśmy dostrzegli wujka Gene'a wśród setek tysięcy gapiów, ale tatę bawiło wypatrywanie go przez dwie godziny. Po programie posmutniał. Co chwila klepał mnie po rękę i wzdychał:

- Kolejny rok, kolejny rok. Czas płynie tak szybko, mija ani się obejrzysz. Żałuję, że nie byłem lepszym ojcem, Andy-Pandy.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przypomniałam mu nasze najpiękniejsze wspólne chwile: pikniki, zabawy, pueblo, które zrobiliśmy w czwartej klasie. Uśmiechnął się, za to ja posmutniałam. Wszystkie wspomnienia były sprzed piętnastu, dwudziestu lat, a nowych brakowało. Wyobraziłam sobie émę na ścianie, jak powoli umiera, wysycha, aż spadnie na ziemię i rozsypie się w pył.

Tata drzemał przez całe popołudnie, a ja krążyłam po domu. Ledwie mama wróciła, wybiegłam.

Żeby poprawić sobie humor, postanowiłam pooglądać domy, najpiękniejsze, jakie mogłam sobie wyobrazić.

Pojechałam do Andreas Hills i szukałam tabliczki NA SPRZEDAŻ. Zobaczyłam ją przed budowlą w stylu hiszpańskim na Stonehenge Drive i zatrzymałam się po drugiej stronie ulicy.

Przed domem stała pracownica agencji Maryann Hill. Ulżyło mi, nie znałam jej. Zawsze starannie odmierzałam czas między poszczególnymi wizytami, żeby nikt nie nabrał podejrzeń.

Agentka uśmiechnęła się, kiedy wbiegałam po schodkach.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała. - Szuka pani domu?

- Tak - odparłam. - Ale już tracę nadzieję, że znajdę to, czego szukam.

- Może ten okaże się odpowiedni. Wręczyła mi broszurkę i pozwoliła się rozejrzeć.

Przez pół godziny wędrowałam po domu i wyobrażałam sobie, co bym zmieniła, gdyby był mój. Kiedy w końcu zesłam na dół, agentka już czekała.

- Ijak?

- Cóż, nie jest zły - rzuciłam od niechcenia. - Wrócę i obejrzę go dokładnie. Może nawet pokażę go narzeczonemu.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się.

Coś w jej uśmiechu sugerowało, że mnie rozgryzła.

Przez cały wieczór szykowałam Tablicę Skarbów. Było to jedno z moich noworocznych postanowień. W poradniku psychologicznym wyczytałam, że na podświadomość można wpływać obrazami, i że patrzenie na to, czego się pragnie, pomoże to osiągnąć. Więc przeglądałam tuziny gazet i wycinałam wszystko, co wpadło mi w oko: bmw, stary pierścionek z szafirem, górski domek w Szwajcarii, i przyklejałam na wielkim arkuszu brystolu.

Ustawiłam gotową Tablicę Skarbów naprzeciwko łóżka. Błądziłam wzrokiem od obrazka do obrazka - elegancki dom, śpiące dziecko, kurort narciarski. Było tego aż za dużo, jedno marzenie piękniejsze od drugiego.

Koło północy wróciła mama. Zawsze mnie denerwowało, że skrada się na paluszkach, żeby nie obudzić taty.

Wiedziała doskonale, że nie śpi, nie sypiał dłużej niż kilka minut. Nigdy jednak nie dawał znać, że nie śpi.

Słyszałam, jak krząta się za ścianą, rozbiera, kładzie się, tata się odwraca. Nie rozmawiali.

Przypomniało mi się, że dawniej zawsze słyszałam ich głosy; był to pogodny akompaniament mojego dzieciństwa.

Ich rozmowy zawsze przywodziły mi na myśl strumyk, bo głosy zlewały się w jeden. Lecz po wypadku taty strumyk szumiał coraz ciszej, a kiedy się okazało, że ma raka, wysechł zupełnie.

Drugiego stycznia wróciłam do pracy. W drodze do szpitala starałam się pocieszać. Powtarzałam, że to będzie mój szczęśliwy rok, że w moim życiu nastąpią zmiany. Poproszę o podwyżkę, może znajdę lepszą pracę.

Lecz gdy skręciłam w Bob Hope Drive i w lewo, na parking, cały optymizm się ulotnił. Zgasił silnik i gapiłam się na szarą bryłę budynku. Wyglądał jak fala powodziowa, która zaraz runie i wszystko stłamsi. Siedziałam w samochodzie, niezdolna się ruszyć, prawie niezdolna oddychać.

Chciało mi się płakać. Kogo chcę oszukać? Nowy Rok niczego nie zmieni. W moim życiu nic się nie zmieni. Nie spełni się nic, czego pragnę, nie zrealizuję żadnego marzenia z mojej Tablicy Skarbów. Na zawsze zostanę w tym miasteczku. Będę pracowała na ostrym dyżurze. Umrę w tym szpitalu.

Już za późno. Dawno temu dokonałam niewłaściwego wyboru.

Trudno było przetrwać ten ranek. Koło jedenastej wniesiono ofiarę wypadku, piętnastolatka.

- Mój syn jest najlepszym uczniem w klasie - powtarzała w kółko jego matka. - Pójdzie na Harvard, będzie studiował medycynę i pracował w szpitalu... może nawet w tym.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Widziałam, że chłopiec nie przeżyje. I nie przeżył. Umarł w południe.

Nie miałam ochoty siedzieć w stołówce podczas lunchu, więc wyszłam z kanapką na dwór. Było pogodnie i słonecznie, ale ilekroć podnosiłam głowę, widziałam szpital. Nawet kiedy się odwracałam, czułam na sobie jego cień.

Ociągałam się tak długo, jak się dało, ale w końcu musiałam wrócić do pracy. Nie znosiłam chwili, gdy musiałam minąć pacjentów tłoczących się przy moim biurku. Widziałam ich zawiść, wiedziałam, co sobie myślą: Dlaczego ja, a nie ona?

Kiedy zbierałam się do domu, zadzwonił Gary. Dopiero w samochodzie odsłuchiłam wiadomość: „Cześć, to ja. Chciałem tylko zapytać, czy masz jakieś plany na piątek wieczorem, a jeśli nie, to może wybralibyśmy się na kolację do Desert Turtle? Daj mi znać”.

Wydawał się zdenerwowany. Kiedy jechałam do domu, cały czas miałam w uszach jego niespokojny głos i z każdą przecznicą ogarniały mnie większe wyrzuty sumienia. Co ze mnie za suka, skoro Gary mówi tak pokornie, kiedy zaprasza mnie do najlepszej restauracji w mieście?

Ostatnio byłam dla niego taka zimna. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale nie mogłam nic na to poradzić. Coś się zmieniło, sama nie wiedziałam co. Po prostu pewnego dnia zrozumiałam, że kocha mnie w" sposób, na jaki nie zasługuję i nigdy nie zasługiwałam. I jakiego nigdy nie odwzajemnię. Na początku myślałam, że mi się uda. Kiedy zaczęliśmy być razem, wyobrażałam sobie nawet, że pewnego dnia się pobierzemy. Lecz z czasem przestałam brać to pod uwagę.

Mama i Steph mnie nie rozumiały, uważały, że oszalałam. Gary jest cudowny, delikatny, godny zaufania, lojalny, nigdy się nie złości i nie wybrzydza. I tak dalej. Miał wszystkie zalety tego świata.

I to część problemu, nie chciałam faceta z „zaletami”. Nie chciałam wymienić pięćdziesięciu powodów, dla których kogoś kocham. Chciałam kochać „bo tak”.

A z Garym nie było „bo tak”. Może dlatego, że poznaliśmy się jako dzieci i tak dobrze go znałam. Nie zaskoczył mnie niczym, odkąd skończyłam jedenaście lat. Czasami się nad tym zastanawiałam; czy byłoby inaczej, gdybyśmy poznali się później, w knajpie albo w uniwersyteckiej kantine? Czy wtedy byłby dla mnie bardziej ekscytujący?

Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

Byłam na siebie wściekła, że myślę o nim w ten sposób, że jestem taka niewdzięczna i nielojalna. Ale miałam dosyć całego mojego życia, wiecznego braku pieniędzy, wiecznej nudy, tego miasteczka. Wszystko we mnie domagało się odmiany. A Gary był tak przewidywalny, tak zadowolony ze swojej małej firmy i małego hobby, tak nieskończenie szczęśliwy w tym małym światku.

To nie jego wina, że się miotałam, ale wiedziałam, że nie mogę tego przed nim ukrywać. Skręcając na podjazd, zdecydowałam, że wystarczająco długo zwlekałam, że muszę zakończyć ten związek na dobre.

Postanowiłam zrobić to w piątek wieczorem w restauracji, ale nie miałam odwagi. Gary był taki podekscytowany, ciągle paplał o nowym kliencie, nowej firmie, która go zatrudniła, żeby napisał im odpowiednie programy. Straciłam odwagę, widząc, jaki jest dumny. Powiedziałam sobie, że lepiej zrobić to stopniowo, krok po kroku. Właściwie chyba już wtedy zaczęłam.

Gdy wychodziliśmy z restauracji, położył mi rękę na ramieniu.

- Pojedziemy do mnie?

Odkąd się ostatnio kochaliśmy, minęło kilka tygodni.

- Przepraszam, jesteiri za bardzo zmęczona - odparłam.

- Nie ma sprawy - zapewnił szybko. - Może masz jeszcze na coś ochotę?

- Właściwie tak. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym rzucić okiem na domy.

Pojechaliśmy do Andreas Hills. Kiedy mijaliśmy dom w stylu hiszpańskim przy Stonehenge Drive, zauważyłam, że tabliczka NA SPRZEDAŻ jeszcze tam jest. W nocy dom był jeszcze piękniejszy; cudownie magiczny z fioletowymi reflektorami u podnóży palm.

Gary zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. Objął mnie, bawił się moimi włosami.

- Wyobrażam nas tu sobie któregoś dnia - mruknął. - Ja pracuję przy komputerze, ty oglądasz stary film. A kiedy podniesiesz wzrok, zobaczysz mnie, a ja ciebie.



Wyobraziłam sobie, jak by to było: podnoszę wzrok i do końca życia widzę Gary'ego. Odruchowo się od niego odsunęłam.

Odwiózł mnie do domu. Nie rozmawialiśmy, widziałam, że jest mu przykro. Byłam na siebie wściekła, że go ranię, wściekła na niego, że mnie kocha, kiedy ja już nie jestem w stanie odwzajemnić tego uczucia.

Styczeń strasznie się ciągnął: mgły, praca, wyrzuty sumienia, niedotrzymane postanowienia noworoczne.

W pewien deszczowy piątkowy wieczór poczułam, że dłużej tego nie wytrzymam. Włożyłam najlepszą sukienkę, powiedziałam mamie, żeby na mnie nie czekała, i pojechałam do Bananaz.

Kiedy tylko weszłam do klubu nocnego, pożałowałam, że tu przyszłam. Było głośno, tłoczno i wiedziałam, że głupio zrobiłam, licząc, że znajdę tu ratunek.

Podeszłam do baru, usiadłam i zamówiłam drinka. Kończyłam drugi kieliszek wina, gdy poczułam zapach wody po goleniu Drakkar. Odwróciłam się. Za mną stał mężczyzna. Miał około trzydziestki, jasne włosy, wypłowiałe dzinsy.

- Ładna jesteś- powiedział.

Powiedziałam, że jestem ładna tylko w co drugą sobotę.

Przedstawił się, miał na imię Dale. Postawił mi następnego drinka.

Wdaliśmy się w głupią barową rozmowę, coś w stylu: „Wiem, jaką jesteś kobietą”. Lecz od samego początku wiedziałam, że jeśli zechcę, mogę go mieć. I chciałam. Nie pozwalałam sobie na myśli o Garym.

Cały czas patrzyłam na jego klatkę piersiową. Była jak opalony jedwab, chciałam dotknąć jej językiem, przekonać się, czy naprawdę jest taka miękka.

Zapytał, czym się zajmuję. Kiedy odpowiedziałam, roześmiał się.

- Tak mi się zdawało, że skądś cię znam.

Wyjaśnił, że kilka miesięcy temu trafił na ostry dyżur ze złamaną ręką i że ucieliśmy sobie krótką pogawędkę.

Niczego nie pamiętałam.

- Ochrzaniałaś mnie - przypomniał.

- Nie bierz tego do siebie - odparłam. - Wszystkim to mówię.

- Powiedz to jeszcze raz - poprosił. - To bardzo seksowne. Prosił i prosił, a ja kończyłam trzecią lampkę wina.

- Kiedy ubezpieczyciel pokryje należność wynikającą z sumy ubezpieczenia, pacjent otrzyma rachunek opiewający na różnicę...

Urwałam. Nie powinno się z tego żartować, przecież to okropne. Dale pochylił się i mnie pocałował.

- Mówiłem ci, że to bardzo seksowne.

Dwie minuty później już nas tam nie było. Jego motor, yamaha, czekał przy krawężniku. Dziwnie się czułam, wsiadając. Dotychczas jeździłam tylko z Garym.

Mknęliśmy autostradą do Vista Chino, tam skręciliśmy w stronę Sunrise. Miałam okropne przeczucie, że jedziemy na osiedle Park Pustyni. Nie myliłam się.

Dale zaparkował i ruszyliśmy w kierunku budynku. Staralam się nie patrzeć na graffiti na ścianach, na popsute zabawki i zardzewiałe grille na korytarzu. Jego mieszkanie było przeraźliwie brudne: wszędzie śmiecie, w zlewie zaschnięte garnki. Poprosiłam, żeby zmienił pościel, a potem znaleźliśmy się w łóżku.

Później zrobił mi kawę w styropianowym kubku, aż gęstej od śmietanki w proszku. Nie wypilałam nawet łyka. Byłam w stanie iść z nim do łóżka godzinę po tym, jak go poznałam, ale nie mogłam przełknąć jego obrzydliwej neski. Rozbawiło mnie to. Dale zapytał, z czego się śmieję, odpowiedziałam, że z niczego. To dobra odpowiedź. Niczego nie chciałam mu mówić, nigdy. Chciałam tylko wrócić do domu.

Powiedziałam, że muszę się zbierać, rano idę do pracy. zaproponował, że mnie odwiezie do Bananaz, bo tam zostawiłam samochód, ale powiedziałam, żeby nie zawracał sobie głowy, wezmę taksówkę.

Czekałam na zewnątrz. Było zimno, gwiazdy duże i jasne. Usiłowałam dotrzeć do samego nieba, spojrzeć z góry i dostrzec, jak małe i w gruncie rzeczy nieistotne jest to wszystko.

Następnego ranka było mi niedobrze, tak bardzo się wstydziłam. Przez cały czas czułam okropny duszący zapach wody po goleniu Drakkar. Kapałam się dwa razy, ale zapach wniknął w skórę i włosy. W kółko przeglądałam się w lustrze. Nie podobał mi się wyraz mojej twarzy, skryty i przebiegły.

Wieczorem zadzwoniłam do Steph. Nie chciałam jej niczego mówić, ale koniec końców wyrzuciłam z siebie wszystko. Kiedy skończyłam, zapadła długa cisza.

- Cóż - powiedziała w końcu. - Podstawowe pytanie: czy było warto? Ile byś mu dała w skali od jednego do dziesięciu?

- Dwa. - Parsknęłyśmy śmiechem.

Rozmawiałyśmy o różnych rzeczach, ojej nowej pracy w banku, o tym, co słyhać u starych znajomych w Barstow, ale czułam, że Steph nadal myśli o tym, co powiedziałam.

- Pandoro, czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad powrotem na studia? - zapytała.

- Nie. Wiesz, że to nie dla mnie.

- Cóż, musisz się czymś zająć. - Nagle stała się bardzo poważna. - Musisz coś zmienić. Jeśli skończysz studia, dostaniesz lepszą pracę. Ale to podrywanie facetów w barze tylko dlatego, że się nudzisz.... szczerze mówiąc, przeraża mnie to.

Mnie też przerażało.

Następnego dnia po pracy zorientowałam się, że jadę autostradą 111 i skręcam w stronę College of the Desert. Przez kilka minut siedziałam w samochodzie, obserwowałam dzieciaki uwijające się w alejkach. Wszyscy wydawali mi się tacy energiczni, zdecydowani i młodzi.

W końcu wysiadłam. Dziwnie się czułam, znowu w kampusie. Poszłam do dziekanatu studiów zaocznych. Kobieta za biurkiem zapytała, czy interesują mnie broszury informacyjne. Powiedziałam, że jeszcze nie wiem, ale i tak wcisnęła mi gruby plik.

Przejrzałam je w samochodzie. Niektóre kursy, psychologia, antropologia, francuski, i mój stary kierunek, dziennikarstwo, wydawały się fajne, i nagle dotarło do mnie, że gdybym naprawdę chciała, mogłabym zacząć od zera, całkiem nowe życie.

Postawiłam jednak na opcję praktyczną. Najrozsądniej będzie pozostać w branży, w której już siedzę. Znalazłam kursy wieczorowe dla techników medycznych i pielęgniarek. Jeśli się zapiszę, za dwa lata uzyskam uprawnienia. Przy odrobinie szczęścia zatrudnię się w prywatnym gabinecie, może nawet u pediatry.

Wieczorem zadzwoniłam do Steph.

- Chyba wracam na studia - oznajmiłam.

Nie miała nawet tyle przyzwoitości, by chociaż udawać zaskoczenie.

Następnego wieczoru umówiłam się z Garym na kawę i powiedziałam mu o moich planach. Był zachwycony, jak się tego spodziewałam. Zawsze chciał, żebym dokończyła studia. Objął mnie i chciał pocałować, ale głęboko zaczerpnęłam tchu i się odsunęłam.

- Widzisz, Gary - zaczęłam - teraz, kiedy się na to zdecydowałam, w moim życiu zajdą też inne zmiany.

Nadal się uśmiechał. Mówiłam dalej. Nie byłam w stanie na niego patrzeć.

- Zajęcia wypełniają mi całe dni i przez pewien czas właściwie nie będziemy mogli się widywać.

Powiedziałam to.

Milczał. Nie uśmiechał się już. W końcu skinął głową.

- Rozumiem.

Miałam straszne wyrzuty sumienia, a zarazem bardzo mi ulżyło. W końcu to zrobiłam. Wykonałam pierwszy krok. Zajęcia zaczęły się na początku lutego. Na pierwsze ubrałam się w dżinsy i koszulkę i czułam się jak oszustka, jakbym udawała nastolatkę. Kiedy przyjechałam na uczelnię i szłam w stronę budynku, liczyłam na jakieś emocje, podniecenie, ale poczułam tylko znużenie, jak zwykle w szkole.

Kiedy słuchałam monotonnego wykładu, uświadomiłam sobie, że powrót do szkoły wcale nie musi być najlepszym rozwiązaniem. Dokoła mnie kobiety i mężczyźni notowali gorliwie, zadawali ciekawe pytania, a ja tylko gapiałam się na zegar i czekałam na koniec.

Zbliżały się walentynki. Denerwowałam się, czy znajdę odpowiednią kartę dla Gary'ego, dowcipną i ciepłą, ale nie sentymentalną. Znalazłam i wysłałam. Następnego dnia na progu czekał na mnie tuzin róż.

Zadzwoiłam, żeby mu podziękować. Zapytał, czy mógłby zaprosić mnie na kolację.

- Bardzo dawno się nie widzieliśmy - dodał tęsknie. Powiedziałam, że bardzo mi przykro, ale muszę napisać referat. Drugiego marca była trzydziesta rocznica ślubu rodziców. Przy śniadaniu tata oznajmił, że zabiera mamę na obiad do California Pizza.

- Jak za dawnych lat - powiedział z uśmiechem. Przypomniałam sobie, że kiedy byłam mała, wychodzili na randki. Mama

wkładała nową sukienkę, a tata marynarkę i krawat, zawsze spięty spinką w kształcie koła sterowego.

Pomogłam mu się ubrać; posunął się do tego, że założył krawat, ale koniec końców nie miał siły wyjść. Mama chyba się tego spodziewała.

Przez całe popołudnie szykowałam specjalną kolację rocznicową: pikantną cielecinę, pieczone papryki i ciasto czekoladowe. Z Los Angeles miał przyjechać wujek Gene i tylko o tym tata myślał.

- Mamy to wino, które tak lubi? - pytał niespokojnie, zaglądając do saloniku, kiedy nakrywałam do stołu.

- Mamy, po południu byłam w monopolowym.

- Cieszę się, że go zobaczę - powtarzał. - Chociaż szkoda, że Marilynn nie przyjedzie.

Nie odpowiadałam. Nikomu z nas tak naprawdę nie było przykro, ani się nie zdziwiliśmy, że ciotka Marilynn nie przyjęła zaproszenia.

- Gene wspominał, że ma nowego klienta - opowiadał podekscytowany tata. - Na pewno wszystko nam opowie.

Posadziłam go w fotelu i podeszłam do okna. Też wypatrywałam wujka Gene'a. Cieszyłam się na ten wieczór. Okazał się okropny. Wujek Gene był w dziwnym humorze, bardzo spięty, i ledwie wszedł od domu, zaczął pić. Kiedy podałam kolację, z trudem doszedł do stołu.

W połowie posiłku zaczął krzyczeć na tatę.

- Frank, zmarnowałeś życie! Wiesz o tym, prawda? Nawet przed wypadkiem do niczego się nie nadawałeś. Mówię to dla twojego dobra, mur sisz wziąć się w garść, zrobić coś, pokazać, że masz jaja.

Tata to wyśmiał, potraktował jak kawał, ale widziałam, że bardzo go to gryzie.

Po kolacji wzięłam wujka Gene'a na stronę.

- Jak mogłeś tak powiedzieć? Pokręcił głową.

- Sam nie wiem, Pandoro. Tylko że... kiedy byliśmy mali, podziwiałem Franka jak nikogo na świecie. A kiedy widzę go teraz, jak siedzi w pieprzonym fotelu i nic nie robi, nawet się nie stara... dostają szału.

W końcu poszliśmy na spacer. Stanęliśmy przy ogrodzeniu lotniska. Obserwowaliśmy, jak ląduje najpierw jeden samolot, potem drugi.

- Co robisz?-zapytał wujek Gene.

Zacząłam mu opowiadać o studiach zaocznych, ale przerwał mi w pół słowa.

- Powinnaś przyjechać do Los Angeles - powiedział. Te słowa przeszły mnie jak strzały.

- Bardzo bym chciała... kiedyś.

- Dlaczego nie teraz? Wzruszyłam ramionami.

- Po pierwsze, tata. Poza tym nie jestem pewna, czy Los Angeles to naprawdę miejsce dla mnie.

Wujek Gene się roześmiał i rozłożył ramiona. Tym gestem obejmował nasz dom, naszą ulicę, całe Palm Springs, moją pracę, nawet Dale'a z Ba-nanaz.

- A to tak?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Westchnął i opuścił ręce.

- Kocham cię, Pandoro - powiedział.

Kiedy wróciliśmy do domu, zachowywał się jak należy. Pocałował mamę w rękę i przeprosił, że był takim gburem.

Poklepał tatę po ramieniu i powiedział:

- Frank, doprowadzasz mnie do szału, ale wiesz, że kocham cię najbardziej na świecie.

Podali sobie ręce. Dłoń wujka Gene'a była opalona i silna, taty biało-niebieska, jak z plasteliny. Kiedy odjechał, siedziałam na ganku i patrzyłam w gwiazdy.

## **Lori**

Orany, jestem taka dobra. Taka dobra, że aż mnie to przeraża. Dzwoni w środku kolacji. Słyszę telefon, wiem, że to on. Mówiłam, żeby nie dzwonił do matki, nigdy nie słucha. Wstaję, idę do aparatu w kuchni.

Jest napalony.

- Skarbie, muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Matka wrzeszczy:

- Kto to, Lori?

- Przyjaciółka - odpowiadam. - Dzwoni ze szpitala. Miała wypadek. Muszę do niej jechać.

Można by pomyśleć, że okaże odrobinę współczucia, ale nie, nie ona, nie moja matka.

- Powiedz jej, że jest bardzo samolubna. Powiedz, że jesteś w środku kolacji.

Mówię:

- Spotkamy się biurze, za godzinę.

Idę do swojego pokoju, wybieram ciuchy. Sukienka z niebieskiej dzianiny, łatwo ją ściągnąć, nowe pantofle na obcasach. Nie mogę ich teraz włożyć, matka nabierze podejrzeń, pakuję je do reklamówki.

Dogania mnie.

- Lori, po co ci torba?

- Przyjaciółka może zostanie w szpitalu. Pomyślałam, że wezmę jej trochę ciuchów.

Łyka to.

Jazda Santa Monica Boulevard. Męskie prostytutki, w tym kilku przystojnych. Ktoś za mną jedzie do Highland.

Skręcam w Crescend Heights, na Sunset Boulevard.

Kolejka przed Comedy Club. Chciałabym tam pójść, mówiłam to Gene'owi setki razy, powinien mnie zabrać.

Doprowadza mnie do szału, że

nigdzie ze mną nie chodzi. Nic by się nie stało, gdyby czasami to robił. Ale nie, zawsze tylko pieprzymy się w biurze. Parkuję na zapleczu, przebieram się w samochodzie. Otwieram drzwi, wchodzę do budynku. Nie znoszę przychodzić tu wieczorem, boję się. Plakaty na ścianach, dawne gwiazdy, ich oczy mnie śledzą.

Gene czeka w biurze, w rozpiętej koszuli. Szarpie mnie za sukienkę, jeszcze nim wejdę do środka.

Mówię:

- Może byś się najpierw ze mną przywitał?

- Już ja się z tobą przywitam, a jakże. Jeszcze nikt nigdy tak się z tobą nie witał.

Pytam, jak się ma jego żona. To powinno go zatkać. Nie lubię, kiedy się mnie obmacuje bez chwili rozmowy.

Działa. Puszczą mnie na chwilę, ale zaraz znowu mam go na sobie.

Sukienka krępuje mi kostki. Nie mieści mi się w głowie, jaka głupia jest Marilynn, że ufa temu draniowi.

Pyta mnie, czy coś jest nie tak.

Nie, wszystko w porządku. Kim jest Marilynn? Ma wszystko, czego pragnie. Dom w Hollywood Hills, volvo. Gene maca moje piersi. A ja co mam? Nic. Leży na mnie, wierci się i stęka. Dygocę i jęczę, tak jak lubi. Szybko jest po wszystkim.

Leżymy na dywaniku. Widać, że Gene jest z siebie dumny. Widać, że sobie myśli, jaki z niego ogier.

Wstaję, podchodzę do biblioteczki. Patrę na zdjęcie Marilynn. Idealna fryzura, wielkie perły. Ależ z niego hipokryta. Pieprzy mnie przy każdej okazji, ale nadal ma jej zdjęcie. Robię paznokciem znak na srebrnej ramce.

Zawsze tak robię, to taka moja tradycja. Ramka jest zniszczona, wygląda, jakby dobrał się do niej wampir.

Gene wydaje dziwne odgłosy, jakby nie mógł złapać tchu. Patrę na niego, twarz mu poczerwieniała.

Nie chcę, żeby dostał wylewu, nie chcę wzywać glin.

- Dobrze się czujesz? Uśmiecha się jak macho.

- Pewnie. - Ściska moją dłoń. - Nic mi nie będzie. Miło mi, że się troszczysz.

Akurat.

Wraca na dywanik. Chce mnie przytulić, pozwalam mu. Lubię oglądać moje ciało, jest właściwie idealne. Nie patrzę na niego. Przypomina starego wieloryba.

- Zastanawiałeś się nad tym, o czym rozmawialiśmy? Nie muszę nic dodawać, wie, o czym mówię. Wydaje mi się, że jestem bardzo rozsądna. Nie oczekuję, że zostawi dla mnie żonę. Nie oczekuję, że umieści mnie w luksusowym mieszkanku. Nie chcę nawet samochodu. A to, czego chcę... Z pewnością na to zasługuję.

- Jasne - mówi. - Wrzesień, powiedzmy, wrzesień. Wtedy to ogłoszę. Chce mi się skakać i krzyczeć z radości. Po raz pierwszy wydusiłam z niego datę.

We wrześniu zostanę współniczką. Agencja Gene'a Browna i Lori Max. Agencja Max i Brown. Przewracam go na plecy, głaszczę w nagrodę. Jęczy, ale już mu nie staje. Mnie to nie przeszkadza. Niech no tylko Troy o tym usłyszy.

Jadę do domu. Wrzesień, moje życie zmieni się we wrześniu. Tak długo na to czekałam i już jest prawie w zasięgu ręki.

Zobaczmy, jak to brzmi: Jestem współwłaścicielką agencji Gene'a Browna. Teraz dopiero matka będzie się przechwalała: „Moja córka, współniczka”. Wreszcie przestanie narzekać: „Nigdy niczego nie osiągniesz. Pewnego dnia wylądujesz na ulicy”.

Zresztą kto wie, może wcale nie przestanie. Cokolwiek robiłam, nigdy nie była zadowolona. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Przez całe życie słyszę ciągle: „Co się z tobą dzieje? Nie możesz się bardziej postarać? Dlaczego nikt cię nie lubi? Dlaczego masz takie kiepskie stopnie? Dlaczego nie studiujesz, nie wyszłaś za męża, nie urodziłaś mi wnuków?” Bla, bla, bla.

A w końcu powie: „Moja córka, współniczka”. Albo może wcale jej nie powiem. Nie zasługuje na to, żeby wiedzieć.

Wracam do domu koło pierwszej. Nie śpi jeszcze, bla, bla, bla bez przerwy, kiedy idę do pokoju:

- Dlaczego tak długo cię nie było? Musiałam sama się wykapać i zażyć lekarstwa. Jesteś taka samolubna.

Mówię:

- Daj mi spokój. Moja przyjaciółka umarła w szpitalu. To ją zatyka.

Ale po chwili znowu zaczyna:

- Ramię mnie boli i swędzi pod gipsem.



Doprowadza mnie do szafu. Można by pomyśleć, że przed nią nikt nie złamał sobie ręki w łokciu. Ciekawe, czy zrobiła to celowo? Poślizgnęła się na schodach, żeby zwrócić na siebie uwagę? Nie wykluczam tego.

Nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyrwę, wrócę do siebie.

- Obiecałaś, że zostaniesz, póki nie zdejmą mi gipsu. Dzwoniłam dzisiaj do lekarza, błagałam, żeby zdjął ten cholerny gips.

Powiedział, że jeszcze tydzień.

Nasza rocznica. Dokładnie trzy lata temu, co do dnia, poznałam Troya. Jestem szczęśliwa na samą myśl o tym.

Przechodzą mnie dreszcze. Tamtego wieczoru poszłam sama do ChipS. Napiłam się, podniosłam głowę i zobaczyłam go, jak wchodzi. Czarne oczy, czarne włosy. Ledwie rzuciłam na niego okiem, wiedziałam, jak będzie.

Nie podszedł od razu, kazał mi czekać. W końcu się zbliżył i poprosił o mój numer telefonu. Myślałam, że będzie grał na zwłokę, ale on też nie mógł czekać. Zadzwoił następnego dnia.

Na pierwszą randkę mieliśmy iść do Pier, ale nigdy nie dotarliśmy do drzwi. Zostaliśmy w domu i pieprzyliśmy się do nieprzytomności.

Cieszę się na dzisiejszy wieczór. Poszłam do Frederick's, Troy lubi mnie w ich bieliźnie. Kupiłam body z czerwonego jedwabiu. Zajrzałam do Paper Place, kupiłam zestaw origami. Poskładałam figurki: Troy i ja na plaży, leżymy nadzy w hamaku zawieszonym między palmami.

Spotykamy się o ósmej. Zabiera mnie na kolację do Pastis. Matka doprowadza mnie do szafu.

- Jesteś taka samolubna. A moje lekarstwa? Nie możesz mnie tak zostawić.

Wkładam czarną sukienkę od Chloe, tę ze złotym paskiem. Wychodzę z sypialni. Matka chyba zaraz zsika się w majtki.

- Dokąd idziesz, z kim, o której wrócisz?

Jestem w Pastis kilka minut wcześniej. Podoba mi się tu, wszystko jest żółto-niebieskie. Podobno ma przypominać południe Francji. Nie, żeby kiedyś tam była. Może pojedę w przyszłym roku, jak już będę współniczką. I zabiorę Troya.

Kelner prowadzi mnie do stolika, siadam sama. Mnóstwo facetów się gapi. Kiedyś byłabym zachwycona, teraz nic mnie to nie obchodzi.

W końcu wchodzi Troy. Wszystkie dziewczyny otwierają usta z wrażenia, wszystkim leci ślinka. Tracę rozum, patrząc, jak idzie.

Widzi mnie, podchodzi, całuje. Boże, mogłabym to zrobić zaraz, tutaj, na stole. Widzę, że on też.

- Nie siedźmy długo. - Dotyka mojej nogi. - Właściwie kto chciał tu przyjść?

- Dziś jest nasza rocznica, zapomniałeś?

Daję mu prezent, koszulę Burberry. Otwiera kartę. Śmieje się z papierowych postaci pod palmą.

- Chyba wiszę ci prezent - mówi. - W tym miesiącu krucho u mnie z kasą.

- Nie przejmuj się, niczego nie oczekiwałam.

Czekam, aż podadzą nam napoje i mówię: ,

- Mam nowiny. W końcu wydusiłam z Gene'a datę. Wrzesień. We wrześniu zrobi mnie współniczką.

Ale widzę, że nie słucha. Odwracam się. Dziewczyna gapi się na niego, daje znaki. Nie odpowiada, ale też nie patrzy na mnie. Niech go szlag, czemu zawsze to robi?

Wyciągam rękę, odwracam jego twarz w moją stronę. Powtarzam.

- Będziesz współniczką?

- Tak powiedział.

- Masz to na papierze?

To dziwne, Troy wcale nie jest praktyczny, ale czasami zadaje takie pytania.

- Nie.

Uśmiecham się, kiedy pomyślę, jak Gene leży na dywaniku, nagi niczym wieloryb. A ja wręczam mu umowę. Czy mógłbyś to podpisać?

- Następnym razem - mówię. - Byliśmy zbyt, hm, zajęci.

Teraz Troy skupia się wyłącznie na mnie. Groźne, mroczne światełko w jego oczach.

- Zbyt zajęci? A niby czym?

Opowiadam mu. Widzę krople potu u nasady włosów. Dotyka mojego czoła koło blizny, muska ją kciukiem. Mówię dalej. Chciałabym, żeby choć raz okazał zazdrość, ale nie, uwielbia tego słuchać. Obejmuje moje nogi swoimi, zaciska raz-dwa, raz-dwa. Podchodzi kelner, żeby przyjąć zamówienie.

Troy oznajmia z niewinnym uśmiechem:

- Rozmyśliliśmy się, prosimy rachunek za napoje.

Nie docieramy do jego mieszkania. Zatrzymujemy się przy Fuller i robimy to na tylnym siedzeniu. Wspaniale, cudownie, najlepiej.

Staram się zasnąć. Matka wali w drzwi.

- Czas do kościoła!

- Nie - mówię. - Nie idę. - Ale i tak muszę zwlec się z wyra, pomóc jej się wyszykować.

W końcu sprowadziłam ją na dół. Poczekalam, póki nie podjechała po nią przyjaciółka; Jezu Chryste, jeszcze pięć dni do zdjęcia gipsu.

Wracam do łóżka. Dostaję świra, że znowu jestem w tym domu. Przeraza mnie, jak szybko znowu do niego przywykłam.

Wstaję, idę do gabinetu ojca; to błąd. Stoję przy drzwiach, rozglądam się. Plec na kanapie, na której to się działo.

„Wejdz, Lori, obejrzyj moje znaczki. Śliczne, prawda? Który ci się najbardziej podoba?”

„Żaden, tatusiu. Już je widziałam”.

„Plecy mnie bolą. Tata chyba się starzeje. Pomasuj mi plecy, Lori, o tutaj, jak zawsze. A teraz niżej, niżej, masuj dalej. Chyba nie jest ci wygodnie, jak tak siedzisz. Odpręż się, chodź, pomogę ci się odprężyć”.

„Jestem odprężona, tatusiu, nie musisz”.

„Wiem, co jest dla ciebie dobre, Lori. Nie będzie bolało, ale tata będzie bardzo, bardzo szczęśliwy”. Bolało, tatusiu.

I to bardzo. „I pamiętaj, nie możemy powiedzieć o tym mamusi - to nasza tajemnica, tylko nasza”. Raz jej powiedziałam. Jechałyśmy samochodem:

- Kiedy nie ma cię w domu, tata każe mi się położyć na kanapie i robi różne rzeczy.

Oderwała dłonie od kierownicy, zakryła uszy. Wrzeszczałam. Myślałam, że się rozbijemy. Zjechała na pobocze. Uderzyła mnie w twarz.

- Nigdy więcej nie opowiadaj takich kłamstw.

Lubię wspominać tę noc, kiedy zginął. Byłam w łóżku. Ściany mojego pokoju stały się czerwone od policyjnych świateł. Dwóch policjantów szło alejką, byli sztywni jak manekiny. Wybiegłam z pokoju, przechyliłam się przez poręcz.

- Pani Max, mamy przykre wiadomości. Niestety, doszło do wypadku...

Wrzeszczę, szlocham, wszyscy na mnie patrzą. Matka podbiega i mnie obejmuje, nie mogę się uspokoić. Jakie to zabawne, wszyscy myślą, że ja tak z rozpacz.

Wychodzę na werandę, tu jest trochę lepiej, więcej powietrza. Przypomina mi się babcia. Zawsze lubiła siedzieć na werandzie.

Kiedy przychodziła, było najlepiej. Budziłam się wczesnym rankiem. Babcia przyjeżdża. Wkładałam sukienkę.

Lubiła mnie w sukienkach. Zrywałam dla niej kwiatki. Czekałam na ulicy, wypatrywałam starego zielonego buicka.

Musiałam zobaczyć ją pierwsza, przed matką. „Babciu, babciu!”

„Lori, malutka". Jej dotyk był zawsze właściwy, zawsze pachniała jak trzeba. Otwiera torbę. „A tutaj mały drobiażdżek dla mojej Lori".

Siedzę z nią na werandzie, trzymam za rękę, patrzę, jak sączy herbatę. Moja głowa na jej kolanach, gładzi mnie po włosach.

Matka tego nie znosiła. „Dlaczego zachowujesz się przy babci jak mała dziewczynka? Nie wygłupiaj się!"

Była zazdrosna, zazdrosna, że babcię kochałam najbardziej, że babcia kochała mnie.

Zamykałam oczy i pozwalałam się głaskać po włosach, jak długo chciała. „Lori, moja malutka".

Muszę stąd wyjść. Idę na spacer Laurel, do Santa Monica Boulevard. Zasuszone staruszki na chudych nóżkach, z fioletową płukanką na głowie przyglądają się, kręcą głowami: „Spójrzcie na tę szmatę, coś takiego!" Pieprzyć je.

Matka wraca z kościoła rozpromieniona, grzeczna służebnica Pana.

- Zawieź mnie do babci.

Nigdy nie chce jej odwiedzać. Po prostu po kościele ma wyrzuty sumienia. Nie mam nic przeciwko temu, chociaż jej tego nie mówię.

W dolinie jest upiornie gorąco. Jedziemy bulwarem Van Nuys. Lombardy i spelunki. Dojeżdżamy do domu starców. Zaraz nas otaczają, uśmiechnięci, na wózkach, z chodzikiemami. Chude ramiona w kraciastych koszulach, wszyscy bladzi jak larwy. Zabierzcie mnie stąd.

Idziemy do babci, pukamy do drzwi. Woła: „Proszę", jak ptaszek. Cieszy się na nasz widok. Pachnie świeżym ciastem, jak zawsze, i jak zawsze siadam koło niej.

Ma zły dzień, widzę, że nie słucha. Matka narzeka, że boli ją ramię, że się nią źle opiekuję. Babcia jest nieobecna. Chcę jej powiedzieć moją nowinę, że we wrześnie będę współniczką, ale tego nie robię. Nie chcę, żeby matka wiedziała.

Wtedy babcia odwraca się do mnie z promiennym uśmiechem.

- Ann?

Robi mi się niedobrze ze złości, że pomyliła mnie z matką. Wstaję, mówię, że muszę się przewietrzyć. Drzwi do sąsiedniego pokoju są otwarte. Stara wariatka, całkiem naga, biega w kółko. Obserwuję ją przez chwilę.

Nigdy nie chcę się zestarzeć.

Muszę się dzisiaj rozerwać. Dzwonię do mojej przyjaciółki Suzanne, ma smutny głos. Mówi, że właśnie rozmawiała z Ellen, swoją siostrą. Są przerwuty.

- Może będę musiała wyjechać do Seattle, żeby się nią zaopiekować. Jestem wściekła na Suzanne, że wyjedzie do Seattle. Jestem wściekła na Hellen, że zachorowała. . .

- Przestań o tym myśleć - mówię. - Chodźmy wydać trochę pieniędzy. Mówi, że to świetny pomysł.

- Spotykamy się w Re-Threads. Boże, jak ja kocham ten sklep, pod każdym względem. Kocham ich sposób prezentowania ubrań. Szpanują nimi, pozwalają im oddychać. I mają nową dostawę, głównie suknie wieczorowe. Sprzedawczyni powiedziała, że to po premierze nowego filmu z Whoopi Goldberg w zeszłym tygodniu. Jedwabna Escada, pokryta paciorkami, stoi bez wieszaka. Cudowna. Gdybym ją miała, byłabym szczęśliwa. Trzymałabym ją w szafie i codziennie się zachwycęła.

Suzanne znalazła bluzkę. Wąchają, jakby nadal śmierdziała potem poprzedniego właściciela. Mówię, żeby się nie przejmowała, to pot sławny i bogaty. Jeśli ma szczęście, może i jej kiedyś taki będzie.

Suzanne woli nie myśleć, do kogo należały te ciuchy. Dla mnie to najlepsza część. Co za bogata suka je nosiła, gdzie, dlaczego sprzedała/ Ciekawe, ilu mężów zdaje sobie sprawę z poczynań żon? Kupująkieckę za sześć kawałków, sprzedają do Re-Threads, drobne do własnej kieszeni.

I dzięki temu mała Lori ma szansę je kupić.

W końcu wzięłam jasnozieloną koszulę od Prądy i spodnie w prążki, Stella McCartney. Ale najbardziej pragnę Escady z paciorkami. Pewnego dnia, we wrześniu, kiedy będę współpracowniczką, kupię ją.

Uwielbiam kupować ciuchy. Klik, klik! Wychodzimy z wielkimi siatami, j est godzina szczytu.

Niedobra noc, dziwne sny. Trzęsienie ziemi, nie mogłam wydostać się

Poniedziałek rano. Zrzucam skórę weekendową, wkładam ciuchy do pracy Zużyłam próbkę nowych perfum Estee Lauder. Niezłe. Namówię Troya, żeby mi kupił. Nadal nie dał mi prezentu na rocznicę. Kiedyś będę taka bogata, że będę się kąpać w perfumach.

Matka ciągle śpi. Dzięki losowi za drobne błogosławieństwa. Zjadłam śniadanie w spokoju. Wyszłam wcześniej. Nie ma nic lepszego niż widok Laurel Street niknącej w tylnym lusterku.

Pojechałam na Santa Monica. Wszystko jeszcze pozamykane. Włączyłam radio na cały regulator, stację ze starymi przebojami. Otworzyłam okna. Nie śpię tylko ja i bezdomni.

Zatrzymałam się przy Crescent Square na kawę i pączka. Mnóstwo żebraków. Kawa śmierdziała sikami. Kupiłam dodatkowego pączka dla Jessy, od dawna jej nie widziałam. Pojechałam na Sunset. Była tam, siedziała na swoim rogu. Ma nowy wózek, nowe torby. Dałam jej pączka, nawet nie podniosła głowy.

Suzanne uważa, że oszalałam. „Dlaczego nie dasz tych pieniędzy porządnej organizacji charytatywnej? Dlaczego marnujesz czas dla kogoś takiego? Ale; pieprzonych organizacji charytatywnych jest bez liku, a ja lubię Jessę. Nie okazuje wdzięczności, nie narzeka, nic jej to nie obchodzi. Gdybym żyła na ulicy, chciałabym być taka jak ona.

Czasami myślę że pewnego dnia mogę wylądować na bruku.

Dojeżdżam do biura, mijam szyld na parkingu: TYLKO DLA LOKATORÓW Jeszcze tylko osiem miesięcy do września, wtedy będę parkowała tu codziennie. Na razie na pieprzonej ulicy.

Wchodzę do holu. Do windy wsiada John Bradshaw we własnej osobie Nieczęsto udaje się nam zobaczyć Jego Wysokość. Ma na sobie świetny garmtur, szara wełenka, do tego niebieski krawat od Gucciego Trov wyglądałby w tym bosko.

Bradshaw jak zwykle mnie nie zauważa. Snob

Ze schodów zbiega Emmett. Biegnie tak szybko, że mało brakowało a poleciałby na pysk. Robimy to samo. On jest asystentem, ja asystentką, ale on tak naprawdę jest niewolnikiem Bradshawa

- Muszę kupić Jaśnie Panu paczkę fajek. Pójdiesz ze mną, boska? Idę. Lubię Emmetta. Jest humorzastym gejem.

Mówi, że Bradshaw jest  
dzis w kiepskim nastroju.

- A jak tam sir Gene?

Odpowiadam; że nie wiem, jeszcze go dzisiaj nie widziałam Emmett nie ma pojęcia o nim i o mnie, trzymam to w tajemnicy. Aż tak mu nie ufam. <sup>J</sup> Gene wchodzi o dziesiątej.

- Dzień dobry, Lori.

Jest poważny i profesjonalny, jak zawsze w poniedziałek rano Pewnie w niedzielę on też chodzi od kościoła. Ale już pięć minut później zagląda mi w dekolt.

Przejrzałam kalendarz. O pierwszej ma lunch z Shirley Hudson Będzie próbował ją przekonać, żeby do nas wróciła.

Pytam, czy też mogę iść

- Nie, Lon, niestety. Kto się zajmie agencją?

Nie mów do mnie tym tonem, stary; wiem, jak wyglądasz nago na tym dywaniku. - Proszę cię, Gene. Jeśli wyjdę na godzinkę, nic się nie stanie.

A skoro od września mam być współniczką, nie sądzisz, że powinnam powoli poznać naszych klientów? Nie muszę niczego dodawać. Nigdy mu nie grozę. Tylko się uśmiecham.

Mandaryn to superekskluzywna restauracja, mogłabym tu jadać codziennie. Strzecha na suficie jak pagoda, wszyscy spokojni i bogaci.

Obserwuję, jak się schodzą na lunche w interesach. Mężczyźni w garniturach od Armaniego, z krawatami Hermesa. Nawet brzydale wyglądają dobrze. Kiedyś przyprowadzę tu Troya, w takim garniturze.

Wszystkie kobiety wyglądają fatalnie. Złe ciuchy, nieodpowiedni makijaż. Gdybym miała tyle forsy co one, poradziłabym sobie o wiele lepiej. Nie widzę żadnych gwiazd.

Shirley Hudson spóźnia się pół godziny.

- Och, bardzo przepraszam, straszne dzisiaj korki.

Gene się denerwuje, podrywa się, odsuwa jej krzesło. To przez niego odeszła z agencji. Wyczuwam takie rzeczy - kto będzie gwiazdą, a na kogo szkoda czasu. Shirley była u nas od dawna, długo w niczym nie grała i Gene chciał się jej pozbyć.

- Zostaw ją - mówiłam. - To pewniak

Ale on, oczywiście, wiedział lepiej. A potem dostała role w *Mango Tree* i *Sunset In Orange Country*, i stąd ta panika. Widzę, że Shirley dobrze się bawi. Wcale się jej nie dziwię. Wie, że Gene się wije jak robak na haczyku. Nie wiem, czy do nas wróci, czy nie.

Nie rozmawiamy o interesach. Shirley opowiada anegdoty o Tomie Cru-isie. Lubię ją, patrzy na mnie, nie tylko na Gene'a. Czasami nawet mówi w moją stronę. Zamawia merlota z Napa Halley, widzę, jak w oczach Gene^ pojawiają się kalkulatorki. Ile go to będzie kosztowało? Chce mi się śmiać.

Kelner przynosi ciasteczka z wróżbami. Gene bierze jedno i śmieje się nerwowo.

- Cóż, Shirley, co mi przyniesie los? Wrócisz do nas? Shirley pochyła się nad stołem, uśmiecha się szeroko.

- Cóż, z pewnością będziemy się często widywali. - Gene się rozpromienia. - Tak, często będę odwiedzała wasz biurowiec, podpisałam kontrakt z agencją Johna Bradshawa.

Dobra robota, koleżanko.

Gene jest wkurzony przez resztę dnia.

Trzecia. Wchodzi nowy ważny klient, Erico Morales. Przystojny, owszem, ale przy Troyu może się schować.

Słyszą, jak Gene poci się za ścianą. Wyciąga wszystkie atuty.

Pieklą się przy biurku, to takie wkurzające. Gene kokietuje tego nowego, a Troy nie ma roboty. A ja nic nie mogę na to poradzić. Troy się o to wścieka. „Wcale się nie starasz, żeby mi pomóc”. Nie rozumie, że nie mogę. Powiedziałam Gene'owi o nim, pokazałam jego zdjęcie. Kiedy zaczęliśmy być razem, powiedziałam, że zerwaliśmy. Musiałam. A niby po co, zdaniem Troya, pieprzę się z Gene'em? Bo lubię starych tłuściochów? To tylko dla niego, a kiedy będę współpracowniczką, wszystko się zmieni.

Troy był na zdjęciach niedaleko La Brea. Miał wjechać samochodem w ciężarówkę. Ukryłam twarz w dłoniach, nie mogłam patrzeć, nawet kiedy było już po wszystkim.

Niedobrze mi się robi.

Wzruszył ramionami.

- Biorąc wszystko pod uwagę, i tak miałem szczęście, że mnie wzięli. „Wszystko” to coś, o czym nie rozmawiamy.

Chodzi o to, że Troy nie

umie upadać, nigdy się nie nauczył. To zakrawa na żart, kaskader, który nie umie upadać, ale wcale nie jest śmieszne.

To oznacza, że nie może wybrzydzać, musi brać wszystkie zlecenia.

Później jemy lunch w Marie Callender's. Lubię tę restaurację, daje mi poczucie bezpieczeństwa - wysokie przepierzenia, staroświeckie wentylatory - ale Troy chce jak najszybciej wyjść.

- Chodźmy do La Brea, na wykopaliska.

Nie znoszę ich, tyle martwych zwierząt. Weszliśmy na wieżę obserwacyjną, żeby Troy lepiej widział. Wziął mnie na rękę.

- Uważaj, zaraz cię puszczę! Uderzyłam go. To nie było śmieszne.

W drodze powrotnej widzieliśmy jasnowidzącego kota. Daje się facetowi dolara, a jego syjamski kot naciska guzik i z maszyny wypada przepowiednia. Troy przepuścił trzynaście dolców, zanim był zadowolony z wróżby.

W końcu zdjęli matce gips. Alleluja! Nie, żeby przestała narzekać. O nie.

- Lekarz źle nastawił kość; boli bardziej niż przedtem. Na razie przynajmniej ją wyłączam. Wracam do domu.

Spakowałam się w dziesięć minut. Idzie za mną do samochodu. Bła, bła

bła.

- Myślałam, że zostaniesz jeszcze tydzień. Dobra córka by została. Lekarz mówi, że w moim wieku nie powinnam mieszkać sama.



Z powrotem u siebie, na własnych śmieciach. Stoję w przedpokoju, rozglądam się. Co za tandeta, jak mieszkanie staruszki. Nawet kiedy uciekam od matki, nie uciekam naprawdę.

Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że kiedyś zamieszkałam w pałacu i w moim pokoju wszystko będzie różowe. We wrześniu, kiedy zostanę współniczką, zrobię tu remont, kupię nowe meble, nowe wszystko, i może nawet kilka różowych drobiazgów.

Dzwoni Gene. Jest napalony, chce się ze mną zobaczyć. Pyta, czy może przyjechać. Nie zgadzam się. Był tu tylko raz. Rozejrzał się i widziałam po jego minie, że mi współczuje. Mówił, że to nie tak, po prostu moje mieszkanie przypominało mu dom brata w Palm Springs. Żaden komplement, wiem wszystko o bracie nieudaczniku.

Błaga mnie:

- Przyjedź do biura. Powiem Marilynn, że mam spotkanie z klientem.

Mówię, że jestem bardzo zmęczona. Nie jestem jego niewolnicą, a on nie jest moim właścicielem.

Przejażdżka po okolicy. Mijam róg Jessy, daję jej coś do jedzenia. Nie dziękuje, nawet nie podnosi głowy. Nic nowego.

Wracam do domu, trochę sprzątam. Moje dwie najlepsze rzeczy: różowa jedwabna chusta w kamelie od Hermesa, gwiazdkowy prezent od Gene<sup>^</sup> i telewizor Sony, prezent na urodziny.

Podchodzę do szafy. Wyjmuję chustę, układam ją na telewizorze, drapu-ję, aż leży idealnie, jak martwa natura.

Wcześniej się kładę. Ledwie gaszę światło, para na górze zaczyna. Tym razem to on wrzeszczy, ona tylko kwili.

Potem, zgodnie z programem, zaczyna się bicie. Kiedyś mi to przeszkadzało, teraz już nie. Po pięciu minutach, oczywiście, jęczą sprężyny łóżka, Dzisiaj trwa to godzinami.

Myślę sobie, że to taka kołysanka.

## **Pandora**

Pojechałam dzisiaj do kanionu Coldwater. Było mnóstwo tabliczek NA SPRZEDAŻ. Przez moment rozważałam, czy się nie zatrzymać i nie obejrzeć kilku domów, jak za dawnych czasów. Ale po co? To się skończyło dwa lata temu, teraz to przeszłość.

A jednak często myślę o tamtych chwilach, może dlatego, że były pełne nadziei. To kojące, wyobrażać sobie, że jestem znowu w Palm Springs,

w tamtą majową niedzielę, kiedy wszystko się zaczęło. To był taki niewidzialny nawias, ostatnia chwila oddechu, zanim świat oszalał.

Tamten dzień nie zaczął się obiecująco, to pamiętam. Obudziłam się załamana. Miałam za sobą ciężki tydzień w pracy, musiałam napisać referat na następny dzień.

Pomyślałam, że poprawię sobie humor, oglądając domy, a potem zajmę się nauką. Od dawna tego nie robiłam.

Sprawdziłam w gazecie, gdzie są nowe domy wystawione na sprzedaż, i po śniadaniu pojechałam do Las Palmas.

Niedaleko jednego z domów zobaczyłam Fran Selwyn, agentkę, która pokazywała mi apartament przy Stevens.

Mało brakowało, a zawróciłabym. Nie chciałam, żeby mnie rozpoznała. Ale ona podniosła głowę, zobaczyła mnie i pomachała.

Zaparkowałam i podeszłam do domu. Pomyślałam sobie, że wreszcie mi się dostanie za to, że marnuję ludziom czas, oglądając domy, których wcale nie mam zamiaru kupić.

Ale Fran się uśmiechała.

- Cieszę się, że pani przyjechała - powiedziała. - Trudno byłoby się z panią inaczej skontaktować. Podała nam pani tyle nazwisk i numerów telefonów...

Wbiłam wzrok w schody, czerwona ze wstydu.

- Nie wiem, czy pani już słyszała - ciągnęła - że nasza agencja otwiera filię w Palm Desert. Będziemy potrzebowali nowych agentów, a pani jest pierwszą osobą, która przyszła mi na myśl. Ma pani wyraźną słabość do domów. Nie wiem, czym się pani obecnie zajmuje, ale czy kiedykolwiek brała pani pod uwagę karierę w handlu nieruchomościami?

Karierę w handlu nieruchomościami? Pokręciłam głową.

- Nie, nie brałam.

- No to proszę się nad tym zastanowić. Wręczyła mi wizytówkę, uśmiechnęła się:

- Chociaż, o ile wiem, ma ich już pani całą kolekcję.

W drodze do domu powtarzałam sobie w kółko: kariera w handlu nieruchomościami. To tak, jakby w mojej głowie ktoś wcisnął właściwy guzik, jakby guzik, którego istnienia nie byłam nawet świadoma, nagle został właściwie użyty.

Ledwie weszłam do domu, usiadłam do komputera i weszłam do Internetu. Sprawdziłam, co trzeba zrobić, żeby zdobyć licencję agenta handlu nieruchomościami. To wcale nie takie straszne, ba, o wiele prostsze niż

kursy wieczorowe, na które chodziłam. Muszę się tylko zapisać na odpowiedni kurs i zdać test. Jeśli mi się uda, dostanę tymczasową licencję na osiemnaście miesięcy.

Zaczęłam liczyć. Gdybym zaczęła od razu, w sierpniu byłabym już agentką.

Oparłam się wygodniej. Cudowne, niewiarygodne. Za kilka miesięcy będę prawdziwą agentką handlu nieruchomościami w agencji Maryann Hill, będę miała licencję i własną wizytówkę.

Poszłam do saloniku. Mama siedziała przy stole, układała puzzle.

- Mamusiu - zaczęłam - może uznasz, że zwariowałam, ale chyba zajmę się handlem nieruchomościami.

Starannie dopasowała kawałek nieba do obrazka, nie byłam pewna, czy w ogóle mnie słyszała.

- Przecież uczysz się na pielęgniarce - przypomniała w końcu. Poczułam, że się rumienię.

- No, tak. Ale nie jestem pewna, czy naprawdę chcę to robić. Mam już dosyć medycyny. Chyba dobrze zrobiłaby mi odmiana, coś zupełnie nowego.

- Ale dlaczego akurat nieruchomości? - dziwiła się. - Nie masz o tym zielonego pojęcia.

Ze wstydem wyznałam, że podczas minionych lat większość niedziel spędzałam, oglądając domy.

- Rozumiem - powiedziała. Mama zawsze szybko dawała sobie radę z niespodziankami. - W takim razie - dodała, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem - byłabyś idiotką, gdybyś tego nie zrobiła.

Tata zareagował jeszcze lepiej. Kiedy mu powiedziałam, wstał z łóżka i przechadzał się po pokoju, tak bardzo był podekscytowany.

- A wiesz, Andy-Pandy, że zanim zacząłem u Searsa, też ubiegałem się o taką licencję?

Nie mieściło mi się w głowie, że do tej pory o tym nie wspomniał.

- To chyba geny. A dlaczego w końcu nie zostałeś agentem?

- Moja mama zachorowała i ciągle odkładałem zdanie egzaminu. Wychwyciłam podobieństwo między nami, ale tata chyba nie.

W końcu wszyscy troje prawie do północy szukaliśmy papierów z kursu taty. Było jak na przyjęciu czy podczas zabawy w poszukiwanie skarbów. Z latarkami przekopaliśmy wszystkie pudła w garażu. Licencji nie znaleźliśmy, za to trafiliśmy na wiele innych skarbów: moje stare przebrania na Halloween, listy taty, które pisał do mamy z Wietnamu, szydełkową narzutę w stokrotki, dzieło babci, na wpół zeżartą przez mole.

Następnego dnia zadzwoniłam do Fran Selwyn.

- Spróbuję zdobyć licencję - powiedziałam.

- Wspaniale. Proszę nas informować, jak pani idzie. Niecierpliwie czekamy na pani podanie o pracę.

- Mam jeszcze jedno pytanie - zaczęłam, zanim odłożyłam słuchawkę. - Mówiła pani, że nowa filia będzie w Palm Desert. Czy agenci muszą tam mieszkać?

- Nie wiadomo, jaka będzie polityka firmy - odparła. - Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Oczywiście, tak byłoby wygodniej, ale nie sądzę, żeby to był warunek.

Odłożyłam słuchawkę, rozczarowana jej odpowiedzią. Jasne „tak” albo „nie” zdjęłoby ze mnie odpowiedzialność. A teraz sama muszę dokonać wyboru. Własne mieszkanie w Palm Desert, o niczym bardziej nie marzyłam. Ale zostawić mamę i tatę tylko dlatego... Nie byłam pewna, czy się na to zdobędę.

Mama była w kuchni, myła warzywa na obiad. Powiedziałam od razu:

- Bardzo prawdopodobne, że jeśli zostanę agentką, będę się musiała wyprowadzić do Palm Desert.

Skinęła głową.

- To rozsądne.

Patrzyłam na jej ręce, zręczne i pomarszczone. Skrobała marchewki.

- Ale nie mogę wam tego zrobić. Odłożyła marchewkę i staranie wytarła ręce.

- Oczywiście, że możesz, Pandoro.

Śmieszne, ale miałam łzy w oczach. Wyszłam z kuchni, zanim to zobaczyła. Kilka minut później przyszła do mojego pokoju.

- Mam pomysł. Jeśli pojedziesz do Palm Desert, mogłaby u nas zamieszkać Millie.

- Millie Sanders? - zdziwiłam się.

- Tak jest. Znowu dzisiaj dzwoniła. Biedactwo, nie wie, co ze sobą począć. Dzieci jej nie chcą, wyjazd z Barstow chyba dobrze jej robi. Mogłaby tu przyjechać, zamieszkać w twoim pokoju, pomóc mi przy Franku. Byłoby wspaniale.

Uśmiechała się, jakby wszystko było już załatwione. Patrzyłam na nią tak wzruszona, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Zdawałam sobie sprawę, że ostatnie, na co mama ma ochotę, to wspólne mieszkanie z przyjaciółką ze szkolnej ławy, i że robi to tylko dla mnie.

Objęłam ją.

- Dziękuję, mamusiu.

Poszła porozmawiać z tatą i zadzwonić do Millie. Godzinę później wszystko było ustalone.

Następnego dnia wypisałam się z zajęć na College of the Desert i zgłosiłam na kurs dla agentów handlu nieruchomościami. Byłam zachwycona, nawet matematyka okazała się zrozumiała. Do testu zostało jeszcze wiele tygodni, a ja już się uczyłam. Na test składało się sto pięćdziesiąt pytań wielokrotnego wyboru. Mogę nie odpowiedzieć na czterdzieści pięć i zdać, ale postanowiłam sobie, że odpowiem poprawnie na sto procent pytań. W życiu nie miałam tak silnej motywacji.

W każdy weekend jeździłam do Palm Desert i szukałam mieszkania. Znalazłam kilka ciekawych propozycji i wieczorami studiowałam pisma poświęcone wystrojowi wnętrza, wyobrażałam sobie, jak umebluję moje mieszkanko.

To był czas nadziei, czas szczęścia. Aż nagle, pewnego dnia, wszystko się zmieniło.

Dziewiętnastego lipca siedzieliśmy w kuchni z mamą i tatą i jedliśmy śniadanie. Zadzwonił telefon.

- Pewnie Millie - powiedziała mama i poszła odebrać.

Z jej tonu i postawy od razu wywnioskowaliśmy, że stało się coś strasznego. Obserwowaliśmy jąprzerażeni, szukając wskazówek. W końcu powiedziała:

- Dzięki za wiadomość, Marilynn. - Tata jęknął, jakby ugodziła go śmiertelna strzała.

Mama odłożyła słuchawkę.

- Gene miał atak serca.

Po południu wyruszyłam do Los Angeles. Pojechałam od razu do szpitala. Zaprowadzili mnie na OIOM. Wujek Gene leżał podłączony do monitorów i maszyn, które tak dobrze znałam z ostrego dyżuru. Okropne, że teraz widziałam jego wśród tych urządzeń.

Rozmawiałam z lekarzem. Powiedział, że testy nie są jednoznaczne. W tej chwili nie może wyrokować, czy wujek Gene z tego wyjdzie, czy nie.

Przez cały ranek siedziałam z ciotką Marilynn na korytarzu. Wiedziałam, że mnie tam nie chce, ale musiałam zostać.

- Umrze - powtarzała. - Wiem, że umrze.

Pielęgniarka w końcu zaproponowała, żeby poszła do domu. Odwiozłam ją. Zapytałam, czy mogę coś zrobić, do kogoś zadzwonić, skoczyć po zakupy, ale przerwała mi w pół słowa:

- Jak długo zamierzasz tu zostać?

Powiedziałam, że jeśli chce, mogę się wynieść do hotelu.

- Skądże - oburzyła się. - Jesteś bratanicą mojego męża i możesz się u nas zatrzymać, tylko nie spodziewaj się, że będę ci prała i gotowała.

Po południu, zanim wróciłam do szpitala, pojechałam do Beverly Center i przechadzałam się po centrum handlowym. Wspominałam dawne czasy, kiedy byłam mała i wujek Gene mnie tutaj przywoził. Najpierw zawsze szliśmy na lunch, a potem do sklepu z zabawkami. Nadal go widzę - roześmiany wujek Święty Mikołaj zjadający pizzę, lecz na ten obraz nakłada się Gene teraz, szary i bezradny, podłączony do tych wszystkich urządzeń.

Następnego ranka czekałyśmy na OIOM-ie przez godzinę, zanim wyszedł uśmiechnięty lekarz.

- Mam dla pań dobre wiadomości - oznajmił. - Ostatnie badania wykazują znaczną poprawę. Chyba mogę oficjalnie powiedzieć, że niebezpieczeństwo minęło.

Wybiegłam na korytarz. Zaczęłam płakać i nie mogłam przestać. Z automatu zadzwoniłam do taty. Kiedy przekazałam mu dobre wieści, też się rozplakał.

Po południu wujka Gene'a przeniesiono z OIOM-u na zwykły oddział. Usiadłam koło niego na łóżku i wzięłam go za ręce. Były ciepłe i silne. Uścisnęłam je. Odpowiedział tym samym.

- Kocham cię, Andy-Pandy - szepnął.

Po południu wpadłam do sklepu firmowego wytwórni Warner Brothers i kupiłam pluszowego ptaszka Tweety.

Uznałam, że to idealna maskotka dla wujka Gene'a, póki nie wróci do domu.

Następnego ranka pojechałyśmy do szpitala po śniadaniu. Przed pokojem wujka Gene'a czekała na nas pielęgniarka.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - Usiłowaliśmy się z paniami skontaktować, ale panie już wyszły.

Wujek Gene zmarł tego ranka.

Odwiozłam ciotkę Marilyn do domu. Położyłam ją do łóżka, poszłam do gabinetu i usiadłam w fotelu wujka.

Gapiałam się na ptaszka Tweety i czekałam, aż przyjdzie wujek i będę mogła mu go dać.

W końcu zadzwoniłam do taty. Odczekałam cztery sygnały, zanim odebrał. Już się nie martwił, przecież nie liczył się ze złymi nowinami, ale kiedy usłyszał mój głos, wiedział. Powtarzał w kółko:

- Mały Eugene, mały Eugene.

W końcu mamusia zabrała mu słuchawkę. Mówiła żwawo i energicznie.

- Zajmę się tatą- zapewniła. - Jesteśmy z ciebie dumni, że tak świetnie sobie radzisz.

Mruknełam, że z niczym sobie nie radzę. Nawet z nim nie porozmawiałam. . .

Zostałam z ciotką Marilyn całą dzień. Robiłam, co mogłam, żeby jej pomóc, dzwoniłam, załatwiałam różne sprawy.

Po południu wzięła się w garść. Przyjechali jej krewni, królowała wśród nich w salonie.

Co chwila zaglądałam do gabinetu wujka Gene'a. Póki tam byłam, mogłam udawać, że i on zaraz przyjdzie, że wyszedł tylko na chwilę, do kuchni po piwo.

A jeśli wyteżyłam słuch, słyszałam nawet jego głos.

- No, Andy-Pandy, opowiadaj, co słysząc.

- Co słysząc? Umarłeś, wujku Gene, i brakuje mi ciebie bardziej, niż sądziłam.

Patrzyłam na kasety wideo na półkach, oprawione plakaty na ścianach. Do tej pory nigdy nie zauważyłam, jak podobne są nasze pokoje.

Podeszłam do biblioteczki, wzięłam do ręki fotos z *Czarnoksiężnika z krainy Oz* z autografami. Kiedy byłam mała, była to dla mnie najwspanialsza rzecz na świecie. Muskałam palcem podpisy Judy Girland, Raya Bolera, Berta Lahra. I przekomarzałam się z wujkiem Gene'em: „A kiedy umrzesz, dostanę ten obrazek? Obiecujesz?”

Tylko że nigdy nie sądziłam, że umrze naprawdę.

Byłam już spakowana, gotowa do powrotu do domu, gdy do pokoju zajrzała ciotka Marilyn.

- Rozmawiałam z prawnikiem. Zaraz przyjedzie. Chce z tobą porozmawiać. Nie mam pojęcia dlaczego.

Ja też nie miałam i nie rozumiałam, dlaczego nie możemy załatwić tego przez telefon. Zirytowana, zaniósłam walizkę do samochodu i wróciłam do domu.

Okazał się młody, pełen nadmiernego zapału i przesadnego współczucia. Puszczając mimo uszu jego kondolencje, przecież wcale nie znał wujka Gene'a.

We trójkę usiedliśmy przy stole w jadalni. Zaczął czytać testament. Tego też nie słuchałam, gapiłam się w okno.

Nagle ciotka Marilyn głośno wciągnęła powietrze. Patrzyła na mnie, miała białe usta.

- Co?

Odwzajemniłam jej spojrzenie. Nie wiedziałam, bo nie słuchałam. Prawnik musiał powtórzyć to trzykrotnie, zanim do mnie dotarło.

- Wujek Gene zostawił pani agencję.

Ciotka Marilyn wstała z fotela. Myślałam, że mnie uderzy.

Prawnik nie był już taki pewny siebie, spokorniał, starał się jąspokoić. Może nieco przesadził... agencja właściwie nie należy do mnie... mam tylko prawo do dochodu... Ciotce Marilyn należy się osiemdziesiąt procent wartości firmy... Nie wolno mi podejmować żadnych ważnych decyzji bez jej zgody...

- Ale pan Brown jasno zaznaczył, że chciałby, aby po jego śmierci firmę poprowadziła jego bratanica. Chyba że odmówi i sprzeda swoje udziały.

Ciotka Marilyn spojrzała na mnie i niemal wypluła:

- Oczywiście, że odmówi.

Wyszłam. Poszłam do parku po drugiej stronie ulicy, na Highland. Zostawił mi agencję. Zostawił mi agencję. W miarę powtarzania słowa traciły sens.

Usiadłam na ławce pod dębem. Przypomniało mi się, jak wujek Gene po raz ostatni przyjechał do Palm Springs.

Poszliśmy wtedy na lotnisko i powiedział, że powinnam przyjechać do Los Angeles. Ciekawe, czy to wtedy wpadł na ten pomysł. A może o wiele wcześniej? Może przez te wszystkie lata, gdy dorastałam, a on dawał mi kasety i plakaty, planował, że pewnego dnia da mi też agencję?

Cała ta sprawa jest taka nieprawdopodobna. Chyba chciał w taki dziwaczny, pokręcony sposób pomóc tatusiowi, całej naszej rodzinie, ale niepotrzebny nam taki *deus ex machina*. Niepotrzebna nam agencja ani wujek Gene, który nas osądza i twierdzi, że jesteśmy do niczego.

Wiedziała, że jestem niesprawiedliwa. Dał mi ją, bo mnie kochał. Bo byliśmy tacy sami.

Pewnie wiedział, że sprawi tym przykrość ciotce Marilyn. Przypomniałam sobie jej minę, kiedy prawnik czytał testament, i zakręciło mi się w głowie. Zsunęłam się z ławki, położyłam na wilgotnej trawie i gapiłam się na drzewa. Późnym wieczorem wróciłam do Palm Springs. Mama i tata już spali i zobaczyłam się z nimi dopiero rano.

Tata w ciągu tej jednej nocy bardzo się postarzał. Kazał mi usiąść koło siebie i opowiedzieć wszystko o wujku Genie. W kółko wałkowaliśmy jego ostatnie dni.

Odwlekałam rozmowę o agencji, ale przy śniadaniu pojawił się temat testamentu. Mama powiedziała, że dzwonił prawnik - wujek Gene zapisał



tatusiowi gotówkę. Już rozdysponowała te pieniądze - będą na lekarstwa dla taty i pensję dla Millie. Widziałam jednak, że się nie cieszy. Pieniądze zjawiły się za późno, a tata w ogóle nie chciał o tym rozmawiać. Poczekałam, aż skończymy jeść.

- Mnie też coś zostawił - oznajmiłam. - Agencję.

Nie powinnam mówić tak prosto z mostu. Tata pobladł. Upodobniłam się do prawnika, gdy paplałam szybko:

- Właściwie to mi jej nie zostawił, większa część pieniędzy i tak trafi do ciotki Marilyn, wujek Gene chciał tylko, żebym poprowadziła firmę.

- I co powiedziałaś? - zapytała w końcu mama.

- Że się zastanowię. Ale oczywiście odmówię. Bo co ja wiem o prowadzeniu agencji?

Tego ranka byłam zbyt zmęczona, by zająć się czymkolwiek. Poszłam do siebie i puściłam na wideo

*Deszczowapiosenkę*. To był nasz film, wujka Gene'a i mój. Wyłączyłam go po kilku minutach - zrobiło mi się bardzo smutno.

Poszłam do taty. Siedział w łóżku, przeglądał jeden ze starych albumów, które znaleźliśmy w garażu. Klej wysechł i zdjęcia wypadały jak suche liście.

Kiedy weszłam, uśmiechnął się.

- Czy opowiadałem ci kiedyś, jak poznałem twoją mamę? Oczywiście, miliony razy. Usiadłam jednak na łóżku i pozwoliłam, żeby opowiedział to jeszcze raz.

- Gene był wtedy ze mną. Uważał, że Meg jest zabójcza. Wydał mi się taki kruchy. Płakał.

- Wszyscy go podziwialiśmy, chociaż był najmłodszy. Miał w sobie to coś. Wszyscy wiedzieliśmy, że coś osiągnie, będzie kimś. I tak się stało. Jego agencja to duża rzecz. Stworzył ją z niczego. To była jego największa duma.

Wstałam z łóżka, podeszłam do okna.

- Chcesz, żebym ją poprowadziła, tatusiu? Westchnął.

- Nie moja sprawa, co zrobisz. Rób co chcesz, Andy-Pandy.

Poszłam do kuchni, zaparzyłam sobie kawę. Cały czas dźwięczały mi w uszach słowa taty: że agencja to największa duma wujka Gene'a, że stworzył ją z niczego, że ją kochał.

Oczywiście nie ma najmniejszego sensu, żebym ją prowadziła, nie mam doświadczenia, nikt mi nie zaufa. Ale wujek Gene o tym wiedział, a jednak

mi ją zostawił. Przecież nie zrobiłby tego, gdyby nie wierzył, że sobie poradzą. Może tchórz, tak szybko odrzucając spadek? Może wcale nie będzie tak trudno? Może nauczy się, jak być agentką?

Wyobraziłam sobie, co będzie, jeśli nie przejmę spadku. Ciotka Mari-lynn natychmiast ją sprzeda. Nowi właściciele albo zachowają agencję artystyczną, albo, co bardziej prawdopodobne, otworzą zamiast niej salon kosmetyczny lub atelier fotograficzne - zdjęcia w godzinę. Na pewno zmienią nazwę i już nie będzie agencji Gene'a Browna.

Poszłam do taty.

- Postanowiłam spróbować - oznajmiłam. Widziałam po jego minie, że bardzo się ucieszył. '

Później zadzwoniłam do Fran Selwyn. Powiedziałam, co się stało i wyjaśniłam, że na razie muszą odłożyć plany co do pracy w handlu nieruchomościami. Powiedziała, że rozumie i życzy mi szczęścia.

Wieczorem pojechałam do Gary'ego i przekazałam mu nowiny. Długo milczał.

- Nie rozumiem - powiedział w końcu. - Gdybyś sprzedała swoje udziały w agencji, mogłabyś kupić dom, może nawet w Palm Desert. I mogłabyś zaopiekować się rodzicami. Wydawało mi się, że o to ci chodziło.

- I nadal chodzi - mruknęłam. - Ale moje udziały w agencji nawet w przybliżeniu nie są tyle warte. Tym sposobem zarobię więcej, będę dostawała pensję i prowizję.

- Naprawdę musisz przenosić się do Los Angeles? - Na widok jego miny pękało mi serce.

- Gary, muszę... z wielu powodów.

- A ja najwyraźniej jestem jednym z nich - stwierdził z goryczą. - Wystarczająco jasno dałaś mi to do zrozumienia.

Ruszyłam w jego stronę, ale się cofnęłam.

- Moim zdaniem postępujesz nieodpowiedzialnie - powiedział. - Nie chcesz się zmierzyć z problemami i uciekasz od rzeczywistości.

Wyszłam.

Kiedy wróciłam, mama jeszcze nie spała.

- Czy myślisz, że postępuję nieodpowiedzialnie i samolubnie? - zapytałam. - Czy uważasz, że nie chcę zmierzyć się z problemami i uciekam od rzeczywistości? Bo jeśli tak, powiedz mi, a dam sobie spokój. Sprzedam moje udziały i zostanę w Palm Springs.

Mama mnie objęła.

- Jedź, jedź, jedź - szepnęła.

Następnego ranka po raz pierwszy zadzwoniłam do agencji. Odebrała jakaś kobieta. Nie byłam pewna kto to, więc uważałam, żeby za dużo nie zdradzić. Powiedziałam tylko, że jestem bratanicą Gene'a Browna i że przez pewien czas będę kierowała firmą.

Chwila ciszy.

- Tak - powiedziała końcu. - Prawnik wszystko mi wytłumaczył. Jestem Lori Max, byłam asystentką pani wuja.

Wydawała się bardzo miła.

- Wie pani, kiedy pani zacznie?

- Prawdopodobnie pierwszego sierpnia.

- Świetnie. Ale do tego czasu musi pani podpisać kilka czeków. Może wyślę je pani kurierem?

Zapisała mój adres.

- Będajutro.

Odłożyłam słuchawkę, wyobraziłam sobie ciężarówkę FedEksu, jak wiezie mi czeki do podpisu. Teraz nie mam już wyjścia.

Poszłam do taty, przysiadłam na oparciu jego fotela.

- Mam dwadzieścia cztery lata - zaczęłam - nikt nie potraktuje mnie poważnie.

- Gene miał tylko dwadzieścia osiem, kiedy zakładał agencję - przypomniał tata. - Zresztą nie zapominaj, gdzie będziesz. Przecież w Hollywood dwadzieścia cztery lata to już starość.

Roześmiałam się i przyznałam mu rację.

Pogrzeb wujka Gene'a był w następny wtorek. Tata źle się czuł, więc sama pojechałam do Los Angeles.

Nabożeństwo odprawiono w Forest Lawn, niedaleko Pasadeny. Ulżyło mi, gdy zobaczyłam tłumy w kaplicy, chociaż poza ciotką Marilyn nikogo nie znałam. Patrzyłam na obce twarze i zastanawiałam się, którzy z tych ludzi to klienci wujka Gene'a, a teraz moi.

Podeszłam do ciotki Marilyn, dotknęłam jej ramienia. Odwróciła się, ale kiedy mnie zobaczyła, szybko odeszła.

Więcej do niej nie podchodziłam.

Bardzo brakowało mi wujka Gene'a, żałowałam, że nie siedzi koło mnie. Byłby zachwycony anegdotami, które o nim opowiadano, byłby wspaniałą publicznością.

Na dzień przed moim wyjazdem do Los Angeles zjawiała się Millie. Zawsze ją lubiłam. Często wpadała do nas, kiedy mieszkaliśmy w Barstow, jednak nigdy nie myślałam, że kiedyś będzie mieszkała w moim pokoju.

Wieczorem mama i tata urządzili pożegnalne przyjęcie - szwedzki stół w ogrodzie za domem. Przyszli sąsiedzi i moi przyjaciele z pogotowia. Wszyscy powtarzali, jaka to dla mnie szansa, ale mówili to tak, jakbym wybierała się na wojnę albo do więzienia.

Pod koniec przyjęcia pojawił się Gary. Nie byłam pewna, czy w ogóle przyjdzie. Pocałował mnie w policzek.

- Wiem, że doskonale ci pójdzie - powiedział. Miałam łzy w oczach.

- Dziękuję.

Przytuliłam się do niego. Nie spytałam, kiedy się znowu zobaczymy. On też nie.

Przyjechałam do Los Angeles późnym popołudniem. Dziwnie się czułam, nie skręcając w Highland, do domu wujka Gene'a.

Pojechałam do Hollywood i znalazłam nieduży hotelik. Recepcjonista poinformował mnie, że dosłownie za rogiem umarła Janis Joplin.

Z okna roztaczał się widok na Hollywood Boulevard. Patrzyłam, jak bezdomny załatwia się na rogu ulicy. Dawniej Hollywood chyba tak nie wyglądało. Kiedy wujek Gene mnie tu zabierał, wydawało się pełne blasku.

Niewiele spałam. Wstałam o szóstej, wykapałam się, zjadłam śniadanie w kafejce naprzeciwko hotelu. Obejrzałam dwa punkty informacji, a potem dałam sobie spokój i po prostu czekałam, kiedy będę mogła wybrać się do agencji.

O dziewiątej ruszyłam Sunset Boulevard. W West Hollywood przez kilka minut krążyłam bez celu uliczkami, chciałam poznać okolicę. Spodobało mi się. Elegancja, ale nonszalancka, stare budynki z czerwonej cegły i modne sklepy, i restauracje.

Znalazłam agencję. Objechałam budynek dookoła, nie wiedziałam, gdzie zaparkować. Znalazłam w końcu nieduży parking, ale tabliczka informowała, że tylko dla lokatorów. Już miałam odjechać, kiedy dotarło do mnie, że teraz ja też jestem lokatorką.

Wjechałam, zaparkowałam. I siedziałam przez dziesięć minut w środku, zbyt zdenerwowana, żeby wysiąść.

W końcu podeszłam do budynku. Nacisnęłam klamkę, ale drzwi były zamknięte. Znalazłam guzik domofonu.

Nacisnęłam. Po chwili rozległ się warkot i ktoś wpuścił mnie do środka.

Pchnęłam ciężkie drzwi i weszłam do holu. Wyglądał inaczej, niż zapamiętałam. Na ścianach wisiały oprawione plakaty ze starych filmów. Ta-

kie nagromadzenie znanych twarzy przydawało agencji niesamowitej atmosfery.

Lori Max czekała na mnie. Wyglądała zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałam po naszej rozmowie. Była piękna, uwodzicielska, miała zielone oczy i długie czarne włosy. Miała najwyżej dwadzieścia dwa, trzy lata.

Powiedziałam, jak bardzo się cieszę, że ją poznałam i podziękowałam za wszystko, co zrobiła do tej pory.

- Jak się zapewne domyślasz, nie mam zielonego pojęcia o prowadzeniu agencji - wyjaśniałam. - Mam nadzieję, że tu zostaniesz.

Uśmiechnęła się.

- Ani mi się śni odchodzić.

Zaprowadziła mnie do biura. Ono także różniło się od tego z moich wspomnień, ale powtarzałam sobie, że dzisiaj oglądam wszystko z innej perspektywy. Dawniej agencja należała do wujka Gene'a; dzisiaj jest moja.

Była ciasna i ciemna: kwadratowy hol, którego znaczną część zajmowała recepcja, mój gabinet tuż obok. Lori siedzi w mniejszym, po lewej stronie, po prawej są dwa jeszcze mniejsze pokoiki, właściwie schowki. Jeden dla sekretarki, drugi to nasza kartoteka.

- Kto jeszcze pracuje w tym budynku? - zapytałam.

Lori zaczęła wyliczankę: agencja literacka, agencja handlu nieruchomościami, kilka firm produkcyjnych.

- No i jeszcze, oczywiście, agencja Johna Bradshawa. Zajmującałe piętro.

Przypomniałam sobie, że kiedyś go widziałam. Miałam wtedy około jedenastu lat. Z windy wysiadł wysoki, elegancki, siwy mężczyzna i wujek Gene nas sobie przedstawił.

„Właśnie poznałaś żywą legendę”, powiedział mi później.

Wróciłam do gabinetu. Nadal były tam rzeczy wujka Gene'a, jego książki, notatki, fotografie w ramkach. Usiadłam za biurkiem, wyobraziłam sobie, że czuję jego obecność.

- Zaczynamy - powiedziałam do Lori. - Opowiedz mi o agencji. Jak wygląda praca?

- Dobra - uśmiechnęła się i zaczęła: - Mamy pięćdziesięciu klientów, wszelkie branże, filmy i telewizja, aktorzy charakterystyczni, komicy, kaskaderzy, dzieciaki. Zaczynamy o wpół do dziesiątej wieczorem, sprawdzamy oferty w Internecie. O wpół do dziewiątej rano jesteśmy w biurze. Wyciągamy zdjęcia klientów z akt. Dzwonimy do szefów castingów. Załatwiamy przesłuchania. Zawiadamiamy klientów. Negocjujemy ich honoraria. Spotykamy się z przedstawicielami wytwórni filmowych. Szukamy

nowych klientów. Prowadzimy księgowość. Zamawiamy towar. Wychodzimy o wpół do siódmej i sprawdzamy w Internecie oferty... Uśmiechnęła się.

- Zapamiętałaś? Przełknęłam ślinę.

- Jak ty sobie z tym radzisz?

- Och, przyzwyczaisz się.

Kiedy Lori mówiła, dzwoniły telefony, włączała się automatyczna sekretarka, a faks wypluwał kartkę za kartką. Pomyślałam o moim dotychczasowym życiu, spokojnym i niewyszukanym: wieczorami partyjka scrab-ble'a z rodzicami, pielienie ogródka, informowanie pacjentów o ubezpieczeniu. A teraz to. Negocjowanie wynagrodzeń. Załatwianie spotkań. Spotkania z przedstawicielami wytwórni.

- Od czego mam zacząć? - zapytałam.

Kiedy wychodziłam o siódmej, ledwo żyłam, ale głowę miałam pełną wrażeń. Byłam zbyt podekscytowana, by wracać do hotelu, jeździłam więc po całym Los Angeles, starając się poznać miasto. W końcu źle skręciłam z Beverly Boulevard i wylądowałam przed szpitalem Cedars-Sinai, w którym umarł wujek Gene.

Później odechciało mi się jeździć, więc wróciłam do hotelu. Po drodze minęłam Gardner Street. Lori mówiła, że ma tam mieszkanie. To chyba miła okolica, choć trochę zaniedbana. Mijałam kolejne budynki i zastanawiałam się, w którym mieszka.

Lori to jeden z najmiłszych punktów tego dnia. Byłam zachwycona, że jest taka energiczna i kompetentna, i kamień spadł mi z serca, że nie zamierza odejść z agencji.

Dziwne, że wujek Gene nigdy o niej nie wspominał.

## **Lori**

Dopadłam do interkomu, ledwie zadzwoniła. Ostatnie, na co mam ochotę, to żeby Emmett mnie uprzedził i pierwszy położył na niej łapę. Przyjrzałam się jej już w drzwiach. Wysoka, blada jak po rzyganiu, długie żółte włosy. Alicja z Krainy Czarów.

Nie do wiary, nie do wiary, cholera. To debilka, kretynka. Pokazałam jej biuro. O niczym nie ma pieprzonego pojęcia.

Zwariuję. Zabiję się. Jak on mógł, dlaczego zostawił jej agencję? Posuwał ją? Własną bratanicę? Tylko to przychodzi mi do głowy.

Nie spieprz tego, niczego nie okazuj. Muszę być czarująca, ciągle się uśmiechać. Mówi, jak się cieszy, że zostaje. Jakby miała szansę się mnie pozbyć.

- Dziwię się, że wujek Gene nigdy o tobie nie mówił - oznajmia. Pewnie, ja tylko prowadziłam całą zakochaną agencję, a ten sukinsyn nie wspominał o mnie ani słowem.

- Opowiedz mi o agencji. Jak wygląda praca?

Walę z grubej rury, lista ciągnie się bez końca, ona notuje, telefony się urywają, faks oszalał. Chyba się rozpląca. Biedactwo, aż mi serce pęka.

Wracamy do gabinetu Gene'a, tylko że teraz to chyba gabinet tej suki. Pandora suka Brown. Pani Pandora. Puszka pani Pandory. Pani Puszka.

W gabinecie Gene'a, na półce za jego plecami Oscar, którego dostał od Macka Sennetta jakiś milion lat temu. Puszka nawet go nie zauważa. Nie zasługuje na niego, dostała przecież całą resztę. Nie pojmuję, czemu wcześniej go nie zabrałam.

Biedna Puszka musi gdzieś mieszkać. Rano wchodzi wstrząśnięta. Zatrzymała się w dziadowskim hotelu w Hollywood i w nocy doszło do strzelaniny.

- Och, Lori, to było okropne, strzelali do siebie!

Mam tylko nadzieję, że Troy nie ma z tym nic wspólnego.

Puszka nie może tego wytrzymać, nie zostanie tam ani chwili dłużej. Musi znaleźć mieszkanie.

Bingo. Pierwsza okazja, żeby się do niej zbliżyć. Oczywiście ją wykorzystuję.

- Może będę mogła ci pomóc znaleźć mieszkanie. Rzuca się na mnie.

- Och, Lori, jak to dobrze. Życie mi ratujesz.

Pytam, czy ma na myśli konkretną dzielnicę? Santa Monica, Centinela, Culver City, West Hollywood? Mówi, że może West Hollywood, bo stamtąd najbliżej do agencji.

- I ty tam mieszkasz. Wczoraj nawet przejeżdżałam Gardner Street i zastanawiałam się, w którym mieszkasz budynku. Uśmiecha się. Lubi mnie. Dobrze, bardzo dobrze.

Mówię jej, że mam kilku znajomych, którzy szukają podnajemców.

- Powiesz im o mnie? Zgadzą się to dla niej zrobić.

Muszę to przemyśleć. Znam kilku świrów, których wolę, żeby Puszka nie poznała. To mogłoby się obrócić przeciwko mnie. I wtedy przypominam sobie Suzanne. To powinno się udać. Suzanne jest normalna, mieszkanie w porządku. Chodziłyśmy razem do szkoły. Jakie to niewinne, jakie słodkie. Jak stworzone dla Puszki.

Dzwonię do Suzanne. Mówi, że możemy wpaść. Mówię Puszce, że chyba znalazłam jej mieszkanie.

- Och, Lori, jesteś wspaniała.

Jedziemy do Suzanne po pracy. Pytam Puskę, czy chce, żebyśmy pojechały osobno. Nie, wolałaby pojechać ze mną. Idziemy do mojego samochodu. Parkuję na końcu ulicy.

Dyszy, tak szybko idę.

- Dlaczego nie parkujesz koło agencji? Mówię, że parking jest tylko dla lokatorów.

- To nie w porządku. Tak ciężko pracujesz. Jeśli chcesz, odstąpię ci moje miejsce.

- Nie, skądże, nie mogłabym... Nie zadowolę się takim ochłapem.

W moim samochodzie poniewierają się dokumenty i akta.

- Przepraszam za bałagan - mówię.

Dociera do niej. Zagryza wargi, zawstydzona, że jej samochodzik jest nieskazitelnie czysty.

- Za kilka tygodni mój pewnie będzie wyglądał tak samo. Nie chce mi się na to odpowiadać.

Jedziemy do Suzanne. Przez całą drogę ple, ple, ple, Puszka zadaje pytania.

„Jaka jest Suzanne? A mieszkanie? Dlaczego szuka podnajemcy?”

Opowiadam, że wyjeżdża do Seattle, bo jej siostra Ellen ma raka i lekarz daje jej najwyżej pół roku. Ale zaraz zmieniam to na rok, na wypadek, gdyby Puszka chciała mieszkanie na dłużej.

Przejmuje się.

- Och, to straszne. Rak czego? Jak ją leczą? - Fałszywa suka, nawet ich nie zna.

U Suzanne w kółko to samo:

- Lori mówiła mi o twojej siostrze. Tak mi przykro. Pracowałam w szpitalu. Jeśli mogłabym jakoś pomóc...

I wtedy wielka niespodzianka. Kiedy przechodzimy z Ellen do sprawy mieszkania, Puszka wrzuca inny bieg. Koniec słodczy. Nagle jest profesjonalistką w każdym calu.



- Suzanne, chciałam zapytać o kilka drobiazgów... -1 męczy ją przez bite pół godziny. - Kiedy była ostatnia inspekcja sanitarna? A kiedy sprawdzano stan techniczny windy? Czy czujniki dymu mają atest?

Włazi pod zlew, szuka pleśni, sprawdza kurki w łazience, ocenia ciśnienie wody. Ze zdumienia opadają nam szczęki. Suzanne pyta:

- Co ty, pracujesz w nieruchomościach czy co? Puszka kiwa głową.

- Coś w tym stylu. Ubiegałam się o licencję, kiedy wujek Gene umarł i zostawił mi agencję. Kocham handel nieruchomościami - wyznaje z westchnieniem. - Bardzo nie chciałam tego rzucać.

Czuję, że twarz mi płonie. Idę do łazienki. Ściskam pieprzony wieszak na ręczniki, ściskam tak, że nie mogę ruszyć ręką. Niech szlag trafi tego drania. Dał jej agencję, a ona nawet jej nie chciała.

Kręci się przez godzinę. Zagląda do wszystkich szuflad, ogląda każdą ścierkę. W końcu bierze mieszkanie.

Kręci się radośnie.

- Moje pierwsze mieszkanie w Los Angeles! Tak się cieszę! Mam ochotę to oblać. Chodźmy na kolację. Ja stawiam.

Suzanne nie ma ochoty na towarzystwo Puszki. Mówi, że ma inne plany. Tak więc zostajemy we dwie.

Można by pomyśleć, że zechce mi się zrewanżować i zaprosi do eleganckiej restauracji, ale nie, lądujemy w El Coyote.

Boże, nie znoszę tej knajpy, zawsze psuje mi humor. Świąteczne dekoracje sprzed stu lat, stare, grube poprzebierane kelnerki, żarcie skapane w tłuszczu.

- Przepadam za tą restauracją - informuje mnie Puszka. - Kiedy byłam mała, wujek Gene przychodził tu ze mną za każdym razem, kiedy przyjeżdżaliśmy do Los Angeles.

Niedobrze mi się robi. Sukinsyn nigdy mnie nigdzie nie zabierał, nawet w moje urodziny. Ani do pieprzonego El Coyote, ani nigdzie indziej.

Kelner jest zabójczy. Ma na imię Grant. Świetnie ciało, ale Troy ma lepsze.

Puszka gra idealną gospodynią. Przez cały czas serwuje mi talk show. „Gdzie dorastałam? Jakie miałam dzieciństwo? Czy zawsze chciałam pracować w agencji artystycznej? Czy mam chłopaka?”

Doprowadza mnie do szału. Pieprzę bzdury, niczego jej nie mówię. Owszem, pracuję dla niej, ale moje dzieciństwo to niczyj, powtarzam, niczyj interes. Troy też.

Potem raczej mnie swoją opowieścią, nieważne, czy mam ochotę tego słuchać, czy nie. Wali wszystko, o chorym ojcu, o domu po niewłaściwej stronie torów. Boże, nic dziwnego, że Gene nie chciał tam jeździć.

Płaci. Wracamy do samochodu. Patrzy na mnie.

- Lori, uważam, że należy ci się prowizja za to, że znalazłaś mi mieszkanie.

Oburzam się.

- O nie, nie ma mowy.

Pochyliła się, całuje mnie w policzek.

- Och, Lori, tak się bałam, że bez wujka Gene'a nie będę szczęśliwa w Los Angeles, ale jesteś dla mnie taka dobra, że wiem, że wszystko się ułoży.

Odwożę ją do domu. Prowizja... Odbiję sobie z drugiej strony, wezmę od Suzanne.

Puszka przypomina mi Gene'a. Wieczna pustka, którą ciągle trzeba na nowo wypełniać - u niego seksem, u niej miłością.

- Jakie masz plany na weekend? - pyta.

Zapytał o to samo tamtego dnia, kiedy się między nami zaczęło.

„Jakie masz plany na weekend?” „Nie mam żadnych”, odparłam. „Ja też nie”. Roześmiał się od niechcienia, jakby wszystko, co powie, można potraktować jako żart. „Moja żona... wyjechała”.

A teraz Puszka mówi dokładnie to samo.

- Jakie masz plany na weekend?

Tym razem chociaż obejdzie się bez seksu. Najważniejsze to się wstrześcić, stać się niezastąpioną.

Pomagam jej wprowadzić się do Suzanne. Ma same rupiecie, tandetę z Palm Springs. Żadnej przyzwoitej biżuterii, same turkusowe śmiecie. W większości pudeł są kasety wideo. Rozpakowuje je, jakby to były sztaby złota.

Wygląda na to, że dostała je od kochanego wujka Gene'a. Wysłuchuję, ile to ją nauczył, jak wielki wpływ miał na jej życie, ple, ple, ple.

- Kiedy przyjeżdżał, wybierał film, który był dla niego ważny, i oglądaliśmy go razem.

Co za bzdura.

A jednak mnie to bierze. Skoro tak cholernie kochał filmy, czemu nigdy, nawet raz, nie zabrał mnie do kina?

Do domu wracam późno. Coś śmierdzi za szafką. Dzwonię do właściciela. Cham mówi, że to nie jego sprawa.

Njenawidzę tego mieszkania.

Wyjęłam chustę od Hermesa, udrapowałam na telewizorze. Wiesz, Puszka, Gene też dawał mi prezenty, i to lepsze niż kasety wideo. Cholera, w chustce mole wyżarły dziurę.

- Lori, musimy odpocząć, tak ciężko pracujemy. Chodźmy na lunch, ja stawiam.

Wpadamy na Jego Wysokość Lorda Bradshawa we własnej osobie. Puszka raczy go promiennym uśmiechem cheerleaderki, on łaskawie kiwa jej głową i odchodzi.

- To John Bradshaw, prawda?

- Tak.

- Kiedyś, kiedy byłam mała, poznałam go. Wujek Gene nas sobie przedstawił. Nie jest zbyt miły, co?

- Nie musi. W Hollywood jest królem.

- Mimo wszystko pracujemy w tym samym budynku. Mógłby chociaż powiedzieć „dzień dobry”.

- Już taki jest - tłumaczę. - Trzyma się z boku.

- Nie rozumiem... wujek Gene zawsze powtarzał... myślałam, że się przyjaźnili.

Śmiać mi się chce.

- Nie bardzo - mówię.

Puszka jest zdumiona, że ktoś nie chciałby się przyjaźnić z cudownym wujkiem Gene'em. Milczy. Nie wiem, co jej chodzi po głowie.

- Jest przystojny jak na swój wiek, nie sądzisz? Mówię, że się nad tym nie zastanawiałam.

- Nie mieści m się w głowie, że tak nas potraktował. To niedopuszczalne. Więc Puszka leci na Johna Bradshawa, tak?

Jadę do Troya. Nie widziałam go od kilku dni, kręcił coś w Nowym Meksyku. Bardzo przyjemne zespolecie.

Przywiózł mi naszyjnik z turkusami. Tandeta, ale pomyślał o mnie. Będę go nosiła.

Wszedł na ekrany jego film *Karawana*. Poszliśmy do Westwood na nocny seans. Film do bani, ale Troy cudowny.

Gra Araba.

Dwa ujęcia w scenie batalistycznej. Zbliżenie, jak go biją i dźgają pierś. Oszukał mnie, zaklinał się, że w tym filmie nie ma bicia. Powiedziałam, że jest draniem, że to przede mną ukrył. Roześmiał się.

- Gdybyś wiedziała, nie chciałabyś tego oglądać.

W tym tygodniu ma trudne zadanie; spalił się w samochodzie. Nie chciałam o tym słuchać, zatkałam uszy. Śmiał się, odciągał mi rękę, i mówił dalej.

Wiem, że musi, to jego praca, ale ciągle się boję, że pewnego dnia do mnie zadzwonią.

Wróciliśmy do mnie. Został na noc. Kolejne przyjemne zespolecie. Mam nadzieję, że para na górze wszystko dobrze słyszała. Leżymy w łóżku. Już zasypiam, kiedy nagle pyta:

- Właściwie jak wygląda twoja nowa szefowa?

Budzę się natychmiast. Co prawda blondynki raczej go nie interesują, ale po co ryzykować. Mówię, że Puszka to nic ciekawego, nie w jego typie.

- Przestań mówić o niej Puszka. Co będzie, jeśli któregoś dnia wymknie ci się to przy niej?

Mam tego dosyć. Mówię, że mogę ją nazywać tak, jak mi się, do cholery, podoba. A potem dotykam go i sprawiam, że przestaje o niej myśleć.

Ma niezłe wyczucie, to muszę jej przyznać. Dobrze, nie chcę, żeby agencja zeszła na psy. Balansowanie na krawędzi; muszę być niezastąpiona, a jednocześnie nauczyć ją tyle, żeby niczego nie spieprzyła, nie popsowała mi interesów. Na razie zabiera mnie na wszystkie spotkania i lunchy. Nie radzi sobie beze mnie.

I o to mi chodzi. Niech traktuje mnie jak współpracowniczkę, nie asystentkę.

Dobrze sobie radzi z klientami. Lepiej niż Gene. Wprowadza ich, przedstawia się. Zaprasza mnie na wszystkie spotkania.

- Znasz Lori Max, prawda? Bez niej bym sobie nie poradziła. Święta prawda, Puszko.

Ustalanie honorarium dla Erica Moralesa za reklamę Cool Chip.

- Och, Lori, muszę zadzwonić do agencji reklamowej. Nigdy czegoś takiego nie robiłam. Zostań tu i posłuchaj, czy niczego nie schrzanę, proszę.

Dobrze sobie radzi. Może to efekt szkolenia w handlu nieruchomościami. Erico dostaje podwyżkę. Odkłada słuchawkę.

- I jak mi poszło? Czy wujek Gene byłby zadowolony?

Nie chcę, żeby nabrała zbyt dużo pewności siebie, nie chcę, żeby myślała, że poradzi sobie beze mnie.

- Poszło ci... super, naprawdę super. - Mówię to z odrobiną wahania, żeby nadal się gryzła.

Piątek, jak zwykle:

- Co dzisiaj robisz, Lori?

Umówiłam się z Troyem, ale odwołał. Jestem zdana na siebie. Mówię Puszce, że pewnie wyskoczę do nowego klubu na Melrose, widzę, że aż ją skręca, tak chce iść. Proponuję, że może się ze mną wybrać, jeśli ma ochotę.

- Z wielką chęcią! Będzie super!

Umawiamy się u niej o siódmej. Poprzestawiała meble Suzanne. Teraz mieszkanie wygląda lepiej, przyznaję.

Wystroiła się - czarna mini, zakręcone włosy.

Jedziemy jej buickiem. Dziadowski samochód, ale nieskazitelnie czysty. Chyba codziennie go sprząta. Ma nawet odświeżacz powietrza, taką choinkę.

I oczywiście jest doskonałym kierowcą. Jedzie powoli, zatrzymuje się na pomarańczowym świetle.

Klub jest bardzo ekskluzywny. Świetna muzyka. Faceci podrywają nas przez cały wieczór. Dużo tańczymy. Jakiś dupek mówi:

- Wyglądacie jak burza i błyskawica.

Ja jestem burza, bo mam ciemne włosy, a Puszka to błyskawica, bo jest taka jasna. Beznadziejny tekst, ale Puszka w kółko do niego wraca.

- Och, Lori, on ma rację, burza i błyskawica, to my, niepokonany zespół.

Tak ci się tylko wydaje, Puszko.

Tańczy z mnóstwem facetów. Jeden prosi ją o numer telefonu. Zmyśla coś.

- Moja ulubiona metoda - mówi później.

- Nie podobał ci się?

- Był w porządku, ale nie jestem zainteresowana.

Nigdy nic nie mówi o swoim facecie. Cholera. To może wszystko skomplikować.

- Masz kogoś?

- Nie, nie, to nie to. Po prostu teraz muszę poświęcić całą energię agencji. - Śmieje się cicho. - Ale gdyby pojawił się ktoś fantastyczny, to oczywiście...

Ciekawe, czy myśli o Johnie Bradshawie. Nagle spogląda na mnie badawczo.

- Lori, mogę cię o coś zapytać? Milczę. I tak pyta.

- Zastanawiałam się... widzisz, Emmett, z góry, powiedział ostatnio coś takiego, że zaczęłam się zastanawiać, czy może ty i wujek Gene...

Lodowaciej. Błyskawicznie się wycofuje.

- Przepraszam. To idiotyczne. Za dużo wypiałam.

Milczę. Kaja się dalej. Zabiję tę sukę, Emmetta.

Druga nad ranem. Jestem zmęczona, mówię, że powinniśmy już iść.

- Było wspaniale, Lori. Chciałabym to jeszcze kiedyś powtórzyć. Mówię, że w Santa Monica otworzyli nowy klub, ale bardzo trudno tam wejść.

- Spróbujemy? Może w następny piątek?

Mówię, że zobaczymy. Wracamy do niej, nadal doskonale prowadzi, mimo wypitego alkoholu. Wsiadając, kradnę choinkę, odświeżacz powietrza.

Dzisiaj marsz przeciwko AIDS. Wyruszamy z Gower, sprzed studia. Parking aż śmierdzi od tyłu dobrych dusz.

Widziałam Gilesa z CBS, waży nie więcej niż pięćdziesiąt kilo. Pomachałam mu, ale nie podeszłam.

Ruszamy Beverly. Myślę o Scotcie i Arturze; co roku tu byliśmy. Boże, jak mi ich brakuje. To byli moi najlepsi przyjaciele. Nie do wiary, że Artur nie żyje już cztery lata, a Scott prawie sześć. Nawet nie poznali Troya. Artur oszalałby na jego punkcie. „Jezu, suko, jak ja ci zazdroszczę”, ale Scott? Nie wiem. Nie jestem pewna, czy polubiłby Troya, czy nie. A Puszka? Co powiedzieliby o Puszce?

Mielibyśmy ubaw po pachy, to pewne.

Doszłam do Fairfax i zrezygnowałam. Nie miałam ochoty iść dalej. Zresztą nikt mnie nie sponsoruje, prawda?

Porządkujemy akta. Dzwoni domofon.

- Tu Marilynn Brown.

Puszka odskakuje z jękiem. Zapowiada się ciekawie.

Drzwi się otwierają. Wchodzi Marilynn. W końcu widzę, jak wygląda. Nic dziwnego, że Gene posuwał mnie przy każdej okazji. Modliszka.

Spodziewam się, że mnie odeśle, że powie, że chce być sama z Puską, ale pieprzona suka w ogóle mnie nie zauważa.

- Ten idiotyczny testament... jeśli.. ..źle pokierujesz agencją... jeśli zagroźisz moim dochodom... Zastanawiam się poważnie, czy nie wziąć adwokata... bla, bla, bla.

Puszka się miota.

- Ciociu Marilynn, rozumiem, co czujesz, nie chcę niczemu zagrażać... robię, co mogę, żeby rozwijać agencję. Nie straciliśmy ani jednego klienta. Co więcej, przejrzałam niektóre umowy i...

Usta Marilyn to niewidoczna kreska.

- Zobaczymy, co z tego wyniknie. - Rozgląda się. - Z pewnością w rekordowym czasie udało ci się zrobić z biura chlew.

Wychodzi. Puszka jest czerwona jak burak.

- Przepraszam, Lori.

- Nie przejmuj się, wszyscy mamy dziwacznych krewnych. Miota się po gabinecie.

- Tylko że... wujek Gene zawsze tak się mną przejmował... i do tego zapisał mi agencję...

Mówię, że wszystko rozumiem. Zagryza usta.

- Też uważasz, że źle wszystkim zarządzam? Powiedz mi, ale szczerze, jak sobie radzę?

Myśl szybko. Ostatnie, czego chcę, to żeby Marilyn położyła łapska na agencji i ją sprzedała. Zostałabym na lodzie.

Moja jedyna szansa to Puszka. Uśmiecham się szeroko.

- Świetnie. Naprawdę, doskonale.

W przyszłym tygodniu jest Święto Dziękczynienia. Matka nie daje mi spokoju.

- Lori, o której przyjdiesz na kolację? Musisz upiec ziemniaki i ugotować fasolkę, tylko nie przypal jak w zeszłym roku.

Chyba tego nie wytrzymam.

Mogłabym pojechać do babci. Staruszkowie, którym wodnisty sos spływa po brodach. Nie, dzięki.

Troy wyjeżdża do znajomych w Denver. Nie zaproponował, żebym się z nim wybrała. Wkurza mnie, że nigdy o mnie nie myśli.

Puszka nie posiada się z podniecenia, jedzie do domu.

- Och, Lori, już się nie mogę doczekać! - Pyta, jakie mam plany. Odpowiadam, że jeszcze nie wiem. W jej oczach pojawia się dziwny błysk. Wraca kilka minut później.

- Wszystko załatwione. Jedziesz ze mną do Palm Springs.

O nie, nie wytrzymam Puszkę przez cztery dni bez przerwy. Dziękuję i tłumaczę, że nie chcę się narzucać.

- Nie wygłupiaj się - przekonuje. - Jesteś dla mnie taka dobra. Przynajmniej tak mogę ci się zrewanżować. Moi rodzice bardzo chcą cię poznać.

Zastanawiam się nad tym. To może być ciekawe. Poznam brata pierdołę i durną żonę. Boże, Gene byłby wściekły.

Tak, zdecydowanie pojedę. Lepsze to niż inne opcje.

Puszka pyta, czy byłam kiedyś w Palm Springs. Odpowiadam:

- Nie, ale zawsze chciałam tam pojechać.

Chociaż bliższe prawdy byłoby: „Nie, udało mi się tego uniknąć”.

We środę wcześniej zamykam agencję, wstępuję do cukierni Sweet Lady Jane i kupuję placek z dynią. Nie wiadomo, co mi tam dadzą, przynajmniej będę miała to.

Myślałam, że zwariuję podczas jazdy. Za San Bernardino nie ma nic, tylko wymarłe miasteczka. Puszka bez przerwy gada.

- Czujesz ten spokój? Czujesz, jak spływają z ciebie wszystkie zmartwienia? - Uśmiecha się. - Tak się cieszę, że ze mną jedziesz. Będziemy się świetnie bawiły.

Pustynia. Niesamowita. Mijamy restaurację. Za budynkiem figury dinozaurów naturalnej wielkości, na wzgórzach wiatraki. Mijamy markowe sklepy, widzę w tym iskierkę nadziei, ale:

- O, nie, tego mamy dość w Los Angeles.

Dojeżdżamy do Palm Springs. Tandetna miejscina, wygląda jak z wyrzuconej kartki świątecznej. Podjeżdżamy pod dom. To przyczepa. Gene zostawił swoją agencję biedocie z przyczepy.

Wychodzi staruch. Powłóczy nogami.

- Lori, to mój tata!

Patrzę, jak Puszka zmienia się w dwulatkę. Wyskakuje z samochodu. Uściski dla tatusia. Biedak ledwo chodzi. Od razu to widać.

Cały dom ustrojony na Święto Dziękczynienia. Wygląda jak sklep z rzeczami po dolarze; wszędzie papierowi pielgrzymi i indyki. Przedstawia mi matkę, ubraną jak idiotka, umalowaną jak klaun. I Millie, staruchę, która z nimi mieszka.

Puszka prowadzi mnie do pokoju. Pomarańczowa narzuta na łóżku, tandetny dywanik. Czuję się, jakbym wylądowała w latach siedemdziesiątych. Puszka jest zakłopotana.

- Mama bardzo lubi żywe kolory.

Wygląda na to, że Puszka i ja zamieszkamy tu razem. Millie zajęła jej dawny pokój.

Dzwoniłam do Troya. Na darmo. Pewnie już wyjechał do Denver. Nie wiem, jak przetrzymam ten weekend.

Przy kolacji jestem tematem numer jeden. Stara Puszka chce wiedzieć wszystko o agencji, dziad o Genie.

- Mój brat był wspaniałym człowiekiem - powtarza.

Był, owszem, ale draniem i oszustem. Ale robię starcowi przyjemność:

- O tak, był niesamowity. To szczęście, że mogłam dla niego pracować.



Stara Puszka patrzy na mnie dziwnie. Mam wrażenie, że nie jest zaślepiona. Chyba wiedziała, jak to naprawdę było ze starym dobrym Gene' em. Po kolacji czas na przemówienia. Zaczyna tatuś:

- Lori, Pandora opowiadała nam, jaka byłaś dla niej dobra. Bardzo ci za to dziękujemy.

Czas na starą Puskę.

- Frank ma rację, kochanie. Bez ciebie nie poradziłaby sobie z prowadzeniem agencji.

Mówię:

- O, to nieprawda. Wasza córka ma wrodzony talent, doskonale dałaby sobie radę sama.

A oni kiwają głowami, jakby to była prawda. Idioci.

Nie mogę zasnąć w tym tandetnym pokoju. Ciągle myślę o Troyu. Co robi w Denver.

Wstaję, żeby się załatwić. Mijam wiklinową szafkę w korytarzu, a tam, na półeczce, plastikowa figurka - kobieta w błękitnej sukni.

Przyglądam się jej, już ją gdzieś widziałam. Tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie i to doprowadza mnie do szału.

A potem myślę: Disneyland.

To był mój pierwszy raz. Miałam, wtedy pięć lat. Ojciec zabrał mnie na karuzelę Królowny Śnieżki. Cały czas trzyma rękę na moim udzie, głaszcze mnie. „Nie bój się, skarbie, tatuś się tobą zaopiekuje, nie pozwoli, żeby wiedźma cię skrzywdziła”.

Później idziemy do sklepu z upominkami. „Dostaniesz prezent, Lori. Dostaniesz prezent, bo byłaś grzeczna”.

Od razu wiem, co chcę. Jest tam figurka: kobieta w niebieskiej sukni, z długimi włosami. Dopiero co zaczęłam naukę w Szkole imienia Najświętszego Serca i jestem przekonana, że to Matka Boska. W szkole wygląda jak suka, ale tu ma ładną buzię, mogłabym się do niej modlić.

Mówię do ojca: „Chcę figurkę Matki Boskiej”.

Śmieje się ze mnie. To nie Matka Boska, to wróżka. W Disneylandzie nie ma Matki Boskiej.

Mówię, że Matka Boska jest wszędzie. Jasne, że to ona, spójrz na niebieską suknię. Ludzie nas słuchają, śmieją się.

Ojciec się złości. „Dosyć tego, Lori. Powiedz, że to wróżka, inaczej ci jej nie kupię”.

Nie mówię. Nie kupuje.

Figurka jest tandetna, niewarta, żeby ją ukraść, ale i tak ją biorę.

Weekend ciągnie się bez końca. Puszka nie daje mi chwili spokoju. „Och, Lori, pokażę ci to”. „Och, Lori, czas na tamto”.

Ciągnie mnie na oglądanie ptaków, pokazuje rezerwat. Muszę się wspinać do jakiegoś pieprzonego wodospadu.

- Przejdziemy się Palm Canyon Drive, spodoba ci się. - Koszmarnie kiczowata uliczka. Ciągnie mnie do każdego sklepu z upominkami. W końcu kupuję kilka pocztówek dla babci. Kiedyś chętnie jeździła do Palm Springs. Puszka jest zachwycona, że kupuję pocztówki. To znaczy, że się dobrze bawię.

W sobotę jedziemy kolejką górską na szczyt. To mi się naprawdę podoba, jest tak biało i cicho. Schodzimy ścieżką wśród sosen, nie ma nikogo oprócz nas.

Ledwo wracamy do Palm Springs, znowu się ożywia.

W niedzielę rano idziemy do Starbucks na kawę i po drugiej stronie ulicy widzę faceta. Świetne ciało, fajny tyłek.

Gapi się na Puskę. Czuję, że coś się święci.

Wchodzi za nami do kawiarni. Niebrzydki. Ciemne włosy, szare oczy, może kropla indiańskiej krwi. Trudno powiedzieć, ile ma lat, coś koło dwudziestu pięciu. Dziecinne rysy, ale bystre oczy.

- Cześć.

Puszka podskakuje na pół metra.

- Cześć, Gary. - Obejmuje go. - Tak się cieszę, że cię widzę. Przepraszam, że nie zdążyliśmy do ciebie wpaść, to był zwariowany weekend. - Odwraca się do mnie. - To moja asystentka, Lori Max. Lori, Gary Ortiz.

Wszyscy troje przyglądamy się sobie w milczeniu. Ciekawe, o co tu chodzi.

W końcu jest niedzielne popołudnie, weekend się skończył. Odwieź mnie wreszcie do domu. Wyjeżdżamy o drugiej, wyściskane przez stare Puszki. Wstrzymuję oddech, obejmując tatuśka. Nie chcę, żeby smród śmierci ciągnął się za mną przez cały dzień.

Puszka milczy w drodze do Los Angeles. Coś ją gryzie.

- Lori - mówi w końcu - od dawna chciałam cię o to zapytać: czy wujek Gene coś ci obiecywał? No wiesz, w związku z agencją?

Zastanawiam się gorączkowo, co odpowiedzieć. Ciekawe, co wypaplał ten gnój, Emmett. Nic mu nie mówiłam, ale ludzie spekulują.

Podstępne pytanie. Jeśli powiem, że owszem, może coś zrobi. Przecież za mną szaleje. Ale równie dobrze może się przestraszyć i wycofać.

Nie, jeszcze za wcześnie na taki ruch. Uśmiecham się szeroko.

- Nie, niczego mi nie obiecywał. Nie wiem, o co ci chodzi. Bingo. Trafiony, zatopiony. Widzę, jak opuszcza ramiona.

- Cieszę się - mówi. - Nie chciałabym, żeby się okazało, że wprowadził cię w błąd. Nieprawda, Puszko, cieszysz się, bo nie musisz walczyć ze mną o agencję-  
Wracam do domu, jadę do matki. Wypytuje o Palm Springs. Opowiadam, że było beznadziejnie. Pyta, ęo kupiłam. Mówię, że niczego tam nie było, tylko pocztówki dla babci.  
- A mnie dlaczego nie kupiłaś? - pyta. - Nie tylko babcia lubi pocztówki.  
Powiedziała, że jak byłam mała, też pojechałam do Palm Springs. Mówię, że nie pamiętam.  
- Oczywiście, że pamiętasz. Nasz motel miał z tyłu huśtawkę, nie chciałaś z niej zejść. Ojciec huśtał cię cały dzień. Jak możesz tego nie pamiętać?  
Nie pamiętam.  
Nie znoszę tej wizji - dłoni ojca popychających mnie na huśtawce pod palmami.  
Jadę na Sunset, zobaczyć, co u Jessy. Nie ma jej na rogu. Są inni, śpią albo piją. Pytam, gdzie Jessa? Ktoś widział karetkę, ale bardziej na wschód.  
Idę dalej. Mijam kilka przecznic i Jessa jest, pcha swój wózek. Podbiegam do niej. Robię awanturę, że nie ma jej na zwykłym rogu. Mówi, że może sobie iść, dokąd ma ochotę, jak wszyscy. A potem zaczyna się śmiać, jakby spletała mi świetnego figła.  
Moim zdaniem to nie jest śmieszne. Nie lubię, kiedy ludzie odchodzą.  
Wyjmuję banknot dziesięciodolarowy, daję jej. Mówi, że nie chce, to za dużo, nie wie, co z tym zrobić. Daję jej piątkę; bierze. Mówię, że mam dla niej nową siatkę - ze sklepu z Palm Springs, fioletową z zielonym napisem. Mówi, że nie chce; na razie ma dosyć toreb. Nie chce od mnie ani pieniędzy, ani torby. Cholera.  
A Troy wrócił z Denver, ale się nie odzywa. Też mi nowina.

## **Gary**

Pandora wyjechała do Los Angeles i zostawiła w moim życiu wielką dziurę. Choć już od kilku miesięcy nie byliśmy razem, przygnębiała mnie świadomość, że nie ma jej w pobliżu. Chodziłem na małe pielgrzymki,

odwiedzałem miejsca, które mi ją przypominały: szkołę podstawową Katherine Finchy, szpital Eisenhowera, wodospad w kanionie Taquitz. Wyobrażałem sobie, że podniosę głowę i tam będzie, w parku albo na ścieżce. Czasami jechałem do Domów Marzeń i w kółko przejeżdżałem na motorze przed jej domem. Tam było mi najłatwiej ją sobie wyobrazić, jak stoi przy ogrodzeniu i patrzy na startujące samoloty.

Od czasu do czasu wpadałem do jej rodziców, zobaczyć, jak sobie radzą. Pani Brown miała się dobrze, była pełna życia, jak dawniej. Mieszkała z nimi jej stara przyjaciółka, Millie, i towarzystwo chyba dobrze jej zrobiło.

Martwiłem się natomiast o pana Browna - bardzo schudł i z trudem przechodził z pokoju do pokoju.

Ale ilekroć wpadałem, nadal ogrywał mnie w karty.

Naszym tematem numer jeden zawsze była Pandora. Rodzice opowiadali, że ciężko pracuje, że się uczy, jak prowadzić agencję. Bardzo pomaga jej w tym jakaś asystentka; znalazła nawet Pandorze mieszkanie i pokazała miasto.

Ucieszyło mnie to - nie chciałem, żeby była tam samotna. Jednocześnie jednak wolałbym sam się w to bardziej zaangażować, pomagać jej przy przeprowadzce i urządzaniu mieszkania.

Lecz Pandora chyba nie chciała mnie wtedy w swoim życiu. Nawet jako przyjaciela. Odkąd wyjechała do Los Angeles, nie odezwała się do mnie. Wiedziałem od jej rodziców, że kilka razy przyjechała do Palm Springs, ale nigdy do mnie nie zadzwoniła. W pewnym sensie wcale mnie to nie zaskoczyło, ale i tak bolało.

Po raz ostatni widziałem ją na przyjęciu pożegnalnym. Pocałowałem ją w policzek i życzyłem szczęścia. Kiedy wyjechała, głowiłem się, jakiego magicznego słowa mogłem użyć, jakie zdanie sprawiłoby, że znowu bylibyśmy razem. Jednak docierało do mnie powoli, że może takie słowa, takie zdanie, nie istnieją.

Miałem teraz tylko jedno wyjście - dać jej wolność. Nie dzwoniłem, nie pisałem e-maili, nie starałem się z nią zobaczyć, kiedy przyjeżdżała do Palm Springs. Mijały tygodnie i łapałem się na tym, że Pandora istnieje w moim umyśle w próżni. Nie wyobrażałem jej już sobie w Palm Springs, ale nie miałem czym zastąpić tych wizji.

Choć zabrzmiało to dziwnie, nigdy nie byłem w Los Angeles. Wielu mieszkańców pustyni nigdy tam nie było. Wiemy jak wygląda z filmów i telewizji i wcale nas tam nie ciągnie. Więc ilekroć usiłowałem sobie wyobrazić Pandorę w innym otoczeniu, miałem w głowie pustkę. Stała się abstrakcyjnym pojęciem, prowadziła życie, którego sobie nie wyobrażałem, w mieście, którego nie znałem.

Aż pewnego dnia, mniej więcej sześć tygodni po jej wyjeździe, złapałem się na tym, że tam jadę. Zaczęło się jak każda zwykła niedziela. Wstałem rano, przejrzałem gazetę i wskoczyłem na motor. Lecz tym razem pustynia na mnie nie działała. Miałem wrażenie, że przyglądam się sobie przez niewłaściwą końcówkę teleskopu. Jadę na głupim, hałaśliwym motorze, a całe lata mojego życia wsiąkają w piach. Opuściłem sobie pustynię i ruszyłem autostradą 111. W Idyllwild pomyślałem, że wpadnę do mojego przyjaciela Bobby'ego, ale nie było go w domu. A potem, zamiast zawrócić do Palm Springs, gnałem dalej na zachód. Kiedy pojawił się zjazd na autostradę numer 10, skręciłem, chyba wtedy jeszcze nie przyznawałem się przed sobą, dokąd jadę. Minałem Beaumont i Banning, San Bernardino. W południe zatrzymałem się w Montclair na lunch i żeby zatankować. A potem wjechałem na autostradę 101 i zobaczyłem drogowskazy do centrum Los Angeles. Moje pierwsze wrażenie było takie, że miasto jest zdecydowanie za duże. Ponieważ nie miałem pojęcia, dokąd się wybieram, jeździłem w kółko i wmawiałem sobie, że w końcu wyczuję atmosferę tego miasta. To jednak okazało się niemożliwe. Nastrój zmieniał się co przecznicę. W jednej chwili otaczały mnie wiekowe domy mieszkalne, w następnej opuszczone ruiny, a po paru minutach nowoczesne wieżowce. Pani Brown mówiła, przy której ulicy mieszka Pandora. Coś jak Sweet albo Chocolate, nie mogłem sobie przypomnieć. W Hollywood, tyle wiedziałem. Zatrzymałem się i zapytałem taksówkarza, jak dojechać do Hollywood. Przewrócił oczami i odpowiedział. Pewnie myślał, że szukam gwiazd. Dojechałem do Hollywood i nie mogłem uwierzyć, że to tutaj zjeżdżają się turyści z całego świata. W życiu nie byłem w bardziej obskurnej dzielnicy: stopy śmieci, okna zabite deskami, bezdomni, sklepy porno na każdym rogu. W Palm Springs nie pozwolilibyśmy na coś takiego. Wylądowałem przed Chinese Theater, gdzie gwiazdy sprzed lat odcisnęły stopy w asfalcie. Pomyślałem, że skoro już tam jestem, mogę się rozejrzeć. Ich nazwiska nic mi nie mówiły, póki nie zobaczyłem odcisków pantofelek na wysokich obcasach - Marilyn Monroe. Zawsze ją lubiłem. Wskoczyłem na siodełko i nagle sobie przypomniałem: Sweetser, tak, tak się nazywa ulica Pandory. Podjechałem na stację benzynową, pozwolili mi zerknąć do przewodnika, ale nie mogłem znaleźć tej ulicy. Zapytałem pracownika, czy o niej słyszał. Spojrzał na mnie jak na idiotę. Okazało

się, że jest w West Hollywood, nie w Hollywood, i pisze się Sweetzer, przez „z”.

Pojechałem tam. Wmawiałem sobie, że nie odwiedzę Pandory, że tylko obejrzę jej ulicę.

Znalazłem ją i jechałem powoli, przecznica po przecznicy. Była to przyjemna okolica, pełna starych budynków z czerwonej cegły. Niektóre lata świetności miały już za sobą, ale robiły przyjazne i spokojne wrażenie, można było sobie wyobrazić ich mieszkańców. Ale nie widziałem Pandory.

I nagle poczułem, że muszę ją zobaczyć. Tęskniłem za nią tak bardzo, że aż bolało. Cała duma zniknęła. Nie mogłem być tak blisko i nawet na nią nie spojrzeć.

Zadzwoiłem z komórki do pani Brown i zapytałem o adres Pandory. Nie mówiłem, skąd dzwonię. Podała mi adres i ruszyłem, lecz im bliżej jej domu byłem, tym wolniej jechałem.

Kiedy byliśmy dziećmi, często to robiłem - przejeżdżałem koło jej domu w nadziei, że wpadnę na nią „przypadkiem”. Jeśli się spotkaliśmy, nie ma sprawy, zawsze mogłem powiedzieć, że chciałem popatrzeć na samoloty. Teraz nie miałem żadnej wymówki. Nie mogłem udawać, że jestem w Los Angeles z powodów innych niż prawdziwy.

Znalazłem właściwy budynek, zaparkowałem. Czekałem kilka minut, miałem nadzieję, że Pandora wyjdzie i nasze spotkanie będzie bardziej swobodne. Lecz nikt wychodził i nie miałem wyboru - musiałem podejść do drzwi.

Na domofonie było wiele nazwisk i przycisków. Przy jednym przeczytałem: P. BROWN, NR 3. Długo się na niego gapiłem. Tyle razy już widziałem „P. BROWN” - na książkach i zeszytach z podstawówki, na świątecznych kartkach, na szkolnych strojach gimnastycznych. Widok znajomego nazwiska w tak obcym otoczeniu sprawił, że zachciało mi się płakać.

Długo tak stałem, nie mogąc zdobyć się na to, by nacisnąć guzik. A jeśli Pandora jest w domu? Co mam jej powiedzieć, jak wyjaśnić, że zjawiam się jak grom z jasnego nieba?

W końcu odszedłem. Obiecałem sobie, że wkrótce wrócę i załatwię to jak trzeba. Zadzwoię wcześniej i powiem, że przyjeżdżam do Los Angeles po oprogramowanie i że chciałbym się z nią umówić na lunch czy do kina. Z tym postanowieniem mogłem wsiąść na motor i wracać do Palm Springs. Lecz już przy San Bernardino ten pomysł wydał mi się bezsensowny i wiedziałem, że nigdy do Los Angeles nie wrócę.

Po tym dniu wreszcie pogodziłem się z faktem, że Pandora naprawdę odeszła i że nie wróci. Znowu skupiłem się na własnym życiu, zmieniłem co nieco, szedłem naprzód. Chodziłem nawet na randki, głównie z dziewczynami, z którymi umawiali mnie Bobby i Tom, ale nic z tego nie wyszło. Zająłem się też pracą, przekonany, że to przynajmniej jest dziedzina mojego życia, nad którą mam kontrolę.

Lecz czasami, wbrew wszystkiemu, łapałem się na myślach o Pandorze. Śniło mi się często, że jestem w centrum handlowym, jadę w dół schodami ruchomymi, a na sąsiednich schodach, jadących do góry, nagle widzę ją. Macham i krzyczę, ale ona mnie nie słyszy. Nie potrzebowałem psychologa, by mi wyjaśnił, co znaczy i ten, i wszystkie inne sny, w których kocham się z Pandorą nad strumieniem.

Jej urodziny przypadają dwudziestego piątego października. Chciałem jakoś je uczcić, ale nie przesadzić. W końcu kupiłem jej mały kaktusik i posłałem z bilecikiem: JEŚLI TĘSKNISZ ZA DOMEM. Odpisała, że bardzo jej się spodobał. Nie wspomniała, czy tęskni za domem, czy nie.

Nadal co jakiś czas wpadałem do jej rodziców. Ilekroć u nich byłem, wysłuchiwałem nowej opowieści o kliencie, którego zdobyła, czy umowie, którą podpisała. Mówili, że kocha pracę w agencji i Los Angeles. A ja powtarzałem, że bardzo mnie to cieszy.

Wiedziałem, że przyjedzie do domu na Święto Dziękczynienia i postanowiłem, że wtedy się z nią zobaczę.

Wymyśliłem, że wpadnę po południu i odwiedzę całą rodzinę. To nie będzie takie krepujące.

Przyjechali do nas z Dallas Janinę i mój dwuletni siostrzeniec. Spędziłem z nimi cały ranek, napawałem się rolą dumnego wujka i woziłem małego w wózek. Ale zaraz po uroczystej kolacji pobiegłem do Chia Place.

Pani Brown powiedziała, że minąłem się z Pandorą.

- Wyszła jakieś piętnaście minut temu, z koleżanką z pracy. Na pewno zaraz wrócą. Może poczekasz i zjesz kawałek placka?

Odmówiłem. Tak długo czekałem, aż znowu ją zobaczę i nie tak wyobrażałem sobie tę scenę.

- Nie ma sprawy - powiedziałem. - Proszę jej tylko powiedzieć, że wpadłem.

Tego wieczoru siedziałem w domu w nadziei, że zadzwoni telefon. Nie zadzwonił.

A jednak w tamten weekend w końcu widziałem się z Pandorą. W niedzielę rano szedłem Palm Canyon Drive po gazetę i zobaczyłem ją, jak przechodzi przez jezdnię przy Starbucks.

Bardzo się zmieniła. Skróciła włosy do ramion, zrobiła ciemniejsze pasemka. Wyglądały świetnie, ale to nie były już włosy Pandory. Nie znałem jej ciuchów, chyba często chodziła w Los Angeles na zakupy. Wyglądała prawie jak turystka, bogata turystka, która wpadła do naszego małego miasteczka.

Była z nią koleżanka z pracy. Pewnie większość ludzi nazwałaby ją piękną, lecz na mnie jej wygląd nie robił wrażenia. Nie było w niej nic naturalnego: makijaż, fryzura, nawet jej chód były starannie przemyślane, obliczone na maksymalny efekt. I, jak na mój gust, była odrobinę zbyt pewna siebie. Gapili się na nią wszyscy faceci i dobrze o tym wiedziała.

Wszedłem za nimi do Starbucks. Pandora mnie nie widziała, ale jej przyjaciółka zmierzyła mnie od stóp do głów.

- Cześć - powiedziałem.

Pandora podskoczyła, kiedy usłyszała mój głos.

- Och, cześć, Gary - powiedziała i uściskała mnie pospiesznie. - Cieszę się, że cię widzę. - Była speszona.

Przedstawiła przyjaciółkę, a potem nikt z nas nie wiedział, co powiedzieć.

W końcu zacząłem mówić o jej rodzicach, że co jakiś czas do nich wpadam, mam na nich oko.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Bardzo się cieszę na twoje wizyty. Nagle mówiła jak dawna Pandora.

Chłopak za ladą wywołał numer.

- To my - powiedziała. Znowu krępująca cisza. - Może się do nas dosiędziesz? - zapytała w końcu. - Podzielę się z tobą moim cappuccino.

- Nie, dzięki - odparłem.

- Cóż...

Pocałowałem ją w policzek i wyszedłem. Pojechałem do domu, usiadłem na kanapie i przez długi czas gapiłem się w podłogę.

Okolo trzeciej zadzwonił telefon. Tom, mój przyjaciel, zapraszał mnie na kolację. Chciał, żebym poznał Helenę, jego nową dziewczynę. Obiecałem, że przyjdę.

Z ulgą odłożyłem słuchawkę. Miałem na co czekać, coś, co oderwie moje myśli od Pandory Brown.

Wieczór zaczął się miło. Polubiłem Helenę. Była nieśmiała i cicha, ładna bezpretensjonalną urodą, która od razu zapada w serce. I wzruszało mnie, jak patrzy na Toma. Żaden śmiertelnik, a już zwłaszcza mój stary kumpel Tommy, nie zasługuje na takie oddanie.

Po kolacji Tom uśmiechnął się do mnie szeroko.



- Mamy ci coś do powiedzenia. Helenę i ja pobieramy się w Nowy Rok i chcemy, żebyś był świadkiem.

Opowiadał o wszystkim ze szczegółami, ale byłem w takim szoku, że niewiele do mnie dotarło. Niemożliwe, żeby mój przyjaciel od czasów przedszkolnych naprawdę się żenił. Starłem się cieszyć ich szczęściem, ale potem Tom wspomniawszy coś o przeprowadzce w kwietniu do Albuquerque.

- Albuquerque! - jęknąłem.

- Tak, Helenę stamtąd pochodzi i chciałyby być bliżej rodziny. Skinąłem głową, ale bardzo mi się to nie podobało. To już tradycja -

wszyscy najbliżsi mi ludzie wyjeżdżają.

Gdy jechałem do domu, z każdą mijaną przecznicą coraz bardziej się nad sobą litowałem. Na wspomnienie wieczoru, na myśl o zachowaniu Toma i Heleny, ich żartów i pocałunków, ogarniała mnie coraz większa rozpacz. Jak to jest, zastanawiałem się, że mój przyjaciel ożeni się z kobietą, którą kocha, a ja tak bardzo oddaliłem się do Pandory, że nawet do mnie nie dzwoni, kiedy jest w mieście?

Gdy mijałem sklep monopolowy niedaleko domu, złapałem się na tym, że zsiadam z motoru i wchodzę do środka. Nigdy dużo nie piłem, lecz tamtego wieczoru alkohol wydawał się najlepszym rozwiązaniem. Wróciłem do domu, usiadłem na kanapie i otworzyłem butelkę tequili. Miałem mnóstwo zaległej pracy, ale ciągle to odkładałem.

Wypiłem kieliszek, jeden, drugi. Picie było łatwiejsze niż programowanie i o wiele przyjemniejsze od rozmyślań o Pandorze Brown.

O jedenastej miałem dać sobie spokój i iść spać, ale postanowiłem chociaż trochę popracować. Dostałem pierwsze zlecenie od nowego klienta i uznałem, że jestem na tyle trzeźwy, że mogę zrobić wstępne kalkulacje. Włączyłem komputer i usiadłem za biurkiem.

Następne, co pamiętam, to sny o ogniu. W tym śnie otaczał mnie dym i płomienie, a ja nie mogłem uciec. W końcu udało mi się otworzyć oczy i okazało się, że wcale nie śnię.

Powietrze było gęste od dymu, z komputera buchały płomienie. Monitor jaśniał jak dynia na Halloween, widziałem, jak eksploduje. Ogień był wszędzie: na dywanie, dokumentach, zasłonach, chciałem wstać, ale moje stopy zdawały się grzęznąć w smole.

Z oddali słyszałem stukanie, ale tak zaschło mi w gardle, że nie byłem w stanie wydobyć głosu. A potem drzwi się otworzyły i stał w nich Mac, mój sąsiad. Co się działo później, nie pamiętam.

Ocknąłem się w korytarzu. Mac klęczał obok mnie. Było tu mniej dymu i mogłem swobodnie oddychać. Chciałem wrócić do mieszkania, ale mnie

nie puszczał. Przyjechała straż pożarna, minęło pół godziny i było po wszystkim.

Jeden ze strażaków zabezpieczył drzwi żółtą taśmą i zabronił mi wchodzić do mieszkania, lecz gdy wszyscy poszli, przeciąłem taśmę i wróciłem do tego, co niedawno było moim salonem. Wszędzie tylko sadza, popiół i woda. Nie zostało nic.

Osunąłem się na kolana i rozplakałem jak dziecko.

Z następnych dni pamiętam niewiele. Miałem wrażenie, że opary tequila ciągle nie wywietrzały mi z głowy. Nie mogłem się na niczym skoncentrować, a może po prostu nie chciałem.

Musiałem się zająć ubezpieczeniem, wypełnić formularze. Wstępne oględziny wykazały, że pożar wywołała usterka w komputerze, wiatraczek nie zadziałał, procesor się przegrzał. Był to błąd fabryczny, więc pewnie nie pójdę do więzienia za podpalenie, choć czułem się winny, jakbym to ja podłożył ogień. Wiedziałem, że gdybym tyle nie wypił, mógłbym coś zrobić - zapobiec przegrzaniu albo chociaż zminimalizować straty, cokolwiek, w każdym razie nie stałbym teraz wśród sadzy i popiołu, które zostały z mojego życia.

To były stracone dni. Nie byłem w stanie nic robić. Nie miałem nawet serca do motoru. Uznałem, że nie zasługuję nawet na taką ulgę, choćby krótkotrwałą.

Chwilowo wprowadziłem się do mamy. Czułem się dziwnie, jak uchodźca. Większość czasu spędzałem na zakupach, starałem się zastąpić wszystko, co straciłem w pożarze. Artykuły biurowe i ubrania stanowiły najmniejszy problem, ale codziennie przypominałem sobie o czymś, czego się nie da zastąpić, a co straciłem - szkolne roczniki, modele samolotów, portret Pandory.

Mama patrzyła na wszystko przez różowe okulary, nie mogła się doczekać, kiedy firma ubezpieczeniowa wypłaci mi odszkodowanie i zacznę nowe życie. Ja jednak nie wybiegałem myślami tak daleko; z trudem skupiałem się na tym, co trzeba zrobić natychmiast.

Kiedy tylko poczułem się na siłach, usiłowałem pracować, odtworzyć dane klientów, które miałem na twardym dysku. Nie najlepiej mi to szło, ale przynajmniej czas szybciej mijał. Noce były koszarne. Bałem się zasnąć, bałem się, że znowu przyśni mi się pożar. Oglądałem powtórki starych filmów, piłem litry kawy, starałem się nie zasnąć.

Przy odrobinie szczęścia wytrzymałem do wschodu słońca, kładłem się i drzemałem kilka godzin. Czułem się jakbym miał sto lat.

Pewnego ranka do mojego pokoju weszła mama i powiedziała: - Telefon do ciebie.

Wiedziałem, kto dzwoni, zanim podniosłem słuchawkę.

- Gary, tu Pandora. Właśnie dowiedziałam się, co się stało. Trudno w to uwierzyć. Jak się czujesz?

- W porządku. - Nie masz poparzeń?

- Nic z tych rzeczy. Ale z mieszkania nic nie zostało.

- Przykro mi. Było urocze. - To prawda.

Nie mogłem się powstrzymać, pomyślałem o niezliczonych godzinach, które spędziłem tam z Pandorą - na kanapie, przed telewizorem, w łóżku.

- Jakie masz teraz plany?

- Chyba zacznę od zera.

- To takie niesprawiedliwe.

- Nie przejmuj się, poradzę sobie.

- Mam nadzieję - powiedziała. - Jeśli mogę ci jakoś pomóc, daj znać. Odłożyłem słuchawkę, wzruszony i zaskoczony. Zadzwoiła ponownie kilka minut później.

- Posłuchaj, Gary - zaczęła - mam świetny pomysł. Chyba jest coś, co mogę dla ciebie zrobić. Sprawa z ubezpieczeniem może się jeszcze długo ciągnąć, może nawet kilka miesięcy. Wiesz, może ci się to wyda szalone, ale moim zdaniem powinieneś przyjechać do Los Angeles. Roześmiałem się. - Rzeczywiście, to szaleństwo.

- Posłuchaj mnie, to bardzo rozsądna propozycja. Skoro i tak musisz zaczynać od zera, czemu nie w mieście prawdziwych możliwości? Jest tutaj sto razy więcej okazji, ja sama znam z tuzin osób, którym mogłabym cię polecić. Naprawdę rozwinięsz tu skrzydła. - Urwała na chwilę. - A moja pomoc wyglądałaby następująco: mamy tu w agencji mały pokój, używamy go jako schowka, ale łatwo da się go opróżnić. Jeśli się zdecydujesz, mógłbyś tam pracować tak długo, jak zechcesz. Zaoszczędzisz na czynszu.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Zapraszasz mnie do swojego biura?

- No, tak - niecierpliwiła się. Nadal nie mieściło mi się to w głowie.

- Przepraszam, jeśli jestem na to za głupi - wyjąkałem. - To bardzo miłe z twojej strony i jestem ci wdzięczny, ale, szczerze mówiąc, też trochę zagubiony. To znaczy, ostatnio bardzo jasno dałaś mi do zrozumienia, że nie życzysz sobie mojego towarzystwa.

Milczała przez chwilę.

- Gary, mama powiedziała, że mało brakowało, a zginąłbyś w tym pożarze. Wiem, że ostatnio byłam okropna, ale zawsze będziesz moim Kochanym Kumplem. Powiedzmy, że jestem ci to winna.

Stwierdziłem oczywiście, że nic mi nie jest winna.

- Przemyśl to.

Więc to przemyślałem i w końcu do niej zadzwoniłem.

- Czy facet może zmienić zdanie? - zapytałem. Odpowiedziała, że tak.

Mama uznała, że zwariowałem.

- Dlaczego jedziesz do Los Angeles? Siedz w domu, póki nie wypłacą ci ubezpieczenia, a wtedy zaczniesz tam, gdzie przerwałeś.

Tłumaczyłem, że nie jestem pewien, czy nadal tego chcę.

- Może ten ogień to znak. Może już czas, żebym coś zmienił. Mama tylko kręciła głową i wzdychała. Ale w końcu się zgodziła, albo

udała, że się zgadza, i uznała, że wyjazd do Los Angeles to dobry pomysł. Moi przyjaciele nie kryli podniecenia, powtarzali, że mam o nich pamiętać, kiedy zarobię pierwszy milion.

Podejrzewam, że mama wiedziała, iż prawdziwy powód, dla którego wyjeżdżałem, nie miał nic wspólnego z karierą czy milionami. Nigdy jednak o tym nie rozmawialiśmy.

W noc przed wyjazdem niewiele spałem. Nagle dotarło do mnie, co zostawiam: ukochane miejsca, przyjaciół, aksamitną ciszę pustynnej nocy. Wrócę, oczywiście, ale to już nie będzie to samo.

Następnego ranka zadzwoniła Janinę z Dallas, żeby życzyć mi powodzenia. Słyszałem w tle, jak mały wykrzykuje: „Wujek Gary, wujek Gary”, i coś ścisnęło mnie w gardle.

- Przywieź go do Los Angeles - powiedziałem Janinę - a zabiorę was oboje na mecz Dodgersów.

W końcu załadowałem bagaże do dzipa i byłem gotów. Mama uściskała mnie mocno i ruszyłem w drogę.

Podczas jazdy planowałem moje początki w Los Angeles. Pierwsze, co muszę zrobić, to kupić komputer.

Obliczyłem, że wystarczy mi na peceta średniej klasy, z bazą danych Oracle, pakietem Windows, C++ i Visual BASIC. Kiedy dostanę ubezpieczenie, podrasuję go.

Kolejny krok to założyć firmę, jak w Palm Springs. Będę się ogłaszał w gazecie, zamówię wizytówki i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeśli będzie mało zleceń, zawsze mogę się ogłaszać jako pogotowie techniczne. Nie byłem w tym najlepszy, ale dawałem sobie radę.

Dzięki Pandorze nie musiałem martwić się o biuro, a jeśli chodzi o miejsce do spania, zastanawiałem się, czy nie pozwoliłaby mi, przynajmniej na początku, nocować w biurze. Miałem nadzieję, że w moim pokoiku zmieści się kanapa. Jeśli nie, na wszelki wypadek zabrałem śpiwór.

O wpół do jedenastej byłem na przedmieściach Los Angeles. Pamiętałem wskazówki Pandory; skręciłem w Robertson i jechałem na północ.

Tym razem Los Angeles nie było takie przytłaczające. Może dlatego, że jechałem dżipem, nie motocyklem, a może dlatego, że miałem już pojęcie, czego się spodziewać. Agencja mieściła się niedaleko Sunset Plaza. Spodobała mi się okolica, była zadbana, ale nie tandetna.

Bez problemów znalazłem budynek agencji, ale nie wiedziałem, gdzie zostawić samochód. Za agencją zobaczyłem niewielki parking z tabliczką: TYLKO DLA LOKATORÓW i nie byłem pewien, czy się kwalifikuję. W końcu zaparkowałem kilka przecznic dalej i wróciłem na piechotę. Nie wiedząc, czego się spodziewać, nacisnąłem guzik Agencji Artystycznej Gene'a Browna.

Wpuszczono mnie do holu. Był wąski i ciemny, na ścianach wisiały wielkie plakaty ze starych filmów. Otworzyły się drzwi po lewej stronie i wybiegła z nich Pandora.

- Gary! - Rzuciła mi się na szyję.

Poczułem się, jakbym znowu był jedenastolatkiem, którego uwielbiała, jakby wszystko, co było później, nie miało znaczenia. I w tym momencie poczułem się szczęśliwy, że z nią jestem, i nic innego się nie liczyło.

Weszliśmy do agencji. Szczerze mówiąc, wyglądała inaczej, niż sobie wyobrażałem. Od lat słuchałem opowieści o Agencji Artystycznej Gene'a Browna i zdecydowanie mnie rozczarowała. Była mniejsza, bardziej obskurna, zagracona. Najpierw recepcja, a w niej Lori Max. Układała zdjęcia. Kiedy wszedłem, podniosła głowę i uśmiechnęła się sztucznie. Podałem jej rękę i wyraziłem nadzieję, że moja obecność nie będzie jej przeszkadzać.

- Skądże - zapewniła. - Bardzo się cieszymy, że z nami będziesz. Ciekawe, czy ktoś jej zapłacił, żeby tak powiedziała.

Pandora oprowadzała mnie dalej. Uderzyło mnie, ile tam się działo - telefony się urywały, faksy co chwila wypluwały wiadomości, wszędzie piętrzyły się akta.

- Teraz twój gabinet - oznajmiła w końcu. - Ostrzegałam cię, to nic takiego.

Był w sam raz. Widziałem, że starała się przygotować go na mój przyjazd. Wyrzuciła wszystko, wstawiła biurko, fotel i biblioteczkę. W rogu wcisnęła nawet małą lodówkę, na parapecie stała mikroskopijna kuchenka. A na biurku czekał pękaty kaktus w doniczce.

Uśmiechnęła się.

- Żebyś to ty nie tęsknił za domem.

## **Pandora**

Byłam wstrząśnięta, kiedy mama zadzwoniła i powiedziała, że mało brakowało, a Gary zginąłby w pożarze. W kółko sobie wyobrażałam, że jestem na jego pogrzebie i słucham, jak pastor opowiada, jaki wspaniały był mój Kochany Kumpel.

Odkąd wyjechałam do Los Angeles, w ogóle nie utrzymywałam z nim kontaktów. Celowo. Wydawało mi się, że tak będzie najłatwiej, najlepiej, tak po prostu przeciąć tę więź. Ale teraz mam straszne wyrzuty sumienia. Uświadomiłam sobie, ile dla mnie znaczył.

Zadzwoniłam, żeby się przekonać, jak się trzyma. Mówił, że w porządku, ale wydawał się zagubiony.

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Poczucie winy, na pewno, i stare uczucia, i wspomnienie tego, czym dla mnie był przez całe życie. W każdym razie, ani się obejrzałam, a dzwoniłam do niego po raz drugi i proponowałam, żeby przyjechał do Los Angeles i pracował w moim biurze tak długo, jak zechce.

Ledwie to powiedziałam, wpadłam w panikę, co ja takiego narobiłam.

- Zupełnie oszalałam - jęczałam w słuchawkę do Steph, tego samego wieczora. - Gary był jednym z powodów, dla których chciałam wyjechać z Palm Springs, a teraz sama sprowadzam go do Los Angeles! Co się ze mną dzieje?

- Nic - odparła Steph. - Między wami są niedokończone sprawy. Zastanawiałam się gorączkowo, co ma na myśli.

Gary przyjechał tydzień później, nieśmiały i nieswój z dala od pustyni. Dziwnie było zobaczyć go w Los Angeles, w holu agencji.

Oprowadziłam go po biurze. Spodobało mu się, jak urządziłam jego gabinet.

- Ostrzegałam cię, to nic takiego - powiedziałam.

- Wiesz, zastanawiałem się - zawahał się. - Czy nie mógłbym tu zamieszkać na jakiś czas, póki nie rozkręcę firmy.

Zupełnie mnie zaskoczył.

- Ale tu się nie da mieszkać. Nie ma nawet prysznicza.

- Coś wymyślę. Nie jestem wybredny. A chciałbym zaoszczędzić ile się da.

Powiedziałam, że oczywiście, może zamieszkać.

Początkowo dziwnie się czułam, mając Gary'ego w biurze. Było mi głupio i nieswojo, zwłaszcza że nie do końca wiedziałam, jak go traktować. Jak byłego chłopaka? Przyjaciela? Współlokatora? Lecz ona sam określił swoją rolę, i to już pierwszego dnia. Zachowywał się jak lokator - ani mniej, ani więcej - cudowny lokator, który instalował programy komputerowe, naprawiał zepsute półki, a nawet zawoził zdjęcia, jeśli było trzeba.

Ponieważ to ja go ściągnęłam do Los Angeles, zależało mi, żeby był tu szczęśliwy. Proponowałam mu wspólne lunche, i że go oprowadzę i przedstawię potencjalnym klientom. Zgodził się tylko na to ostatnie.

- Uspokój się - powtarzał. - Nie martw się, poradzę sobie.

Nie byłam tego taka pewna, ale wiedziałam, jaki jest dumny, więc nie nalegałam.

Szczerze mówiąc, ulżyło mi, że jest taki niezależny. Cały czas pamiętałam słowa Steph, że między nami są niedokończone sprawy, i wolałam trzymać je z daleka od siebie.

W poniedziałkowy rano siedziałam za biurkiem, kiedy poczułam drzenie pod stopami. Lori jeszcze nie przyszła.

Krzyknęłam do Gary'ego, żeby stanął pod framugą.

- Nie przejmuj się - dodałam. - Trzęsienia ziemi w Los Angeles nigdy nie trwają długo!

Z wyjątkiem tego. Drgania się nasilały i wkrótce miało się wrażenie, że na dachu naszego budynku ląduje jumbo jet.

Kiedy podniosłam głowę i zobaczyłam, jak ściany oddzielają się do sufitu, zaczęłam wrzeszczeć.

Gary spokojnie przeszedł przez pokój, złapał mnie za ramię i wepchnął pod biurko. Kiedy wstrząsy wreszcie ustały, wypełzłam, zbyt zawstydzona, by mu podziękować.

Wyszliśmy do holu, przekonać się, co z innymi. Nikomu nic się nie stało, wszyscy tłoczyli się przy schodach i relacjonowali swoje przeżycia. W pewnym sensie było to pocieszające, po raz pierwszy od przyjazdu do Los Angeles poczułam się częścią wspólnoty. Szukałam wzrokiem Johna Bradshawa, ale Emmett powiedział, że jeszcze nie przyszedł.

Gary i ja wróciliśmy do biura oszacować zniszczenia. Panował tam straszny bałagan, mnóstwo potłuczonego szkła, książki i papierów. Usiłowałam dodzwonić się do Palm Springs, powiedzieć rodzicom, że nic mi nie jest,

ale wszystkie linie były zajęte. W kółko próbowałam, za każdym razem na darmo. Wpadłam w histerię na myśl, że tata słucha wiadomości i nie może się ze mną skontaktować. Gary w końcu podszedł do mnie i wyjął mi słuchawkę z dłoni.

- Denerwujesz się - powiedział. - Później znowu spróbujesz. A tymczasem posprzątajmy tu.

Pół godziny później wreszcie uzyskałam połączenie, ale nikt nie odbierał. Telefon dzwonił i dzwonił. Nie rozumiałam tego. Zawsze ktoś był w domu, nawet jeśli mama wychodzi, zostaje Millie.

- To tata - powiedziałam. - Wiem to. Coś mu się stało. Gary się roześmiał.

- Ależ z ciebie panikara.

Akurat wtedy weszła Lori. Opowiedzieliśmy sobie, co robiliśmy w trakcie trzęsienia ziemi i Gary sięgnął po kurtkę.

- Skoro Lori już jest, wyskoczę na trochę.

O dziesiątej w końcu dodzwoniłam się do mamy. Okazało się, że niepotrzebnie się martwiłam, nie wiedziała nawet, że było trzęsienie ziemi. W Palm Springs było tak ładnie, że we trójkę jedli śniadanie w ogrodzie. Nie słuchali wiadomości, nie słyszeli telefonu. Zrobiło mi się głupio.

Kilka godzin później mama zadzwoniła do mnie.

- Nie uwierzysz, kto właśnie od nas wyszedł.

- Kto?

- Gary. To cudowne. Przyjechał, żeby się upewnić, że się o ciebie nie martwimy.

Kiedy wrócił po południu, nie wiedziałam, co powiedzieć.

- To bardzo miło, że pojechałeś do moich rodziców - zaczęłam w końcu - ale dodzwoniłam się do mamy zaraz po twoim wyjściu.

- Domyślałem się - odparł. - Rozmawiałem też z moją mamą. Ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli osobiście im powiem, że nic nam się nie stało.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, moje pierwsze święta w Los Angeles i chciałam je jak najlepiej wykorzystać. Słuchałam przebranych kolędników na Beverly Drive, oglądałam pokazy sztucznych ogni przy zoo, pojechałam na Candy Cane Lane w Woodland Hills, żeby obejrzeć pięknie przystrojone domy. A w sobotnie popołudnia szukałam prezentów.

Kilka dni przed gwiazdką mijałam sklep Crate and Barrel i zobaczyłam kobaltowo niebieski czajnik, dokładnie w tym odcieniu, co kuchnia ciotki Marilyn. Nie miałam zamiaru kupować jej prezentu, ale jakby nie było,



zbliżały się święta i pomyślałam, że to dobry sposób, żeby naprawić zerwane więzi.

Wieczorem pojechałam do niej, żeby go wręczyć. Nie byłam tam, odkąd prawnik odczytał testament. Otworzyła drzwi i wbiła we mnie wzrok.

- Tak?

- Chciałam ci tylko życzyć wesołych świąt - powiedziałam i wyciągnęłam rękę z prezentem. - I wręczyć to. Zacisnęła usta.

- I co, lepiej ci teraz?

Wzięła paczkę i zatrzęsła drzwiami.

Zamknęłam agencję na cały tydzień i w Wigilię ruszyłam do Palm Springs. Cudownie było wrócić do domu, nie martwić się kontraktami i rozmowami, nie robić nic, tylko oglądać filmy i zjadać pierniki.

Dom wyglądał bardzo odświeżenie, mama i Millie udekorowały każdy skrawek. W całym domu pełno było Mikołajów, reniferów i ostrokrzewu, a w salonie stała choinka, ustrojona zabawkami, które pamiętam z dzieciństwa.

- Ale oczywiście gołąbki czekały na ciebie - zapewniła mama. Wyjęłam z pudełka papierowe cudeńka, które rodzice kupili w podróży poślubnej. Wspięłam się na drabinę i starannie umieściłam je na szczycie. Dopiero teraz naprawdę poczułam, że są święta.

Pod koniec tego cudownego tygodnia wróciłam do Los Angeles.

- Nie możesz zostać na Nowy Rok? - dopytywał się tata. - Po raz pierwszy nie obejrzymy razem *Parady róż*.

Smutek w jego głosie sprawił mi ból, i jakaś część mnie chciała zostać, ale jednocześnie nie mogłam się doczekać, kiedy będę u siebie.

Następnego wieczoru był sylwester. Wielu klientów zaprosiło mnie na przyjęcia, ale odmawiałam, uznałam, że wolę spędzić ten wieczór w domu. O północy otworzyłam butelkę szampana, nastawiłam starą płytę Randy Newmana i ułożyłam się na kanapie.

Nie dalej jak rok temu, w poprzedni Nowy Rok, czułam się nieszczęśliwa, zamknięta w pułapce. Robiłam „tablicę marzeń”, pełna obaw, że nigdy nie zdobędę tego, co na niej umieściłam. A teraz moje życie zmieniło się nie do poznania. Przeprowadziłam się do cudownego miasta, miałam wspaniałą pracę, moje marzenia spełniały się na jawie.

Sięgnęłam po szampana i wypiłam za wujka Gene'a.

W pierwszy ranek nowego roku wybrałam się na długą przejażdżkę. Przejechałam Brentwood, Westwood i Beverly Hills, mijałam szerokie ulice i wysokie palmy.

Przejechałam kanion Coldwater i wylądowałam w uroczym małym parku. Było w nim pełno ludzi: pary i rodziny siedziały na kocach, grały w piłkę, brodziły w strumieniu. Nieco na uboczu mała dziewczynka świętowała urodziny, to było przyjęcie w starym stylu, z papierowym obrusem powiewającym na wietrze, zabawnymi kapelusikami i balonikami.

Nagle zrobiło mi się smutno. Miałam wrażenie, że ci wszyscy ludzie w parku, te pary i rodziny, tworzą razem silny, bezpieczny splot. A przy nich moje życie jest kruche i nieważne.

Stanął mi przed oczami złoty łańcuszek od Tiffany'ego. Też jest kruchy, ale jakże piękny. No i co z tego, że moje życie tak teraz wygląda? Jeszcze nie jestem gotowa na założenie rodziny, nie mam nawet czasu na chłopaka, muszę poświęcić całą energię agencji. Powtarzałam sobie, że jeszcze przyjdzie czas na przyjęcia urodzinowe.

Następnego dnia wrócili Lori i Gary. Zamówiłam sushi, żeby to uczcić, i wygłosiłam krótką mowę, że zaczynamy nowy rok w agencji i że się cieszę, że oboje są przy mnie. Gary lekko skinął głową, ale Lori nie odrywała oczu od talerza. Zastanawiałam się już, czy coś jest nie tak, gdy podniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie.

Następnego dnia zadzwoniła, że jest chora. Wydawała się zdenerwowana i spięta, ale nie chora, i złapałam się na rozważaniu, o co właściwie chodzi. Pewnie coś z jej chłopakiem. Nie znam go, Lori jest bardzo skryta, ale miałam wrażenie, że bardzo przez niego cierpi.

- Nie przejmuj się - powiedziałam. - Siedź w domu i się kuruj, zobaczymy się jutro.

Bez Lori miałam dwa razy tyle pracy co zwykle. W południe postanowiłam w nagrodę zjeść coś niezdrowego w Mel's Diner. Zastanawiałam się, czy nie zabrać Gary'ego, ale miał zlecenie poza biurem i w końcu poszłam sama. Obsługiwała mnie urocza kelnerka, drobna i śliczna, z burzą złotych włosów. Nawet jej nazwisko, Ginette MacDougal, emanowało życiem. Zauważyłam, że mówi z lekkim akcentem, i zapytałam, skąd pochodzi.

- Z Denver - odparła. - Przejechałam tu kilka miesięcy temu.

- Dlaczego akurat do Los Angeles?

- Chciałabym zostać aktorką.

- Doprawdy? I jak? Westchnęła.

- Na razie nic z tego. Zanim się cokolwiek załatwi, trzeba mieć agenta, a to graniczy z cudem.

Jak na komendę wyjęłam wizytówkę i wręczyłam jej.

- Zadzwoń, kiedy przygotujesz monolog. Trzeba było zobaczyć jej minę.

Miałam ją przed oczami przez cały dzień. Robiło mi się ciepło na sercu, ilekroć o niej pomyślałam.

Rozbudowywałam firmę, szukałam nowych talentów, robiłam to, co wujek Gene.

Ginette zadzwoniła następnego dnia.

- Mam monolog.

Nie spodziewałam się, że zgłosi się tak szybko, i nie bardzo wiedziałam, co dalej. Wszyscy pozostali klienci już byli z nami, gdy przejmowałam agencję.

Głosem, miałam nadzieję, pewnym siebie, powiedziałam, żeby wpadła do biura. Obiecała, że będzie za pół godziny.

Zjawiała się w bardzo eleganckim kostiumie, który widziałam na ostatniej wyprzedaży w Macy's.

- Przygotowałam monolog Lucindy Matlock ze *Spoon River Anthology*. Może być?

Udawałam, że doskonale wiem, o czym mówi, i powiedziałam, że tak.

- Poczekaj, chwilę, dobrze? - poprosiłam. - Chciałabym, żeby wysłuchała cię też moja asystentka.

Weszłam do gabinetu Lori. Od rana była w dziwnym humorze, milczała. Opowiedziałam jej o Ginette i zapytałam, czy mogłaby przyjść i ją zobaczyć. Posłała mi dziwne spojrzenie, ale nic nie powiedziała, wstała i poszła za mną.

Ginette zaczęła. Moim zdaniem była wzruszająca. Kiedy skończyła, zerknęłam na Lori, ale na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia. Najwyraźniej wszystko było w moich rękach.

- Moim zdaniem masz potencjał - powiedziałam do Ginette. - I chętnie wezmę cię pod opiekę.

Nagle znikło całe wyrafinowanie. Przez cały pokój przebiegła mała rozwrzeszczana dziewczynka i rzuciła mi się na szyję. Odwzajemniłam uścisk. To był cudowny moment. Wyobraziłam sobie wujka Gene'a, jak siedzi w skórzanym fotelu i się do nas uśmiecha.

- Najszybciej jak to możliwe sporządzimy umowę - powiedziałam. - A potem roześlemy twoje fotosy.

Ginette się spieszyła.

- Kiedy ja jeszcze nie mam fotosów. Oszczędzam, ale to za mało. Może w marcu.

I znowu nie bardzo wiedziałam, jak postąpić, ale uznałam, że to bez sensu czekać tak długo.

- Zrób je zaraz, i niech fotograf przyśle nam rachunek - zdecydowałam. - Zwrócisz mi po pierwszej roli.

Kolejny wrzask, kolejny uścisk.

Kiedy wyszła, odprowadzałam ją wzrokiem przez okno. Znałam wyrażenie „iść tanecznym krokiem”, ale na własne oczy widziałam coś takiego po raz pierwszy.

Lori nadal siedziała w gabinecie. Nagle wyczułam, że stało się coś bardzo złego.

- O co chodzi? - zapytałam.

- O nic. - Ale powiedziała to lodowatym tonem.

- No, Lori, o co chodzi?

- No dobrze - wybuchła. - Agenci tak nie pracują. Wpadają do małych teatrów. Polegają na rekomendacji innych.

Ale nie popychają kelnerkę w Mel's Diner.

W jej ustach zabrzmiało to tak, jakbym była alfonsem.

- Nie uważasz, że ma talent? - wyjąkałam.

- Szczerze mówiąc, nie.

Już miała wyjść, ale przy drzwiach jeszcze się odwróciła.

- I prawdziwi agenci nigdy nie płacą za fotosy.

Usiadłam za biurkiem. Czuję się jak idiotka. „Prawdziwi agenci”, powiedziała, „prawdziwi agenci”. A więc nie ja.

Sama sobie narobiłam wstydu. Takie są zasady w tym biznesie, a ja, pełna dobrych chęci, zabawiłam się w dobrą wróżkę i wujka Gene'a jednocześnie. Naruszyłam kodeks.

Kilka minut później Lori wróciła.

- Przepraszam za to, co powiedziałam - zaczęła sztywno. - Jesteś szefową, nie mam prawa cię krytykować.

- Oczywiście, że masz - zapewniłam. - Wiesz, że bez ciebie nie dałabym sobie rady. Zresztą - dodałam, chcąc ją rozbawić - to wszystko twoja wina. Gdybyś nie zachorowała, nie jadłabym sama i w ogóle nie poznałabym Ginette.

Lori w końcu się uśmiechnęła.

- A propos, twoja protegowana właśnie dzwoniła. Pytała, gdzie robią najlepsze fotosy. Powiedziałam, że Ray Cumberland i Tom Soames. Ale nalegałam na Raya, jest najtańszy.

- Dzięki.

Znowu wyszła i znowu wróciła po kilku minutach.

- A czy ty sobie robiłaś fotosy? - zapytała. Roześmiałam się.

- Dobry Boże, nie. Po raz ostatni występowałam publicznie w drugiej klasie. Zwymiotowałam na suflera.
- Przecież niejako aktorka. Mnóstwo agentów robi sobie fotosy. Wykorzystują je na wizytówkach czy w reklamach.
- Nie znoszę, kiedy się mnie fotografuje - tłumaczyłam. - Zawsze jestem taka wyblakła na zdjęciach.

Uśmiechnęła się.

- Nie wierzę. Poza tym, Ray jest naprawdę dobry. Pomyśl o tym. Pomyślałam. To miało sens, chociaż nie podobało mi się, że moja twarz

miałaby być na reklamach. Przede wszystkim tak bardzo mi ulżyło, że Lori znowu jest miła, że chciałam utrzymać ten nastrój. Poszłam do jej gabinetu.

- Posłucham cię w kwestii fotosów - powiedziałam. - Może ty też sobie zrobisz? Na koszt firmy.

Widać było, że się ucieszyła.

Pracowałam w agencji od pięciu miesięcy i polubiłam większość innych najemców z naszego budynku. Byli przyjacielscy i pomocni, z jednym wyjątkiem - John Bradshaw. Początkowo przeszywał mnie dreszcz podniecenia na myśl o tym, że moim sąsiadem z góry jest legenda Hollywood, ale z czasem doszłam do wniosku, że to najbardziej wyniosły, nieprzystępny człowiek, jakiego znam. Mijałam go prawie codziennie, w holu albo na Sunset Boulevard, i zawsze mnie ignorował. Mijał mnie po prostu z bardzo poważną miną.

Z każdym kolejnym miesiącem coraz bardziej drażniło mnie jego zachowanie. Oboje byliśmy agentami, pracowaliśmy w tym samym budynku, i nie wiedziałam, dlaczego traktuje mnie z góry. Powiedziałam sobie, że przy następnym spotkaniu zmuszę go, żeby się do mnie odezwał.

Pod koniec stycznia byłam w sklepie Hugo Bossa, szukałam urodzinowego prezentu dla taty. Nagle wszedł John Bradshaw. Zobaczył mnie i, jak zwykle, odwrócił się na pięcie.

Z determinacją podeszłam do niego z dwoma swetrami w ręku.

- Przepraszam, że zawracam panu głowę - zaczęłam - ale potrzebuję męskiej opinii. Niedługo są urodziny mojego ojca i nie mogę się zdecydować, który sweter wybrać. Który się panu bardziej podoba?

Zesztywniał. Patrzył na mnie jak na karalucha w sałatce.

- Nie wiem, niestety. - Odwrócili się i wyszedł. Zawstydzona, kupiłam oba.

Przez resztę dnia myślałam tylko o tym. Analizowałam wciąż od nowa całą scenę i nie mogłam zrozumieć jego zachowania. Nie byłam aż tak

nachalna, nie na tyle, żeby wywołać taką reakcję. Może go uraziłam, mówiąc, że to prezent dla ojca? Czyżby uznał, że uważam go za starca? Jego wzrok... nie mogłam o tym zapomnieć.

Następnego dnia poszłam na lunch z Alyce Rysh z Lizbo Productions. W rozmowie pojawiło się nazwisko Bradshawa i opowiedziałam, co się stało w sklepie Hugo Bossa. Alyce przewróciła oczami.

- Cały Bradshaw. - Roześmiała się. - Widziałas tamten artykuł w „Va-riety”? „Dziesięć najbardziej przerażających osób w Hollywood”?

Nie widziałam.

- No to poszukaj. John Bradshaw zajmuje pierwsze miejsce.

Zaraz po lunchu weszłam do Internetu. Nie znalazłam artykułu, o którym mówiła Alyce, ale za to dużo innych, głównie o gwiazdach, które wykreował.

Dowiedziałam się także, że był żonaty, ale jego żona zmarła w 1993 roku.

I że ma córkę Amandę. Było ich zdjęcie na jakiejś akcji charytatywnej. Miała wtedy zaledwie czternaście lat, a już wyglądała, jakby odziedziczyła po ojcu poczucie wyższości.

Większość artykułów napisano kilka lat temu. Te nowsze nie były tak pochlebne. Wynikało z nich, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat stał się niemal odludkiem, wychodził bardzo rzadko i tylko z klientami. Zrobiło mi się go żal, gdy przypominałam sobie jego ton... i to spojrzenie.

Lori i ja najpierw poszłyśmy na lunch do II Sole, dopiero potem wybierałyśmy się do fotografa. Wypiłyśmy we dwie butelkę wina i wróciłyśmy do agencji w świetnych humorach. Gary był lekko zbulwersowany.

Zamknęłyśmy wcześniej i pojechałyśmy do atelier Raya Cumberlanda na Vine Street. Na wszystkich ścianach wisiały powiększone zdjęcia. Na ich widok poczułam się lepiej, były świetne.

Ray wyszedł z gabinetu, przedstawił się. Był starszy, miał siwe wąsy i włosy jak Salvador Dali.

- Która pierwsza?

- Lori - powiedziałam.

- Chce pani popatrzeć? Spojrzałam na Lori.

- Jeśli mi pozwoli. Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie?

Sesja przebiegała bardzo sprawnie. Lori miała talent. Wiedziała, jak pozować, tryskała energią. Miała na sobie kostium i jedwabną bluzkę, nic

provokacyjnego, a jednak wyglądała diabelnie seksownie. Ray świetnie się bawił. Pod koniec zrobił kilka bardzo erotycznych zdjęć. Potem nadeszła moja kolej.

Starałam się, jak mogłam, ale było beznadziejnie. Ray miał anielską cierpliwość, sadzał mnie w różnych pozach, starał się dodać mi kolorytu, ale z jego miny wiedziałam - nuda, jak zwykle.

W końcu Lori parsknęła śmiechem.

- Daj spokój, Ray! - zawołała. - To bez sensu. Potrzebne nam jedno, dosłownie jedno ujęcie, którego nie będzie się wstydziła.

Rzucili się na mnie. Ray potargał mi włosy, Lori podciągnęła spódnicę. Posadzili mnie bokiem, zadarli spódnicę aż po biodra, ułożyli mi włosy tak, że wyglądałam jak włoska aktorka z kiepskiego włoskiego filmu z lat pięćdziesiątych.

- A teraz poślij całusa do kamery - polecił Ray.

- Pozwę was oboje - zagroziłam. - Czy to aby nie podchodzi pod naruszanie dóbr osobistych? - Ale Ray już pstrykał. Lori powiedziała, że oprawi to zdjęcie.

Świetnie się bawiłam tego dnia i nie chciałam kończyć zabawy. Zapytałam Lori, czy chce iść na kolację, ale odparła, że już się umówiła. Miała ten niedostępny wyraz twarzy i domyśliłam się, że umówiła się ze swoim chłopakiem.

Wróciłam do domu i mieszkanie wydało mi się bardzo puste. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Gary'ego i nie wyciągnąć go do kina, ale w końcu uznałam, że lepiej tego nie robić.

Przygotowałam sobie kolację i usiadłam za biurkiem. Włączyłam komputer i, po raz trzeci w tym tygodniu, weszłam na [google.com](http://google.com) i wpisałam nazwisko Johna Bradshawa.

Przez następne pół godziny czytałam stare artykuły. Już miałam wyłączyć komputer, gdy trafiłam na zdjęcie, którego do tej pory nie widziałam. Bradshaw siedział za biurkiem, z książką w ręku, profilem. Zdjęcie wydawało się znajome, przypominał mi kogoś, ale nie wiedziałam, kogo. W końcu sobie przypomniałam - pana Crumma, nauczyciela chemii ze szkoły średniej. Właściwie był bardzo podobny do Johna Bradshawa: podobny wiek, podobne rysy, ta sama wyniosłość. Większość dziewczyn, ja też, się nim kochała. Jego pochwały były najcenniejsze, ponieważ trudno było je zdobyć.

Lecz w przeciwieństwie do Johna Bradshawa pan Crumm nie był sukinsynem.

W następny piątek tata obchodził sześćdziesiąte szóste urodziny i pojechałam do Palm Springs to oblać.

Tata nie był w dobrej formie, ale wmawiałam sobie, że może tylko tak mi się wydaje, bo nie widziałam go od kilku tygodni. Przywiozłam oba swetry od Hugo Bossa, żeby mama pomogła mi wybrać, który dać teraz, a który na Dzień Ojca. Ale w końcu dałam mu oba. Brązowy bardziej mu się spodobał, zaraz go włożył. Jego skóra wyglądała przy tym kolorze jak szary pergamin. Żałowałam, że go kupiłam.

Po kolacji Millie zgasiła światła, mama wniosła tort. Zaśpiewaliśmy *Happy Birthday*. Tata powiedział, że w życiu nie jadł lepszego ciasta, ale uszczknął tylko kilka kęsów. Przypomniało mi się inne przyjęcie urodzinowe, w parku Coldwater, z czapeczkami i mnóstwem dzieciaków. I zrobiło mi się bardzo smutno.

## Lori

Obudziłam się, myśląc o Genie. Słyszałam, jak mnie woła. To idiotyczne, ale czasami za nim tęsknię. Patrzył na mnie tak, jak ja na Troya, jakbym była najlepszą rzeczą, jaka mu się w życiu przydarzyła.

Gdyby nie umarł, od pięciu miesięcy byłabym współpracowniczką. Agencja Artystyczna Max i Brown. Od takich myśli można zwariować. Troy mówi, że go przerażam, jestem jak walec drogowy.

- Zrobisz wszystko, żeby osiągnąć cel, prawda? No pewnie.

On jest taki sam. Znowu zaczyna, męczy mnie o Puskę.

- Dlaczego nas sobie nie przedstawisz? Może to pomoże, w końcu będę miał agenta.

Tłumaczę, że jeszcze za wcześnie.

- Muszę pilnować własnego tyłka, nie mogę na razie żądać przysług. Wkurza się.

- To żadna przysługa, jestem cholernie dobrym kaskaderem.

Tylko nie umiesz upadać, myślę. Kto chciałby kaskadera, który nie umie upadać? Mówię:

- Daj mi spokój. Porozmawiam o tobie z Puską, tylko daj mi trochę czasu.

Nie jest zadowolony, ale na razie się odczepia. Chciałabym, żeby o tym zapomniał, przestał zawracać mi głowę. Po prostu nie chcę, żeby spotkali się z Puską. Mam złe przeczucie. Ona też jest ciekawa, w kółko o niego



wypytuje. Nic nie mówię, zmieniam temat. Nie powiedziałam nawet, jak ma na imię. Może przesadzam, łapie paranoję. Może to nic takiego. Może powinnam to zrobić, przedstawić ich sobie, mieć to już z głowy. Aleja po prostu nie chcę.

Dzwoniła Suzanne. Ellen wczoraj umarła.

Myślę o niej cały ranek i robi mi się smutno. Była superkumpelą, zawsze gotową na wszystko. Paliliśmy za salą gimnastyczną, kryliśmy się przed zakonnicami. „Lori, zostawisz nas wszystkie w tyle. Nie wiem, jak to zrobisz, ale któregoś dnia będziesz sławna. Pamiętaj o mnie wtedy, dobra?”

Ostatni raz widziałam ją tuż po tym, jak wpadła. Wysyłali ją do szkoły z internatem, płakała.

- Nigdy cię nie zapomnę, Lori. Zaopiekuj się Suzanne. - Pocałowała mnie w usta.

Suzanne mówiła, że pod koniec bardzo cierpiała. To dobrze, że umarła. I była łysa po chemioterapii. Nawet sobie tego nie wyobrażam.

Pytałam Suzanne, czy wraca do Los Angeles, skoro Ellen umarła. Nie, na jakiś czas zostanie w Seattle.

- Twoja przyjaciółka może nadal wynajmować mieszkanie, jeśli chce. Dzwonię do Puszki, mówię, że siostra Suzanne umarła, że może na stałe wynająć mieszkanie.

- Och, Lori, to okropne. Tak mi przykro. Chciałabym posłać kwiaty. Co za fałsz, wcale nie jest jej przykro. Nawet nie znała Ellen. Tak naprawdę cieszy się, że położy łapę na mieszkaniu.

Puszka za Suzanne, co za wymiana. Cholera.

Tak mi smutno, ciągle mi się wydaje, że widzę Ellen na ulicy; jej długie włosy powiewają wietrze, jak zawsze.

Nienawidzę życia. Jest do niczego. Chciałabym, żeby raz, dla odmiany, wydarzyło się coś dobrego, a nie w kółko ten syf.

Dzwoniła Puszka. Zepsuł jej się samochód, nie dojedzie do biura. Trzeba natychmiast skserować kilka umów, czy mogę poprosić Gary'ego, żeby się tym zajął? Odpowiadam, że nie będę zawracała mu głowy, sama wyskoczę.

To cudowne uczucie, wyrwać się z biura. Jadę na Crescend Square, daję umowy, mówię, że poczekam. Idę do drogerii, kupuję eyeliner. Wchodzę do sąsiedniej kawiarni po paczka. Ktoś klepie mnie po ramieniu, pewnie bezdomny. Odwracam się, nie wierzę własnym oczom - Troy. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się coś takiego, nie spotkałam go tak nieoczekiwanie.

Całuje mnie w kark.

- Co tu robisz?

- Miałem przesłuchanie, ale nic z tego nie wyszło. Teraz jestem wolny. - Jego dłoń na moim tyłku.

Mówią mu, że ja też. Dzwonię do Puszki, oznajmiam drżącym głosem:

- Okropnie się czuję, słabo mi. Poszłam do punktu ksero i tak mi się zakręciło w głowie, że nie mogłam ustać na nogach.

Troy ściska mi tyłek. Puszka piszczy:

- Och, Lori, to okropne. Nie przejmuj się kontraktami. Sama je odbiorę, złapię taksówkę. Idź do domu i odpocznij.

Chcesz, żeby Gary po ciebie przyjechał?

Język Troya w moim uchu.

- Nie, nie, poradzę sobie. To do jutra.

Uciekać stąd, zanim przyjedzie. Zabieram Troya do siebie. Uwielbiam robić to w ciągu dnia. To jak kradzione chwile, najcudowniejsze. Później ubieramy się i Troy mówi:

- Zróbmy coś fajnego, chodźmy do Muzeum Ripleya. Dla mnie to kiepska zabawa, ale dobrze.

Troy ma fioła na punkcie tego muzeum. Biega po wszystkich salach, ciągnie mnie od eksponatu do eksponatu. Jest jak małe dziecko. Mnie to tak bardzo nie kręci. Niedobrze mi się robi. Ale jedna rzecz mi się podoba, małe japoński bucik. Ma mniej więcej osiem centymetrów długości, kobieta odcięła sobie palce u nóg i pokaleczyła podeszwy, żeby go włożyć. To szaleństwo, ale w kółko do niego wracam, jest taki piękny.

Wchodzimy do sklepu z upominkami przy muzeum. Mają tam kopię mojego bucika. Troy mi ją kupuje. Jestem szczęśliwa, zazwyczaj nie zasypuje mnie prezentami.

Bierzemy sushi na wynos i wracamy do mnie. Troy ma przesłuchanie o trzeciej. Mówi, że zaraz musi iść. Całuję go na pożegnanie. W końcu prawie spóźnia się na przesłuchanie. Wtedy już naprawdę musi iść.

Smutno mi się zrobiło, kiedy poszedł. Dzisiaj było najlepiej. Szkoda, że nie jest tak zawsze. Może to moja wina?

Zapominam, jaki z niego dzieciak. Traktuję go zbyt poważnie. To go denerwuje. Powinnam się wyluzować, przestać truć, nie starać się go zmienić. Niech będzie, jaki jest.

Niech go szlag trafi!

Jaki to ma sens, do cholery? Oszukuję się, i tyle. On się nigdy nie zmieni, nigdy nie przestanie. Jesteśmy we Fling's, pijemy drinki, wszystko pod kontrolą. I wtedy wchodzi ta dziewczyna, wypacykowana, z wielkimi obwisłymi cyckami. Podchodzi prosto do Troya, jakby mnie nie było.

- Pamiętasz mnie? - Twierdzi, że pracowała z nim na planie w Santa Fe. Kogo to, do cholery, obchodzi? Gada i gada, ple, ple, ple. Czekam, aż Troy coś powie, że jest zajęty, że ją splanuje, ale tego nie robi.

Nie okazuję, jak bardzo się wkurzyłam. Nie lubi tego. Suka w końcu sobie idzie. Staram się przywrócić poprzedni nastrój. Troy jest zdenerwowany. Zastanawiam się, czy nadal o niej myśli. Mówi, że musi się wysikać, ale w jego głosie jest coś dziwnego. Patrzę, czy na pewno idzie do kibla.

Czekam przy barze. Podchodzą do mnie faceci.

- Ej, piękna, zatańczymy?

Nie, ale humor mi się poprawia. Będę gotowa dla Troya, gdy wróci. Tylko że nie wraca.

W końcu go widzę. Od razu wiem, że coś wziął. Poznaje to po chodzie, nagle rusza się jak macho. Obok niego jakiś facet, ale zaraz znika. Już go widziałam, wiem, kto to jest.

Podchodzę do Troya. Szarpie go.

- Co ty, do cholery, robiłeś? Znowu handlujesz? Zaprzecza, bardzo stanowczo.

- Kłamiesz, sukinsynu, jestem pewna. Nic nie mówi, nie patrzy na mnie.

Walę go w twarz. Wstaję, wychodzę. Łapię taksówkę do domu.

Cholera, to mnie wykańcza. Myślałam, że już sobie z tym poradziłam. Zniosę wiele, ale nie to. Już nie.

Nienawidzę tego miejsca. W tej cuchnącej norze nie ma powietrza. Śmierdzi gównem.

Biorę japoński bucik od Troya, ciskam o ścianę. Cały. Znajduję młotek, rozwalam go na kawałki. Szkoda, że ty nie cholerna twarz Troya. Obiecywał mi już tyle razy: skończyłem z tym, skończyłem z tym wszystkim.

Kłamliwy sukinsyn. Tylko marnuję z nim czas. Już zmarnowałam trzy lata. Kogo chcę oszukać? Nigdy nie będzie sielanki i spokoju. Zawsze będę urabiała sobie ręce po łokcie, a on tylko będzie brał kasę. I mnie zdradzał. I handlował. I w końcu załatwi go jakiś narkoman.

Biorę portfel, wyciągam wszystkie jego zdjęcia. Chcę je podrzeć, ale kiedy na niego patrzę, widzę, jaki jest piękny i nie mogę.

Całe moje życie jest do niczego. Tylu rzeczy nie dostałam, tylu nie miałam okazji zrobić. Ale Troy, to, jak wygląda, to, co czuję, kiedy na niego patrzę, to jedyna rzecz, która ma sens.

Siadam ze zdjęciami w ręku. Usiłuję sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał na starość - siwy i pomarszczony. Nie mogę. Nie mieści mi się w głowie,

że może się zestarzeć. Jadę do niego, pukam. Otwiera od razu. Czekał na mnie. Wtulić się w jego ramiona. Sajak bluszcz. Jestem w domu. Może to syf, ale dom. Płacze, przeprasza. Nie chce mnie stracić. Po chwili jesteśmy na podłodze, on na mnie. Nie jestem gotowa, ale to nie szkodzi. Ból jest niemal przyjemny, jak japoński bucik. Nie mogę zasnąć. Ciągłe na niego patrzę. I co teraz? Jesteśmy znowu w punkcie wyjścia. Kogo chcę oszukać? Nigdy od niego nie odejdę. Po prostu muszę znaleźć sposób, by nam się udało, i tyle.

Musi dostać szansę. Gdyby mu się udało... Jeśli trochę zarobi, dostanie poważniejsze zlecenie, może się ustatkuje. Powtarza w kółko, że musi mieć agenta. Tylko że miał ich już kilku i to nie pomogło. Nikt nie chce kaskadera, który nie umie upadać.

Mówi, że z Puską byłoby inaczej. Może i tak. Gdyby był naszym klientem, harowałabym jak wół, żeby załatwić mu pracę. Ale nie chcę tego robić, nie chcę jej prosić. Nie chcę, żeby się wtrącała w moje życie. Nie chcę, żeby była aż tak cholernie wielkoduszna. I nie chcę, żeby poznała Troya.

Czasami zastanawiam się, czy nie spróbować u Johna Bradshawa. To mogłoby się udać. Musiałabym spróbować przez Emmetta. Najpierw przedstawię mu Troya, powiem, że szuka agenta. Emmett się w nim zakocha, ale to nic, Troy będzie go zwodził, póki nie przedstawi go, nie załatwi kontraktu.

Muszę się dowiedzieć, czy Bradshaw prowadzi kaskaderów.

Dzisiaj Puszka znowu zaczęła o Johnie Bradshawie. Chyba po raz dziesiąty w tym tygodniu.

- Widziałam, jak wsiadał do windy w przerwie na lunch. Jak zwykle całkowicie mnie zignorował. Lori, co z nim? To najbardziej chamski człowiek, jakiego znam.

Zaczyna mieć obsesję na jego punkcie. To takie oczywiste, kompleks ojca. Właściwie mnie to nie dziwi. Przy jej żalonym tatuśku nic dziwnego, że nadal szuka. A Bradshaw ma koło pięćdziesiątki, ale świetnie się trzyma.

Przystojny jak na starego dziada. I nadziany.

Moim zdaniem ona go kręci, tylko tego po sobie nie pokazuje. Widziałam, jak na nią patrzy. Na pewno coś się kroi. Może być ciekawie, jeśli coś się między nimi zacznie. Co za myśl. A jeśli połączą agencje, tym lepiej dla mnie: Bradshaw, Brown i Max.

Zastanawiam się, jak najlepiej to rozegrać. Najpierw powinnam się dowiedzieć, jak bardzo jej zależy. Z Puską ciągle gadamy, ale nie o facetach. Kiedy poruszam ten temat, zamyka się w sobie.

Zabiorę ją na lunch, namówię na alkohol. Powinno zadziałać.

Idziemy do Il Sole. Zamawiam wino. Mówię:

- Spójrz na barmana. Niezły, co? -1 od razu jesteśmy w temacie.

- Jak ci się układa z chłopakiem, Lori? - zaczyna.

O nie, Puszeko, mamy rozmawiać o tobie, nie o mnie. Nie musisz nic wiedzieć o Troyu. Odpowiadam:

- Wolałabym o tym nie rozmawiać, jeśli się nie pogniewasz. Otwiera szeroko oczy.

- Och, Lori, tak mi przykro. Nie chciałam być wścibska. Kaja się, ma wyrzuty sumienia, mogę pytać, o co zechcę.

- A co u ciebie? Jesteś tu od sześciu miesięcy, nikogo nie poznałaś?

- Nie szukałam. Agencja pochłania mnie bez reszty. Ale przyznaję, że ostatnio pomyślałam, że chyba znajdę czas na związek.

- Na pewno. I dobrze ci to robi. - Następne pytanie, rzucone od niechcienia: - Właściwie jacy faceci ci się podobają?

- No, najbardziej mi zależy... mam nadzieję, że to nie zabrmi zbyt powierzchownie... na kimś poważnym, kto byłby dla mnie autorytetem.

Świetnie. Bradshaw ma szansę. Pasuje. Mówię:

- Na pewno spotkasz kogoś takiego. Może nawet prędzej niż myślisz. Rumieni się.

- Sama nie wiem. Nawet jeśli poznam odpowiedniego faceta, na pewno wszystko zepsuję. Nie najlepiej radzę sobie z mężczyznami.

Czas na wazelinę.

- Chyba żartujesz. Na pewno miałaś mnóstwo wielbicieli. - Prawie dławię się tymi słowami, ale widzę, że Puszcze się spodobały. Pasują do jej wizerunku księżniczki.

Kręci głową.

- Nie, naprawdę, nigdy nie byłam zbyt lubiana. Kolejna warstwa.

- Nie wierzę w ani jedno słowo. Widziałam cię w klubach. Daj spokój, na pewno kogoś miałaś.

Chrząka.

- No cóż, rzeczywiście, był ktoś... jeden mężczyzna. Zastanawiałam się nawet, czy za niego nie wyjść, ale wiedziałam, że nic z tego nie będzie. -Wielkie oczy, rozbiegane dłonie. - Jest cudowny, ma same zalety, ale... sama nie wiem, ja po prostu go nie kochałam... nie Kocham. - Spuszcza wzrok, jakby miała zaraz zdradzić wielką tajemnicę.

Litości, jakbym nie wiedziała, że chodzi o Gary'ego. Wiedziałałam, odkąd zobaczyłam go po raz pierwszy w Starbucks. Nie zdradzam się jednak

z moją wiedzą. Skoro Puszka chce zachować w tajemnicy szkolną miłośćką, proszę bardzo.

Jednak to, że opuszcza głowę, skłania mnie do myślenia. Jest taka durna. Może nadal coś do niego czuje, tylko sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

Puszka i Gary - jakie ja bym miała z tego korzyści? Żadnych. Gary mnie nie znosi. On z Puską- przechodzę do historii. „Lori to nie przyjaciółka, moim zdaniem ma zły wpływ na ciebie. Właściwie nie powinna nawet pracować w agencji”. Nie, dzięki, nie będę popierała tego romansu. Na szczęście to mało prawdopodobne, Puszka traktuje go jak powietrze.

Mimo wszystko lepiej dmuchać na zimne. Mówię:

- Słusznie postąpiłaś. Nie ma nic nudniejszego niż facet z samymi zaletami.

Puszka podnosi głowę, otwiera szeroko oczy, uśmiecha się. Jest zaskoczona i zbita z tropu, ale się śmieje.

Ciekawe, jak to wygląda u Gary'ego? Czy nadal jest zaangażowany? Nie zachęca go, ale nigdy nic nie wiadomo.

Może na wszelki wypadek powinnam zakopać topór wojenny.

Po południu zostaję dłużej, czekam, aż Puszka wyjdzie i idę do Gary'ego. Siedzi przy komputerze, nie podnosi głowy.

- Cześć - zaczynam. - Wpadłam tylko zobaczyć, jak ci leci. Mówię to spokojnie, jakbym chciała, żebyśmy się zaprzyjaźnili. Podchodzę do biurka, pytam, nad czym pracuje.

- Nad zleceniem od klienta. Podchodzę bliżej.

- Wszystko w porządku w biurze? Może mogłabym ci jakoś pomóc? Na moment podnosi wzrok. Chce coś powiedzieć, widzę to, ale w ostatniej chwili się powstrzymuje.

Podchodzę jeszcze bliżej. Staję obok niego, uśmiecham się szeroko.

- Jesteś takim dobrym przyjacielem dla Pandory.

- Tak - mówi. - Czuję, że mnie potrzebuje.

To, jak to powiedział, jak na mnie spojrział... sukinsyn.

Trzęsę się, mogłabym go zabić. Jak śmiesz, ty świętoszkowaty fiucie? Co ty w ogóle wiesz? Za kogo się, do cholery, uważasz, żeby mnie osądzać?

Prosiłam Troya, żeby u mnie przenocował. Powiedział, że nie może. Mówi, że nie chce nocować za każdym razem, nie powinnam tego oczekiwać. Sukinsyn.

Czuję się okropnie. Mogłam dłużej pospać, jest sobota rano, ale zapomniałam, nastawiłam pieprzony budzik. Z ponownego zaśnięcia nici.

Poszłam do łazienki. Przeraziłam się, gdy spojrzałam w lustro. Nic konkretnego, żadne zmarszczki czy kurze łapki. To cienie, jakby zapowiedź tego, jak będę wyglądała kiedyś.

Wybiegam stamtąd, jakby gonił mnie duch. Potrzebny mi dzień w salonie piękności.

Jadę do biura. Gary może tam być. Muszę wymyślić dobrą wymówkę, gdyby zapytał, co tu robię. Ale nikogo nie ma. Wchodzę do gabinetu Gene'a, o przepraszam, Puszki, zamykam za sobą drzwi. Wchodzę pod biurko, szukam deski, wyjmuję kasetkę z pieniędzmi. Kiedyś Gene'a ogarnął ponury nastrój: „Pokażę ci, gdzie to jest, na wypadek, gdyby coś mi się stało”.

Nie uważam, żeby Puszka musiała o tym wiedzieć.

Podnoszę wieczko. Osiemset dolarów. Zabieram trzy setki. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie mi potrzebna reszta. Może na Gwiazdkę, na prezent dla Troya? Słyszę, że Gary wchodzi do biura. Chowam kasetkę w ostatniej chwili. Wychodzę z gabinetu, witam się z nim, mówię, że wpadłam po akta. Widzę, jak w jego głowie kręcą się trybiki, usiłuje wykombinować, co knuje, ale nic mu nie przychodzi do głowy.

Jadę do Hollywood, do Sunset Spa. Zapisuję się na wszystko: masaż, okłady, czyszczenie cery. Uwielbiam ten zakład: jest wilgotny, ciepły i duszny, jak dżungla. Ale zaraz wszystko się psuje, wpadają tłuste słońce. Nie znoszę ich, tych bogatych suk, ich jękliwych głosów, ich kretyńskich rozmów. Chciałabym, żeby było trzęsienie ziemi.

Wyobrażam sobie, jak wybiegają na ulicę; stado słońce w papierowych kapciach, z maseczkami na twarzach.

Przychodzi masażystka. Ma na imię Tonya, pochodzi z Rumunii. Ma małego synka, jest chory, chciałaby się dowiedzieć, jak się czuje, ale z salonu piękności nie wolno dzwonić w prywatnych sprawach. Pożyczam jej komórkę.

Teraz mi lepiej, o wiele lepiej. Znowu wyglądam jak trzeba, znikły cienie i duchy.

Teraz przydałby mi się fajny ciuch. Nie zniosę starych łańców na nowej perłowej skórze. Potrzebne mi coś jedwabnego, coś obcisłego.

Wracam do biura. Gary'ego nie ma. Wyjmuję kasetkę, zabieram ostatnie pięć setek. Pieprzyć gwiazdkowy prezent dla Troya. Odkładam pustą kasetkę. Przypomina mi się, jak Gene mi ją pokazał i przechwalał się: nigdy nie jest pusta. A teraz jest. I to na dobre.

Nie, nie na dobre. Kiedy będę prowadziła firmę, znowu ją napełnię.

Idę prosto do sklepu firmowego Anny Sui. Przymierzam sukienkę z wystawy, z białego jedwabiu. Świetnie na mnie leży. Wiedziałam, że tak będzie, oddychamy razem. Nie chcę jej już nigdy zdjąć. Każę sprzedawczyni ją zapakować. Zużywa mnóstwo bibułki. Jestem zachwycona, idąc ulicą z wielką torbą.

Gary wraca do biura. Łypie na mnie groźnie, ale nic nie kojarzy. Nie ma pojęcia, co oznacza torba od Anny Sui. Co chwila dotykam sukienki. Powinnam mieć tylko takie ubrania.

Puszka w dołku. Pojechała do Palm Springs i wpadła w depresję. Z tatu-siem coraz gorzej, może powinna była tam zostać, ple, ple, ple.

- Czuję się taka bezradna. Chciałabym wiedzieć, co będzie dalej. Emmett zbiega ze schodów. Widzi Puskę i zaraz robi z tego dramat:

- Och, kochanie, co się stało?

Zaczyna wszystko od początku: nie wie, co się dzieje z jej życiem, chciałaby mieć pewność, że dokonała słusznego wyboru, bla, bla, bla. Wścibski Emmett wpada jej w słowo.

- Wiesz co? Powinnaś iść do wróżki.

A on powinien się zamknąć, do cholery. Nie wiadomo, jakich bzdur taka wróżka może nakłaść Puszce do głowy. Za późno, zainteresował ją.

- Do wróżki? O nie, za bardzo bym się bała.

Usiłuję wyminąć Emmetta, ale prze do przodu jak taran. Zna superwróżkę, ma na imię Clarice, przepowiada przyszłość z kart tarota, nigdy się nie myli. Puszka się podnieca.

- Naprawdę przepowiada przyszłość?

Emmett jest w centrum zainteresowania i rozkoszuje się tym. Clarice powiedziała mi to, Clarice tamto. Oczy ogromne, usta otwarte.

- Cóż, skoro naprawdę jest taka dobra... to na pewno nie zaszkodzi... Może się okazać bardzo cenna, może dostrzeże coś, czego....

Oślepia Emmetta uśmiechem.

- Przekonałeś mnie. Pójdę od niej. Patrzy na mnie i już wiem, co będzie dalej.

- Lori, pójdziesz ze mną?

Nie utrzymałabyś mnie z daleka nawet siłą. Nazwijmy to zmniejszaniem szkód: chcę wiedzieć, co ta cała Clarice jej powie. - I tobie, oczywiście, też przepowie przyszłość. Ja płacę. Udaję, że się cieszę. Mam inne wyjście?

Dzwonię do tej kobiety, ustalam termin. Przez telefon wydaje się normalna.



Liczę, że będzie dobrze. Może nawet mi się to przyda? Może Clarice zobaczy Puskę ze starym dziadem? Nawet jeśli nie powie „stary dziad”, zasugeruję to, podsunę jej Johna Bradshawa.

- Lori, mam świetny pomysł. Najpierw chodźmy na lunch, a potem do wróżki.

Odmawiam, mówię, że mam inne plany i spotkamy się na miejscu. O pierwszej jadę do Highland, parkuję przed domem. Puszka już jest, przechadza się niespokojnie.

- Och, Lori, tak się denerwuję! A jeśli powie coś okropnego?

Dom to rudera. Chyba kiepsko idzie ten cały wróżbiarski biznes. Naciskam dzwonek, Clarice otwiera drzwi. To żałosne stare próchno. Pyta, która z nas pierwsza.

- Lori - mówi Puszka, tak samo jak u Raya.

Wchodzimy do saloniku, tapeta jak z burdelu, plastikowe krzesła. Clarice podaje mi talię tarota, każe wybrać jedną kartę. Wybieram. Tasuje resztę. Piję herbatę. Cały czas gapi się w moją filiżankę. Denerwuje mnie to.

- Widzę, że jesteś bardzo zdeterminowana.

To mnie niepokoi. Boję się, że powie za dużo, ale teraz odwraca karty.

Zaczyna - same bzdury, jak myślałam. To wszystko lipa, zabawna historyjka, którą opowiem Troyowi. Nie słucham jej.

Już prawie koniec, została jeszcze tylko jedna karta. Odwracają i wyraz jej twarzy się zmienia. Patrzy na mnie poważnie.

- Widzę w twoim życiu dwóch ciemnowłosych mężczyzn; obaj bardzo źli. Jeden już odszedł, umarł, drugi odejdzie wkrótce.

Noc, gdy zginął mój ojciec. Ja na szczycie schodów, policjanci przy drzwiach: „Pani Max, mamy przykre wiadomości”. „Drugi odejdzie wkrótce”.

Kobieta zbiera karty, odkłada je na bok. Nie patrzy na mnie. Wie, co zrobiła. Uśmiecha się do Puski:

- Gotowa? Puszka podskakuje.

- Właściwie nie, rozmyśliłam się.

Świetnie, wypchnęła mnie pierwszą, a sama pękła. Jestem taka wściekła, że z trudem się opanowuję.

Płaci i wychodzimy. Nic nie mówię, idę do samochodu. Puszka mnie zatrzymuje, kładzie mi rękę na ramieniu.

- Lori, widzę, że jesteś zdenerwowana, ale pamiętaj, powiedziała, że byli źli.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć, żegnam się. „Drugi odejdzie wkrótce”. Wiedziałam, zawsze wiedziałam, że Troy mnie w końcu zostawi.

## **Pandora**

To była najbardziej pracowita zima w moim życiu. Przypominam sobie właściwie bezustanną pracę: zawieranie umów, męczące negocjacje, niekończące się rozmowy. Ale podobało mi się to, ba, kochałam to, i coraz częściej, podpisując kontrakt czy walcząc o podwyżkę dla klienta, łapałam się na myśli: wujek Gene byłby ze mnie dumny. Pewnego dnia, na początku lutego, stałam w kolejce w banku, gdy starsza rudowłosa kobieta stuknęła mnie w ramię.

- Pandora Brown? Potwierdziłam.

- Alicja Epstein. Byłam znajomą pani wujka. Słyszałam, że przejęła pani agencję. Jak idzie?

- Nieźle - odparłam. - Chociaż nie sądzę, żebym kiedykolwiek była lepszą agentką niż wujek Gene.

- Oby pani była - usłyszałam. Nie wierzyłam własnym uszom.

- Jak to?

- Pani wujek był uroczym człowiekiem, ale żył przeszłością. I dlatego nie był agentem z pierwszej ligi.

Nie mogłam przestać myśleć o tym, co mi powiedziała. Przez całe popołudnie powracało zdanie: „Żył przeszłością”.

I, choć nie podobało mi się to, musiałam przyznać jej rację. Wujek Gene najbardziej lubił rozprawiać o starych dobrych czasach, o wielkich umowach, które wtedy zawierał. Po pewnym czasie tata i ja znaleźliśmy wszystkie szczegóły jego negocjacji - nieważne, że miały miejsce co najmniej dziesięć lat temu. Wtedy to było imponujące, teraz żalodne.

Zapytałam Lori, czyje zdaniem wujek Gene był dobrym agentem.

- Najlepszym - odparła, ale trochę za szybko.

W weekend pojechałam do domu. To była dziwna wyprawa. Na autostradzie przy Pomona był korek. Przez trzy i pół godziny siedziałam bez

ruchu, a dokoła mnie czerniało niebo. Dowiedziałam się później, że zarządzono blokadę policyjną. Jakiś mężczyzna zastrzelił z dubeltówki żonę i czwórkę dzieci. Potem palnął sobie w głowę i przywrócono normalny ruch.

Tata miał straszne bóle. Posadziłyśmy go z mamusią w fotelu, a ja wcierałam mu w nogi olejek. Były takie bezsilne w moich rękach, takie białe i miękkie.

- Cudownie, Andy-Pandy - powiedział z westchnieniem. - Ale o wiele bardziej interesujesz mnie ty. Opowiadaj o wszystkim. Czego dokonałaś w tym tygodniu, żeby zaskoczyć świat agentów filmowych?

Wiedziałam, że spodoba mu się opowieść o podwyżce dla Enrica, więc zaczęłam mówić. W połowie się zarumienił i pochylił do przodu tak szybko, że przestraszyłam się, że spadnie.

- Świetnie! - krzyknął. - Wujek Gene postąpiłby dokładnie tak samo! Przypomniało mi się, co powiedziała Alicja Epstein, ale zaraz odepchnęłam jej słowa od siebie.

- Dzięki, tato. To najwspanialszy komplement, jaki mogłeś mi powiedzieć.

- Nawet nie wiesz, jakie to dla niego ważne - powiedziała później mama. - Cały czas chwali się przed lekarzami twoją karierą.

Chciało mi się płakać.

Po obiedzie poszłam do miasta po kartki walentynkowe. Znalazłam śmieszna dla Lori, sprośna dla Steph, cudowna dla rodziców - jak akordeon, rozkładała się w napis KOCHAM CIĘ.

Zastanawiałam się, czy kupić kartkę dla Gary'ego, i w końcu uznałam, że tak. Posyłałiśmy sobie walentynki od czternastu lat. Dlaczego nagle z tym kończyć?

Kiedy wróciłam do biura w poniedziałek rano, na sekretarce czekała wiadomość. Ginette MacDougal dostała rolę mówioną w pilocie nowego serialu sieci NBC.

Najpierw zadzwoniłam do taty. Oszalał z radości. Kiedy usiłowałam ściągnąć go na ziemię, tłumacząc, że to tylko kilka linijek tekstu za kilkaset dolarów, wcale się nie przejął.

- To tylko dowodzi, że jesteś świetną agentką - zapewnił. - To ty ją odkryłaś.

Zadzwoniłam do Ginette. Tak się ucieszyła, że przez cały czas krzyczała.

Odłożyłam słuchawkę i usiadłam wygodnie. Płakałam. To tylko kontrakt, kolejna umowa, ale byłam z siebie bardzo dumna. Przeczucie mnie nie zawiodło. Jednak znam się na tym, co robię.

Nie mogłam się oprzeć, poszłam do Lori, żeby jej o tym powiedzieć.

- Ginette dostała rolę.

Myślałam, że się speszy, przypomni sobie, jak mówiła, że Ginette nie ma za grosz talentu. Nic z tego.

- Gratulacje. To świetnie - powiedziała i uśmiechnęła się promiennie.

Po południu, gdy wracałam do biura po spotkaniu, zobaczyłam Johna Bradshawa mniej więcej pół przecznicy dalej.

Przyspieszyłam kroku, nerwowo szukałam kluczy w torebce, chcąc jak najszybciej wejść do środka, zanim do mnie dojdzie.

I nagle przestałam, zła na siebie. To idiotyczne; zachowuję się jak dziecko. Tylko dlatego, że postanowił być dominujący, nie znaczy, że muszę się podporządkować.

Znalazłam klucze i stałam spokojnie, czekałam, aż dojdzie do budynku. Otworzę drzwi i wpuszczę nas oboje, uśmiechnę się jak do równego sobie.

John Bradshaw doszedł do budynku, zerknął na drzwi, zobaczył mnie i poszedł dalej.

Z perspektywy czasu widzę, że wszystko zaczęło się w walentynki, wtedy ruszyła machina, wtedy dokonałam wyboru. A kiedy to się stało, to był początek końca.

Nie wiem, czy to prawda, ale ta myśl łagodzi poczucie winy.

Pamiętam, że tamtego ranka obudziłam się smutna. Niełatwo jest nie mieć nikogo w dzień świętego Walentego.

Humor mi się poprawił, kiedy przyszedłam do biura. Lori przyniosła wielkie pudło czekoladek, listonosz - piękną walentynkę od rodziców i zabawną od Steph.

Ale ku mojemu zdumieniu nic od Gary'ego. Przez cały ranek czekałam, aż jak zwykle zjawi się z kartką, ale nie przyszedł. W końcu poszłam do niego.

- No i co? - zapytałam żartobliwie. - Gdzie moja walentynka? Zarumienił się i speszył.

- Nie wysłałem ci w tym roku.

Ja miałam swoją dla niego w torebce, ale przecież teraz nie mogłam mu jej dać.

- Nie ma sprawy - zapewniłam. - Dzięki temu ja też nie muszę ci dawać. Nie mogłam opanować irytacji. Tego dnia poszłam z Lori na lunch i opowiedziałam jej o wszystkim.

Kiedy skończyłam, wzruszyła ramionami.

- Wcale się nie dziwię. Faceci dziwnie się zachowują w takich sytuacjach.
  - Jakich? Uniosła brew.
  - Nie wiesz? Gary ma dziewczynę. Gapiłam się na nią.
  - Dziewczynę? O nie, nie wierzę. Skinęła głową.
  - Widziałam ich razem, przed biurem. Jest niska, ruda.
  - To jeszcze nic nie znaczy - upierałam się. - To niekoniecznie musi być jego dziewczyna. Może to klientka?
- Lori się zaśmiała.
- Nie sądzę! Po tym, jak się zachowywali...

Ta wiadomość zbiła mnie z tropu. Nie dlatego, że Gary ma dziewczynę, skądże - zasługuje na kogoś wspaniałego - ale dlatego, że mi o tym nie powiedział. Denerwowała mnie świadomość, jak bardzo się od niego oddaliłam. A może uznał, że moje ego tego nie zniesie?

Później było już tylko gorzej. Zadzwonili z Gnomę Productions z informacją, że Westinghouse chce zatrudnić Tony'ego Mackiego po osiemnastym. Dzwoniłam do Tony'ego do domu i na komórkę, ale nikt nie odbierał. W końcu połączyłam się z jego matką.

- Tony dostanie rolę w Westinghouse - powiedziałam. - Muszę z nim natychmiast porozmawiać.
- Jest na Sri Lance, na dwumiesięcznej wyprawie - usłyszałam. - A co, mój niegrzeczny chłopak się z panią nie skontaktował?

Potem zadzwonił Abe Martin z NBC. Szykowali nowy miniseria i chciał, żeby Connie Hillbright przyszła na casting do głównej roli. W euforii zadzwoniłam do Connie.

Chwila ciszy.

- Nie mogę, Pandoro - powiedziała. - Przykro mi.
- Jak to: nie możesz?
- Nie mogę i już.
- Ale dlaczego? - Nie dawałam za wygraną. - To twoja wielka szansa. Przynajmniej mi to wyjaśnij.
- No dobrze. Mąż mnie bije. Mam uszkodzone naczynia krwionośne koło oka. Kamera widzi to nawet przez najgrubszy makijaż. Już nie mogę grać w filmach. Wystarczy?

Po tej rozmowie liczyłam minuty do wyjścia z biura. O szóstej wybiegłam. W połowie drogi do domu przypomniałam sobie, że zostawiłam ważne dokumenty, więc zawróciłam.

Kiedy otworzyłam drzwi, usłyszałam hałasy z gabinetu Lori.

Wbiegłam tam. Panował straszny bałagan: dokumenty na podłodze, przewracane krzesła, obrazki zrzucone ze ścian. Lori stała przy oknie z półką na książki w rękach. Na mój widok zamarła.

- Wyjdź stąd - powiedziała cicho.

Upuściła półkę, ukryła twarz w dłoniach. Podeszłam do niej, objęłam ją.

- Lori, co się stało? O co chodzi? Uparcie kręciła głową.

- Idź sobie, już idź.

Nie mogłam. Nie mogłam jej tak zostawić.

- Nie powinnaś być sama - powiedziałam. - Chodź do mnie. Zrobimy coś, na co będziesz miała ochotę.

Nagle ucichła. Odsunęła się ode mnie.

- Dobrze - powiedziała spokojnie. - I tak nie mam nic innego do roboty. Wtedy zrozumiałam. To ten okropny chłopak

- rozczarował ją, wystawił do wiatru w walentynki.

Dziwne. Kiedy teraz myślę o tamtym wieczorze, a myślę o nim często, nie wiem, co wydarzyło się naprawdę, a co sobie wymyśliłam.

Lori przyjechała kilka minut po dziewiątej. Wydawała się spokojniejsza. Przyniosła wino. Widziałam, że już zdążyła się napić.

Zdjęła żakiet i zobaczyłam siniaki na jej ramieniu. Były jak bransoletka, nie jakby ktoś ją uderzył, ale jakby mocno trzymał. Udałam, że niczego nie zauważyłam.

Otworzyłyśmy wino. Patrzyłam na Lori, skuloną na kanapie, taką piękną i taką smutną. Podeszłam, objęłam ją.

- Chyba wiesz, ile dla mnie znaczysz - powiedziałam.

Potem chyba mnie pocałowała. A może to sobie wymyśliłam? Trwało to bardzo krótko, jeśli w ogóle.

Przyniosłam wódkę. Piłyśmy. Lori położyła się na podłodze i zaczęła mówić. Opowiadała straszne rzeczy: o tym, co robił jej ojciec, co ona musiała robić jemu. Nie mogłam tego słuchać.

Położyłam się obok niej, objęłam ją. Leżałyśmy tak przez dłuższy czas. W końcu nabrała głęboko tchu i usiadła.

- Fatalna impreza - powiedziała.

Nagle zrobiło mi się niedobrze i pobiegłam do łazienki. Kiedy wróciłam, stała przy moim biurku i przeglądała papiery.

- Nie wiedziałam, że urządziłaś mu ołtarzyk.

Ze wstydem zobaczyłam, że znalazła artykuły o Johnie Bradshawie, które ściągnęłam z sieci.

- To nie ołtarzyk - obruszyłam się. - Po prostu chciałam się czegoś o nim dowiedzieć.

Roześmiała się.

- Daj spokój! Masz obsesję na jego punkcie.

- Nieprawda.

- Więc jak to nazwiesz?

- Interesuje mnie. - Staralam się powiedzieć to z godnością. - Jest taki niedostępny. To wyzwanie, przekonać się, czy przebiję się przez jego zasieki.

- Jak do Śpiącej Królowy.

Wizja Johna Bradshawa w roli Śpiącej Królowy wydała mi się absurdalnie zabawna. Zachichotałam pijacko.

- No, to mam tylko jedno pytanie - mruknęła Lori. - Kiedy już się pobierzecie, agencja będzie się nazywała Brown i Bradshaw czy Brad-shaw i Brown?

- Oszalałaś - stwierdziłam.

- Poczekaj tylko. Pokręciłam głową.

- Mogę czekać, ile chcę. Jest ode mnie ponad dwa razy starszy. To najbardziej arogancki facet, jakiego w życiu widziałam, i krzywi się, ilekroć mnie widzi. Doprawdy, idealny partner.

Sięgnęliśmy po wino. Dokończyliśmy butelkę. Lori kiwała się w przód i w tył.

- Nie możemy tego tak zostawić, rozumiesz. To zbyt piękne. Musimy coś zrobić, ruszyć z miejsca.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi, ale ucieszyłam się, że jest taka podekscytowana i szczęśliwa.

Wstała, podeszła do biurka. Na samym wierzchu leżała koperta z moimi fotosami. Wyjęła je. Kiedy dotarła do ostatniego, tego, na którym mam zadartą spódnicę i posyłam całusa do kamery, podniosła go do góry.

- To jest to!

- O czym ty mówisz?

- Poślemy to Johnowi Bradshawowi.

- Oszalałaś. Zalałaś się w pestkę.

Wstałam, podeszłam do niej, starałam się wyrwać jej zdjęcie, ale wylądowałam na podłodze.

I tam, na podłodze, wyobraziłam sobie tę scenę: dumny John Bradshaw siedzi przy biurku, otwiera kopertę i widzi mnie, rozkraczoną.

Zaczęłam się śmiać. Leżałam na podłodze i zwiijałam się ze śmiechu, aż mnie rozboleł brzuch. Udało mi się przestać, nawet usiąść, ale wtedy znowu wyobraziłam sobie jego minę i znowu wylądowałam na podłodze.

- Zróbmy to! - wykrztusiłam.

Przypomniałam sobie walentynkę, którą kupiłam Gary'emu, ale której mu nie dałam. Wyjęłam ją z torebki.

- Razem z tym!

Lori i ja wyłyśmy ze śmiechu. Pomysł bardzo mi się spodobał. Niezła zemsta za jego wyniosłość i nadęcie.

Wymazałam korektorem napis na karcie i moje imię. Chciałam napisać „John Bradshaw”, ale ręka odmówiła mi posłuszeństwa.

- Ja to zrobię - powiedziała Lori.

Włożyła wszystko do dużej koperty, napisała „John Bradshaw, do rąk własnych” i zakleiła.

- W poniedziałek rano wsuniemy mu to pod drzwi - powiedziałam.

- O nie - sprzeciwiła się. - Zrobimy to teraz.

- Nie możemy. Jest za późno, żadna z nas nie może prowadzić.

- Nie przejmuj się, to tylko kilka przecznic.

Nie śmiała się już. Wyraz jej oczu mnie przerażał.

- Musimy zrobić to teraz - powtórzyła.

- No dobrze - uległam.

Wsiadłyśmy do samochodu. Było zimno, ale nie chciało nam się wkładać płaszczy. Lori prowadziła, ja wypatrywałam policji. Byłyśmy już pod agencją i powiedziałam, żeby wjechała na parking.

- Nie wolno mi - zauważyła. - Tylko dla lokatorów.

- Jako Najwyższa Bogini dzisiaj ci pozwalam - powiedziałam. To było głupie, widziałam, że się jej nie spodobało.

W budynku było ciemno, obserwowały nas jedynie oczy zmarłych gwiazd. Na palcach przekradłyśmy się pod drzwiami agencji - ostatnie, na co miałam ochotę, to żeby Gary się obudził i ściągnął nam na głowę policję. Zresztą i tak na pewno go nie ma, pewnie świętuje walentynki z nową dziewczyną.

Poszłyśmy na górę pod drzwi Johna Bradshawa. Ukłękłam i wepchnęłam kopertę pod drzwi. Kiedy wstałam, nagle otrzeźwiałam.

Wróciłyśmy do mnie. Byłyśmy o wiele spokojniejsze. Zapytałam Lori, czy chce przenocować, ale odmówiła.

Wydawała się daleka, jakby już jej nie było.

Obudziłam się w południe następnego dnia i w jednej strasznej chwili przypomniałam sobie cały poprzedni wieczór.

Ubrałam się jak najszybciej, pojechałam do agencji i pobiegłam na górę, do biura Johna Bradshawa. Przez piętnaście minut leżałam na wykładzi-



nie i usiłowałam wydstać nożem do papieru kopertę spod drzwi, ale wepchnęłam ją za daleko.

Przez cały weekend byłam bardzo zajęta, zajmowałam się różnymi głupstwami, byle tylko nie myśleć o tym, jak w poniedziałek rano John Bradshaw otworzy kopertę i zobaczy zdjęcie.

W niedzielę podjęłam decyzję. Pojadę do biura z samego rana i poczekam na Emmetta. Poproszę, żeby przyniósł mi kopertę i powiem, że wsunięto ją pod drzwi przez pomyłkę.

Lecz w poniedziałek rano, choć byłam w agencji już o ósmej, zobaczyłam mercedesa Johna Bradshawa na parkingu. Drzwi do jego biura były otwarte, a koperta zniknęła.

Dzień ciągnął się bez końca. Bradshaw się nie odzywał. Mniej więcej co godzina zakradałam się na palcach na piętro i starałam się coś podsłuchać. Byłam jak morderca, który nie może oddalić się zbyt od miejsca zbrodni.

Lori była jakby nieobecna. Żadna z nas nie wspomniała o piątkowym wieczorze.

Do trzeciej nic się nie wydarzyło i trochę się uspokoiłam. Nagle przyszło mi do głowy, że może Bradshaw wcale się nie zorientował, że to ja jestem na tym zdjęciu. Jakby nie było, jest agentem, pewnie codziennie dostaje tuziny fotosów od aktorek, które chcą, żeby je reprezentował. Bardzo możliwe, że rzucił tylko okiem na zdjęcie i, zdegustowany, wyrzucił je do kosza.

Dziękowałam Bogu, że byłam na tyle przytomna, że nie podpisałam walentynki.

O piątej pojawił się Gary i oznajmił, że dzisiaj wcześniej wychodzi.

- Spotykasz się z dziewczyną? - zapytałam. Zaczerwienił się.

- No, tak.

- Wiesz, mogłeś mi o niej powiedzieć. Skinął głową.

- Miałem zamiar.

- Fajna?

- Bardzo.

- Cieszę się.

- Dzięki. - Umilkł na chwilę. - Posłuchaj, Pandoro, chciałem ci jeszcze powiedzieć, że niedługo się stąd wyprowadzę.

Przepraszam, że tak długo nadużywałem twojej gościnności. Wreszcie udało mi się zaoszczędzić na mieszkanie.

- Cudownie - powiedziałam, ale dodałam, że może zostać, jak długo zechce.  
- Doceniam to, ale naprawdę już najwyższy czas, żebym się wyniosł. Kiedy wyszedł, usiadłam przy biurku.

Posmutniałam, sama nie wiem

dlaczego. Kilka minut później ktoś zapukał do drzwi. Przekonana, że to Gary, zerwałam się i otworzyłam.

Na progu stał John Bradshaw. Byłam tak zaskoczona, że nie mogłam wykrztusić słowa.

On też nic nie mówił. W końcu zapytał:

- Czy mogę wejść?

- Proszę bardzo.

Było mi tak wstyd, że z trudem wskazałam mu drogę. Zerkałam na niego ukradkiem, usiłowałam wyczytać coś z jego miny, ale szybko dałam sobie spokój.

Kiedy weszliśmy do mojego gabinetu wydawało się, że całkiem o mnie zapomniał. Przechadzał się, przeglądał książki i zdjęcia. W końcu powiedział:

- Niewiele tu pani zmieniła.

- Nie. Chciałam, żeby wszystko zostało jak za czasów wujka Gene'a. Uśmiechnął się lekko.

- Rozumiem. Trudno było go nie lubić.

Dzieliło nas tylko kilka centymetrów. Jego garnitur pachniał lekko cytrusami. Zobaczyłam, że ma oczy niebieskie, jak zbyt często prana koszula. I białe ręce, jak tata, ale starannie wypielegnowane.

Chwila ciszy. Odwrócił się. Położył na biurku teczkę, otworzył. Serce stanęło mi w gardle, gdy wyjął kopertę.

- Przyszedłem w związku z tym.

Za bardzo się wstydziłam, by na niego spojrzeć.

- Zdziwiłem się, kiedy to dostałem - ciągnął. - Czy mam rozumieć, że szuka pani agenta?

Byłam tak zaskoczona, że się roześmiałam. Akurat tego się nie spodziewałam.

Odłożył kopertę i wydawało się, że o niej zapomniał. Przyglądał mi się uważnie.

- Jak się pani mieszka w Los Angeles? Mówił ciepło, prawie jak wujek Gene. Powiedziałam, że cudownie.

- A praca w agencji? Też cudowna?

- Tak. Ostatnio odniosłam nawet sukces. Opowiedziałam mu o Ginette. Skinął głową.

- Takie chwile są bardzo ekscytujące.

Kolejna chwila ciszy, a potem spojrział na zegarek i powiedział, że musi iść na spotkanie. Miałam nadzieję, że zapomni o kopercie, ale zabrał ją i starannie schował do teczki. Odprowadziłam go do drzwi. Na progu się odwrócił.

- Czy któregoś wieczoru zaszczyci mnie pani swoim towarzystwem przy kolacji?

Kiedy wyszedł, usiadłam za biurkiem. Byłam w szoku.

Nie mogłam uwierzyć, w to, co się przed chwilą stało. Nie mieściło mi się w głowie, że John Bradshaw, wyniosły, niedostępny John Bradshaw, był tu i zachowywał się tak ciepło, tak po ludzku.

Mało brakowało, a zadzwoniłabym do Lori, ale się rozmyśliłam. Gdybym jej powiedziała, zredukowałabym to do poziomu żartu, a to nie tak. Nie miałam pojęcia jak, poza tym, że to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam, ale to na pewno nie był żart.

Ciągle myślałam o jego zmęczonym uśmiechu i tych smutnych, pięknych dłoniach. Zastanawiałam się, czy naprawdę zaprosi mnie na kolację.

## **Gary**

*To* chyba była najgorsza zima w moim życiu. Do dzisiaj niechętnie wspominam tamte noce w ciasnym gabinecie w agencji Pandory. Szczerze mówiąc, mniej więcej tydzień po przyjeździe do Los Angeles wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Gdybym był mądrzejszy, machnąłbym ręką na straty i wrócił do Palm Springs albo poszukał sobie taniego lokum w Los Angeles. Ale ja zawsze byłem uparty, zbyt uparty, jak mawiał tata, i nigdy nie chciałem przyznać się do błędu.

Może gdybym trzymał się tego, co początkowo sugerowała Pandora, żebym w jej biurze tylko pracował, wszystko byłoby w porządku, ale sypianie tam było nie do zniesienia. Proste rzeczy, jak wyprasowanie koszuli, stały się problemem, i wkrótce miałem po dziurki w nosie codziennych wypraw do YMCA pod prysznic. Powtarzałem jednak sobie, że to tylko przejściowe, że robię to, żeby więcej zaoszczędzić i że przez kilka tygodni z pewnością wytrzymam.

Naprawdę jednak niszczyła mnie bliskość Pandory. Przeżywałem męki, widząc ją codziennie, nadal żywiąc do niej uczucia, których, jak wiedziałem, nie odwzajemniała. Powtarzałem sobie, że byłem głupcem, spodziewając się

czegoś innego. Od samego początku dawała mi jasno do zrozumienia, że to propozycja zawodowa, nie osobista. Lecz ja, oczywiście, miałem idiotyczne nadzieje, że jeśli przyjadę do Los Angeles, jeśli będę blisko niej, jakimś cudem uda mi się wskrzesić nasz związek. Nie udało się.

Pandora była dla mnie bardzo miła. Chciała oprowadzać mnie po mieście i przedstawiać potencjalnym klientom. Nie podobało mi się, że jestem dla niej ciężarem, i w końcu powiedziałem, żeby się nie martwiła, że sam sobie poradzę. Wycofała się wtedy i dała mi spokój, i w miarę upływu czasu zorientowałem się, że stopniowo z przyjaciela staję lokatorem. I to było najgorsze.

Poza tym ciężko było mi obserwować z bliska, jak bardzo się zmieniła przez tych kilka miesięcy w Los Angeles. Przyjęła hollywoodzki styl życia i chyba w równym stopniu zależało jej, by wyglądać jak agentka, jak na tym, by nią być. Ciągle chodziła do najmodniejszych restauracji, spotykała się z odpowiednimi ludźmi i ubierała jak gwiazdka filmowa, w obcisłe ciuszki.

Może byłem niesprawiedliwy. Wiedziałem, jak bardzo chciała odnieść sukces. Jeśli jej zdaniem to była najkrótsza droga do celu, jakie miałem prawo ją osądzać? Lecz w moich oczach Pandora Brown zawsze była wyjątkowa. Było mi przykro, gdy widziałem, jak stara się upodobnić do innych.

Kolejna rzecz, która mnie martwiła, to jej przyjaźń z Lori. Przyznaję, nie byłem obiektywny, od pierwszego spotkania w Starbucks poczułem do niej antypatię.

Początkowo łatwo można było zlekceważyć Lori jako jedną z kobiet, które wykorzystują swoje ciało, żeby zdobyć to, czego zapragną- w Palm Springs też takie były - ale z czasem zmieniłem o niej zdanie. Zastanawiałem się, czy obcisłe kreacje i makijaż nie są tylko parawanem, zasłoną dymną, za którą coś ukrywa. Szczerze mówiąc, Lori mnie przerażała. Miałem wrażenie, że we wszystkim, co mówi i robi, jest ukryty cel, środek do tajemniczego celu.

Lecz Pandora była nią zachwycona. W kółko chodziła z Lori na lunch, zabierała na spotkania w interesach, w weekendy razem chodziły do klubów. Wiedziałem, dlaczego ceni ją w pracy, ale moim zdaniem przesadzała. Chyba była samotna, tęskniła za Steph i szukała substytutu. Tylko że mogła wybrać lepiej.

W miarę upływu czasu zaczynałem brać się w garść. Przestałem oczekiwać czegokolwiek ze strony Pandory i skupiłem się na pracy. I tu czekało mnie kolejne rozczarowanie. W Los Angeles było mi o wiele trudniej, niż się spodziewałem, a interesy szły wolniej, niż wydawało mi się to możli-

we. Z kontaktów Pandory nic nie wyszło, moje ogłoszenia nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Mijały dni, a ja nie miałem nic do roboty. Wiele razy byłem o krok od powrotu do Palm Springs, ale wtedy odzywał się mój upór i dawałem sobie jeszcze tydzień. I jeszcze jeden.

Mama i Janinę proponowały mi pomoc, ale się nie zgodziłem. Minął prawie miesiąc. Było mi wstyd, że tak kiepsko mi poszło, i byłem wściekły, że nadal nocuję w biurze Pandory.

W końcu, pod koniec grudnia, sytuacja zaczęła się poprawiać. Pomogła poczta pantoflowa. Interesy ruszyły z miejsca, lista klientów stawała się coraz dłuższa. W połowie stycznia zacząłem nawet nieco oszczędzać, choć ciągle za mało, by wynająć mieszkanie. Mimo wszystko to dodało mi otuchy. Powtarzałem sobie, że, przynajmniej z zawodowego punktu widzenia, przeprowadzka do Los Angeles okazała się słuszną. Problem tylko w tym, że z każdym dniem byłem coraz bardziej samotny.

Codziennie, gdy Pandora i Lori wychodziły z agencji, osaczała mnie cisza. Coś w tym wnętrzu - nie wiem, odrapane meble, teczki z umowami sprzed dziesięciu lat, zdjęcia martwych aktorów w holu - wpędzało mnie w depresję, sprawiało, że moje życie wydawało się żalną pomyłką.

Chodziłem na długie spacery, byle na godzinę czy dwie uciec z biura. Początkowo trzymałem się okolicy Sunset Plaza. Spacerowałem koło butików i restauracji, obserwowałem pięknie ubranych ludzi z nienagannymi fryzurami. Miałem wrażenie, że mówią i chodzą szybciej, niż trzeba.

Z czasem mi się to znudziło i zapuszczałem się coraz dalej, jeździłem wzdłuż Sunset albo San Vincente, aż do Pico Boulevard. Były to niebezpieczne dzielnice, pełne knajp i sex shopów, ale też pełne życia. Nie zapominałem, jak podczas pierwszej wizyty w Los Angeles zaskoczyła mnie obskurność Hollywood. Teraz dobrze się czułem w takich miejscach, i zastanawiałem się, czy tylko Pandorę zmieniło Los Angeles.

Czasami jadałem kolację w knajpie lub wpadałem do baru na drinka, ale trzymałem się z daleka od sex shopów. I bez tego byłem wystarczająco samotny.

Z czasem zacząłem co wieczór dostrzegać te same twarze. Na Sunset czekały prostytutki, stały na rogach w króciutkich spódniczkach, za to z bujnymi fryzurami. Początkowo chciały mnie namówić, lecz nawet kiedy się zorientowały, że mnie to nie interesuje, witały mnie przyjaźnie, machały i prosiły o papierosa.

Pewnej nocy zobaczyłem nową dziewczynę. Była śliczna, świeża i czysta. Pasowała raczej do rancza w Montanie, nie do rogu Sunset. Podeszedłem bliżej i przyjrzałem się jej uważniej. Miała nie więcej niż czternaście lat.

Tak mnie to przygnębiło, że przez kilka następnych nocy nie wychodziłem. Lecz w końcu ściany agencji znów zaczęły mnie dusić i wróciłem. Dziewczyny już nie było.

Czasami dla odmiany szedłem na Santa Monica Boulevard. Tam z kolei czekały męskie prostytutki. Na pierwszy rzut oka wiedzieli, że nie będę ich klientem, ale, jak dziewczyny, byli sympatyczni. Na ulicy czaiła się jeszcze jedna grupa, której nie znosiłem. Co wieczór, mniej więcej koło jedenastej, nie wiadomo skąd zjawiał się tuzin facetów. Gromadzili się na rogach, po dwóch, trzech. Nosili czarne skóry, poruszali się bezszelestnie. Ilekroć zbliżał się wóz patrolowy, znikali, by wrócić jak karaluchy, gdy policja skręciła za róg. Unikałem ich.

Jednego jednak nie sposób było nie zauważyć. Zazwyczaj nie zwracam uwagi na wygląd innych mężczyzn, ale ten był wyjątkowy - wysoki, ciemnowłosy, szczupły, muskularny. I przystojny jak gwiazdor filmowy. Nie rozumiałem tego. Często o nim myślałem; jak to możliwe, że mężczyzna z taką urodą wylądował na Santa Monica Boulevard, gdzie handluje, kradnie albo rabuje.

Koło północy wracałem do biura. Miałem głowę pełną muzyki i klaksonów i nie czułem się już taki samotny.

W Nowy Rok Tom i Helenę, pobrali się w Palm Springs. Poważnie potraktowałem rolę świadka i przez kilka godzin plodziłem zabawną mowę, przynajmniej moim zdaniem.

Na weselu świetnie się bawiłem ze starymi przyjaciółmi. Przed wyjściem chciałem powiedzieć coś Tomowi, dać mu jakoś do zrozumienia, ile dla mnie znaczył, ale uczucia były większe niż słowa, więc tylko go uściskałem i poprosiłem Helenę, żeby o niego dbała.

- Obiecuję - powiedziała z taką miłością w głosie, że zachciało mi się płakać.

W drodze powrotnej do Los Angeles rozmyślałem nad zawilościami losu. Od dziecka byliśmy z Tomem tak do siebie podobni, że ludzie uważali nas za braci. Jak to się stało, że jeden ożenił się z ukochaną dziewczyną, a drugi jest najbardziej samotnym człowiekiem w Los Angeles?

I wtedy, mniej więcej tydzień później, poznałem Sarę.

Miałem spotkanie służbowe w nowym biurze podróży w West Hollywood, i ledwie wszedłem do holu, zobaczyłem młodą dziewczynę siedzącą przy stanowisku po lewej stronie. Była słodka, miała kręcone rude włosy i orzechowe oczy. Co więcej, wyglądała naturalnie. Chyba jako jedyna w tym mieście.

Rozmawiała przez telefon z najwyraźniej konfliktowym klientem, lecz nie okazywała zniecierpliwienia.

Odpowiadała grzecznie na pytania i na-

wet kiedy skończyła rozmowę, nie narzekała na klienta. Chciałem jej pogratulować wytrwałości i opanowania, ale akurat wtedy dyrektor zaprosił mnie na spotkanie.

Kiedy wyszedłem, nadal siedziała za biurkiem. Wypełniała jakieś formularze, ale miałem wrażenie, iż wie, że ją obserwuję.

Podszedłem. Staralem się wymyślić jakiś temat do rozmowy. Za jej plecami wisiały plakaty reklamujące Szwajcarię i uznałem, że równie dobrze mogę zacząć od tego.

- Podobno Matterhorn w Szwajcarii jest wyższy niż ten w Disneylandzie - zacząłem.

Roześmiała się.

- No tak, ale nie mają yeti.

I tak zaczęliśmy rozmawiać - o Disneylandzie, Szwajcarii, nartach, górskich domkach i nawet o serze. A kiedy już nie miałem nic do powiedzenia, zapytałem, jak ma na imię.

- Sara.

Przeszył mnie dreszcz.

Jako nastolatek najbardziej lubiłem starą piosenkę z lat siedemdziesiątych *Sara, smile*. Puszczając ją w kółko i wyobrażałem sobie jej bohaterkę. Była słodka i dzielna, trochę jak ta Sara.

- Jesteś z LA? - zapytałem.

- Owszem - odparła. - Ale nie z Los Angeles, tylko z Lake Arrowhead.

Kolejny dreszcz. Lake Arrowhead znaczyło dla mnie bardzo wiele. Kiedy miałem siedem lat, pojechaliśmy tam na tydzień. Były to ostatnie wakacje przed chorobą taty.

Zastanawiałem się, czy Sara tam wtedy mieszkała. Może była jedną z małych dziewczynek w kolorowych kostiumach, które pluskały się w jeziorze, a może jadła lody na nabrzeżu? Może przemknąłem obok niej na nartach wodnych?

Robiło się późno. Miałem umówione następne spotkanie, ale zapytałem Sarę, czy po pracy pójdzie ze mną na kawę.

- Z przyjemnością- powiedziała i obdarzyła mnie kolejnym uśmiechem. W drodze do biura otworzyłem okno i na całe gardło śpiewałem tę piosenkę. Od przyjazdu do Los Angeles nie czułem się tak dobrze.

Pierwsza randka trwała prawie pięć godzin. Zaczęliśmy w kawiarni Starbucks, gdzie pochłonęliśmy cappuccino i ciasteczka, a potem poszliśmy na kolację do Farm, jej ulubionej restauracji.

Zawsze uważałem się za milczka, ale tego wieczoru przyłapałem się na tym, że mówię tak szybko, że nie nadążam wyrzucać z siebie słów. Chyba

chciałem sobie odbić tygodnie milczenia. Sara zachowywała się tak samo. Przy każdym nowym temacie oboje mieliśmy mnóstwo do powiedzenia, zgadzaliśmy się albo dyskutowaliśmy o wszystkim.-

Kiedy kelner przyniósł rachunek, wziął się pod boki i zabawnie przewrócił oczami.

- Nowożeńcy, tak? - zapytał.

Roześmialiśmy się zawstydzeni. A mnie przyszło do głowy, że podczas tylu lat z Pandorą nikt nigdy nie wziął nas za nowożeńców.

Od tego wieczoru często umawiałem się z Sarą. W tygodniu chodziliśmy na kawę albo na kolację, w weekendy zwiedzaliśmy miasto. Z czasem przekonałem się, że jeśli ma się przy sobie kogoś bliskiego, Los Angeles wcale nie jest takie straszne.

Czasami zachowywaliśmy się jak turyści, oglądaliśmy wystawy na Rodeo Drive i zajadaliśmy pączki na Farmer's Market. Kiedy indziej wędrowaliśmy po górach Santa Monica i spacerowaliśmy nad stawem niedaleko Mulholland. Namówiłem nawet Sarę na wycieczkę śladem śmierci: siedzieliśmy w karawanie i oglądaliśmy miejsca, w których umarli sławni ludzie. Zemściła się za to, zaciągając mnie do każdej galerii sztuki na Melrose Avenue.

Nocami siedzieliśmy u niej, słuchaliśmy płyt, oglądaliśmy filmy na wideo. Miała urocze mieszkanie na La Peer, w jasnych, pastelowych kolorach. Pozwalała mi się kąpać, a czasami nawet mi gotowała, co doceniałem bardziej, niż potrafiłem to okazać.

Dobrze nam było razem, spokojnie i swobodnie. W przeszłości zawsze dążyłem do rozwoju także fizycznej strony związku, ale z Sarą było inaczej. Od początku czułem, że może się okazać kimś ważnym w moim życiu - może ze względu na piosenkę - i nie chciałem niczego zepsuć zbytym pośpiechem.

Zastanawiałem się w kółko, kiedy powiedzieć Pandorze, że mam dziewczynę. Była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, lecz z jakiegoś powodu ciągle to odkładałem. Interesy szły na tyle dobrze, że lada moment miałem się wyprowadzić. Wtedy j ej powiem, postanowiłem.

Spotykałem się z Sarą od miesiąca, gdy zabrałem ją do Palm Springs, żeby poznała moją mamę. Trochę się denerwowałem, kiedy tam jechaliśmy, martwiłem się, czy się dogadają, ale ledwie je sobie przedstawiłem, wiedziałem, że wszystko będzie dobrze.

Przyjechaliśmy tuż przed kolacją. Sara pomogła mamie nakryć do stołu. Żartowały ze mnie, że siedzę na kanapie jak basza, ale nie chciało mi się ruszać. Sprawiało mi przyjemność obserwowanie ich, jak się śmieją i żartują, kręcąc się po pokoju i kuchni.



Po kolacji jeszcze trochę oglądaliśmy telewizję, aż mama oznajmiła, że idzie spać. Kiedy odprowadzałem ją do sypialni, szepnęła:

- Podoba mi się twoja dziewczyna, Gary.

Przypomniał mi się tamten dzień sprzed lat, gdy mama poznała Pandorę. Zapytałem, w której jest szufladzie, a mama odparła: „Nie wiem czy w górnej czy w dolnej”. Sara była w najwyższej, wiedziałem to, nie musiałem nawet pytać. Wieczorem zabrałem Sarę na spacer po okolicy. Wieczór był wręcz wymarzony, jakby Palm Springs chciało się pokazać z najlepszej strony. Mówiliśmy niewiele, wsłuchani w odgłos naszych kroków, i pamiętam, jak pomyślałem, że są bardzo zgrane.

Wróciliśmy do domu koło dziesiątej. Mama przeznaczyła dla Sary stary pokój Janinę, i tam zaniósła walizkę, ale gdy tak staliśmy w holu, miałem wrażenie, że oboje czujemy to samo - że dzisiaj będzie spała u mnie.

Po raz pierwszy od czasów Pandory kochałem się z kobietą. Początkowo czułem się dziwnie, dotykając innego ciała, wdychając zapach innej skóry. Ale to chyba naturalne. Wkrótce poznałem i Sarę, pachnącą imbirem i egzotycznymi perfumami. Była bardzo blada; poniżej opalonej, piegowatej twarzy piersi i uda uderzały białością. Dobrze się czułem, mając pod sobą jej ciało, silne i jędrne, a gdy później zasypiałem, czując zapach jej włosów na poduszce, przypomniał mi się kelner z Farm - myślał, że jesteśmy po ślubie.

Następnego ranka zabrałem ją na pustynię. Nigdy nie jeździła na motorze - w Lake Arrowhead królowały motorówki - ale miała do tego wrodzony talent, świetnie łapała równowagę.

Po południu wybraliśmy się na spacer po Palm Springs. Pokazałem jej wiele ważnych dla mnie miejsc: Indian Canyon, Living Desert, moją szkołę średnią. Lecz kilka miejsc ominąłem celowo: podstawówkę imienia Katherine Finchy, wodospad Taquitz, lotnisko. Nadal należały do Pandory.

Sara była zachwycona. Powiedziała, że nie pojmuje, jak mogłem zamienić Palm Springs na Los Angeles.

- Też tego nie rozumiem - odparłem.

Wyjechaliśmy trochę później, niż planowaliśmy i kiedy dotarliśmy do Los Angeles, zaczęła się godzina szczytu. Hałas ogłuszał i weekend w Palm Springs już wydawał się nierzeczywisty.

Sara zaprosiła mnie na noc do siebie. Odparłem, że bardzo chętnie, ale najpierw muszę wpaść do biura, zabrać dokumenty. Odwiozłem ją i powiedziałem, że wrócę za godzinę.

Pojechałem do West Hollywood, zaparkowałem przecznicę od agencji. Gdy szedłem Sunset, zobaczyłem dwie postacie, kobietę i mężczyznę, kilka metrów przede mną. Kobieta była Lori, mężczyznę zaś ten wysoki, ciemnowłosy przystojniak z bulwaru. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę. Nie zauważyli mnie. Szli powoli, rozmawiali w skupieniu. Nie słyszałem słów, ale ton ich głosów wiele mówił. Lori przemawiała niskim, nagłym głosem, zupełnie inaczej niż w biurze, jakby należał do innej osoby. Usłyszałem słowo „ona” i nadstawiłem ucha, ale mówiła coraz ciszej. Domyślałem się, że miała na myśli Pandorę, ale nie byłem pewien. Kiedy mężczyzna na nią spojrział i zobaczyłem jego twarz, upewniłem się, że to facet z Santa Monica Boulevard. Nie wiedziałem, czym się zajmuje - jest alfonsem, handlarzem narkotyków czy włamywaczem - ale miałem złe przeczucie, widząc go razem z Lori przed agencją Pandory. Starłem się nie wyciągać pochopnych wniosków. Przecież właściwie nic się nie stało, Lori idzie z facetem. Skoro to wydaje mi się podejrzane, mam problem. Uznałem, że nic nie powiem Pandorze. Lecz gdy następnego dnia Lori zjawiała się w biurze słodka i urocza, zupełnie inna niż poprzedniego wieczoru, uznałem, że nie mogę tego tak zostawić. Poszedłem do Pandory.

- To nie moja sprawa - zacząłem - ale uznałem, że powinnaś wiedzieć: wczoraj wieczorem widziałem tu Lori z podejrzany typem.

Pandora uniosła brwi.

- Od kiedy bawisz się w szpiega?

Miałem wrażenie, że ją zaintrygowałem, że chciałyby usłyszeć więcej, ale nie pozwoliła sobie na to. Wróciłem do swojego gabinetu, zły na siebie i na nią.

Zbliżał się dzień świętego Walentego. Chciałem, żeby był dla Sary wyjątkowy, i zadbałem o to. Kupiłem jej kolczyki, perfumy i kwiaty. Spędziłem też mnóstwo czasu, szukając kartki odpowiedniej na tym etapie naszej znajomości. Zastanawiałem się, czy posłać też życzenia Pandorze, ale nie zrobiłem tego. Chciałem, żeby w tym roku tylko Sara była moją walentynką.

W poniedziałek po walentynkach Pandora była w bardzo dziwnym nastroju. Nigdy nie widziałem jej tak niespokojnej. Nie była w stanie usiedzieć na miejscu.

Około szóstej wychodziłem na kolację. Emmett, gej, który pracował u Johna Bradshawa, zbiegał ze schodów. Uśmiechnął się szeroko.

- Miałaś coś wspólnego z fotosem? Powiedziałem, że nie mam pojęcia, o czym mówi.  
Aż się palił, żeby mi opowiedzieć. Dowiedziałem się ze szczegółami, jak to w weekend Pandora wepchnęła swoje  
świńskie zdjęcie i kartkę wa-lentynkową pod drzwi Johna Bradshawa.  
W pierwszej chwili pomyślałem, że to wszystko sprawka Lori, ale to i tak nie tłumaczyło Pandory. Nie mieściło mi  
się w głowie, że mogła zrobić coś tak dziecinnego.  
- I jak zareagował na zdjęcie? - Tylko o to mogłem zapytać.  
- Trudno powiedzieć. Wiem tylko, że kiedy wychodziłem, nie było go w koszu na śmieci. - Uśmiechnął się. - Twoja  
dziewczyna jest w porządku.  
Nie wiedziałem, co zdenerwowało mnie bardziej - głupie zachowanie Pandory czy słowa Emmetta, że jest moją  
dziewczyną.  
Nagle odechciało mi się jeść. Spacerowałem po Sunset, dopóki nie nabrałem pewności, że Pandora już wyszła.  
Gdy wróciłem, okazało się jednak, że nadal pracuje.  
- Słyszałem o fotosie - zacząłem. Poczzerwieniała.  
- To tylko żart - tłumaczyła. - Wydawało mi się to śmieszne. Chciała to zbyć, co tylko pogarszało sprawę.  
Wyobrażałem sobie biedaka, jak otwiera kopertę i myśli sobie nie wiadomo co.  
Złapałem ją za ramię.  
- Nie bądź naiwna, Pandoro, chyba wiesz, że nie powinnaś go zwodzić. Miała bardzo dziwny wyraz twarzy.  
Wyrwała mi się.  
- A kto powiedział, że go zwodzę? Wtedy mnie poniosło.  
- A niby co miał sobie pomyśleć? Nie wiedział, że to żart. Nadal patrzyła na mnie dziwnie.  
- Może to wcale nie był żart.  
Tego wieczoru miałem iść z Sarą do kina, ale odwołałem randkę. Wiedziałem, że będę kiepskim towarzyszem.  
Wyszedłem sam i zalałem się w trupa.

## **Pandora**

Mijały dni. John Bradshaw nie dzwonił. Nie mogłam zapomnieć o jego wizycie. Pamiętałam jego oczy, ton jego  
głosu. „Czy któregoś

wieczoru zaszczyci mnie pani swoim towarzystwem przy kolacji?" A potem nic.

Znowu szukałam o nim informacji w sieci, jakbym chciała w ten sposób odnowić więź między nami. Wróciłam do starych artykułów i znalazłam jego zdjęcie z córką Amandą. Wtedy miała szesnaście lat, a więc teraz ma dwadzieścia dziewięć. Starsza ode mnie. Podobało mi się, jak Bradshaw uśmiecha się do niej na zdjęciu. Miał podobny wraz twarzy jak wtedy w agencji... I proszę, znowu o nim myślałam.

We wtorek zadzwoniła Steph.

- Szykuj się - oznajmiła. - W piątek mam spotkanie w Los Angeles, ale znajdę czas, żebyś zabrała mnie gdzieś na drogi lunch.

Byłam zachwycona, że przyjeżdża. I co za ulga, że mogę myśleć o czymś innym, nie tylko o tym, że John Bradshaw nie dzwoni. Lecz w piątek, gdy jadłyśmy ze Steph lunch w Trilusa, był pierwszym tematem, który poruszyłam.

- Myślisz, że coś ze mną jest nie tak? - zapytałam. - Mógłby być moim ojcem. Gorzej, starszym bratem mojego ojca.

- Zależy - orzekła Steph. - Jeśli wygląda jak Harrison Ford albo Sean Connery, w porządku, jeśli nie, mamy problem. Roześmiałam się.

- Chodzi o coś więcej niż wygląd. Wydaje mi się, że romans ze starszym facetem to ciekawe doświadczenie.

Zwłaszcza ze starszym facetem z Hollywood. Opowiadałby mi, jak było za dawnych dobrych czasów.

- O ile jeszcze pamięta-mruknęła Steph.

Po lunchu zapytałam, czy chciałyby zobaczyć agencję.

- Oczywiście. I muszę poznać tę dziewczynę, która zajęła moje miejsce w twoim sercu.

Uściskałam ją.

- Do tego nigdy nie dojdzie.

Miałam nadzieję, że Steph i Lori się polubią, ale były tylko wobec siebie uprzejme, nic więcej. Za to Gary szczerze się ucieszył na widok Steph. Wybiegł z gabinetu i uciskał ją serdecznie.

Kiedy musiała już iść na swoje spotkanie, wezwałam jej taksówkę i wy-szłyśmy razem na dwór.

Nagle złapałam ją za rękę.

- To on!

John Bradshaw szedł Sunset w stronę La Clafoutis.

- I co ty na to? Zamyśliła się.

- Jesteś tylko trochę nienormalna - orzekła. - Mogło być o wiele gorzej.

Kiedy przyjechała taksówka i się żegnałyśmy, miałam łzy w oczach. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi mojej wspianiałej przyjaciółki.

Może dlatego poszłam później do gabinetu Lori i opowiedziałam jej o wizycie Johna Bradshawa. Skończyłam mówić. Zapanowała cisza.

- Nie mogę uwierzyć, że tak długo milczałaś - powiedziała w końcu. Zrobiło mi się głupio.

- Chyba za bardzo się wstydziłam. Myślałam, że mnie wyśmiejesz -Uściskałam ją. - Przepraszam. Od tej pory będę ci mówiła o wszystkim.

- Dobrze. I nie przejmuj się, że nie zadzwonił. Zadzwoni.

Ale nie dzwonił. I z czasem zrozumiałam, że nigdy tego nie zrobi.

Kilka dni później widziałam go przed Chin Chin. Popatrzył na mnie, skinął głową i odwrócił wzrok. Nie mógł okazać tego jaśniej; jednoznacznie dał mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowany. Szybko go minęłam. Było mi wstyd, że tyle o nim myślałam, że czekałam na jego telefon.

Zadzwonił po południu.

- Pani Brown? Tu John Bradshaw. Właśnie otrzymałem zaproszenie na premierę *Pogody na ulicach*, na piętnastego marca. Czy zechce mi pani towarzyszyć?

Mówił obojętnie, chłodno. Przez moment zastanawiałam się, czy nie odrzucić zaproszenia, ale od dziesiątego roku życia marzyłam, żeby pójść na premierę. Zgodziłam się.

- Więc jesteśmy umówieni. Po pokazie jest przyjęcie, a później zjemy kolację.

Odłożyłam słuchawkę.

- Lori!-wrzasnęłam.

Do premiery były jeszcze prawie dwa tygodnie, ale zdaniem Lori powinnam już zacząć się szykować.

- W czym wystąpisz? - To było jej pierwsze pytanie. W myślach przejrzałam moją garderobę.

- Nie wiem.

- Musisz sobie kupić suknię wieczorową.

Przerażająca myśl. Wiedziałam, co się dzieje na premierach, że dziennikarze omawiają później w gazetach szczegóły wszystkich kreacji, i nagle poczułam się jak prowincjuszka z Palm Springs.

- Może pójdziesz ze mną po zakupy? - poprosiłam. - Jako moralne wsparcie.

Lori się uśmiechnęła.

- Z wielką chęcią.

W sobotę spotkałyśmy się przed sklepem Neimana Marcusa.

- Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio kupowałam suknię wieczorową - mruknęłam, gdy wchodziłyśmy do środka. - Chyba na bal w jedenastej klasie. Jasnoróżowy tiul. Kosztowała mnie tygodniówkę z trzech miesięcy i wcale nie była tego warta.

- Dlaczego?

- Rod Starkey poprosił mnie do tańca na tarasie. Kiedy skończyliśmy, miałam z przodu wielką plamę.

Lori się roześmiała.

- Chyba każda dziewczyna przeżyła coś takiego.

- Naprawdę? Mnie było tak wstyd, że nawet nie zaniiosłam jej do pralni, tylko wyrzuciłam.

- Tygodniówka z trzech miesięcy? - Spojrzała na mnie dziwnie. - I ją wyrzuciłaś?

Wjechałyśmy na trzecie piętro. Jeszcze zanim zeszłyśmy z ruchomych schodów, Lori wskazywała srebrną kreację od Prądy.

- Bierz ją - powiedziała.

Przymierzyłam. Była bardzo wyrafinowana i niewiarygodnie seksowna, i zupełnie nie w moim stylu. Lecz kiedy wyszłam z przymierzalni, Lori orzekła:

- Super. Musisz ją mieć.

Pomyślałam o jasnoróżowym tiulu. Czy naprawdę tak bardzo się zmieniłam od przyjazdu do Los Angeles?

- Bardziej pasuje do ciebie niż do mnie - powiedziałam. - Ty też ją przymierz, tak dla zabawy.

Po kilku minutach wyszła z przymierzalni. Nigdy nie widziałam piękniejszej kobiety.

Szukałyśmy jeszcze długo, ale nie znalazłyśmy niczego odpowiedniego. Miałam uczucie, że jestem w stadium poczwarki - już nie Palm Springs, jeszcze nie Los Angeles.

Lori nalegała, żebym kupiła suknię Prądy.

- Zaufaj mi - powiedziała. - Czy nie miałam racji w sprawie fotosu? Roześmiałam się i uległam, kupiłam ją.

Widziałam, że jest zadowolona. Kiedy się zegnałyśmy przed sklepem, uściskałam ją.

- Miałaś rację co do fotosu - powiedziałam. - I gdyby nie ty, nie szłabym na tę premierę. Więc kiedy już będzie po wszystkim, dam ci tę suknię.

Nigdy nie widziałam jej równie szczęśliwej.

Im bliżej do premiery, tym bardziej byłam podekscytowana. Starłam się zachować spokój, powtarzałam sobie, że to tylko film i przyjęcie. Na nic.

Tata też mi nie pomógł - w kółko rozprawiał o premierze.

- Szkoda, że Gene tego nie widzi - powtarzał. Przyznałam mu rację. Wujek Gene dużo dałby za to, żeby zobaczyć, jak idę po czerwonym chodniku, wsparta na ramieniu Johna Bradshawa.

- Co zrobisz z włosami? - zapytała Lori w poniedziałek przed premierą. Przyznałam, że jeszcze się nie zastanawiałam.

- W piątek musisz iść do fryzjera, i przy okazji do manikiurzystki i kosmetyczki. Zapiszę cię.

Roześmiałam się.

- Czy aby nie przesadzamy?

Ale niewiele trzeba było, żeby mnie przekonać.

Następnego dnia John Bradshaw zadzwonił, żeby się ostatecznie umówić.

- Skąd mam cię odebrać? - zapytał.

Już miałam podać mu adres domowy, ale się zawahałam. Nie wiadomo dlaczego nie chciałam, żeby zobaczył moje skromne mieszkanko.

- Może z agencji? Zdziwił się.

- Na pewno?

- Tak.

Odłożyłam słuchawkę i pomyślałam, jak wszystko skomplikowałam - albo będę musiała ubrać się w domu i pojechać do agencji, albo przebrać się w pracy. Ale i tak wolałam taki układ.

Wreszcie nadszedł ten wieczór. W końcu przebrałam się w domu. Tak bardzo się denerwowałam, że z trudem zapięłam suwak sukni.

Jakaś część mnie chciała, żeby już było po wszystkim. Przypomniały mi się szkolne potańcówki, jak na nie czekałam i jakie okazywały się okropne. Wmawiałam sobie, że premiera na pewno nie będzie taka zła. W końcu jestem o dziesięć lat starsza. Zyskałam trochę dystansu.

Jednak i tak z trudem trzymałam kierownicę, kiedy jechałam do biura.

O siódmej zobaczyłam światła limuzyny jadącej ulicą. Obserwowałam przez okno, jak zatrzymała się przed naszym budynkiem i wysiadł z niej John Bradshaw. Nie skorzystał ze swojego klucza - bardzo oficjalnie użył domofonu, jak klient. Wpuściłam go do środka.

Miał na sobie frak od Armaniego, wyglądał bardzo elegancko i dostojnie, jak na zdjęciach, które znalazłam w Internecie.

Poczułam się przy nim bardzo mała. Przypomniało mi się moje życie: pielenie ogródka, wyścigi na rowerze, stanie przy lotnisku, kupowanie ciuchów w tanich sklepach. Nie do wiary, że teraz stoję w kreacji od Prądy i idę na premierę z mężczyzną we fraku od Armaniego.

Pochylił się i pocałował mnie w rękę.

- Wyglądasz czarująco.

- Dziękuję, John - odparłam. Po raz pierwszy zwróciłam się do niego, a nawet pomyślałam o nim, używając jego imienia.

Zamknęłam biuro - Gary uprzedzał, że wróci dopiero w poniedziałek - i wsiedliśmy do limuzyny. Była piękna, z jasnoszarym wnętrzem i drewnianymi wykończeniami; przypominała kajutę statku. Był tam niewielki barek, pełen karafek i kryształowych kieliszków, i John zapytał, czy się czegoś napiję. Podziękowałam. Wiedziałam, że nie będę w stanie niczego przełknąć. Ale zabrałam papierową serwetkę, dla taty.

Podczas jazdy niewiele rozmawialiśmy. Mówiliśmy o *Pogodzie na ulicach* i powiedziałam, że czytałam tę książkę w szkole. Ledwie to powiedziałam, zorientowałam się, że to błąd - tym samym przypomniałam nam obojgu o różnicy wieku między nami. I rzeczywiście, przez chwilę milczał, a potem zmienił temat.

- Cora Macafee jest moją klientką - powiedział. - Gra Etty.

Nie mogłam powstrzymać się od refleksji, że dziesięć lat temu reprezentowałby odtwórczynię roli głównej, a nie drugoplanowej. Lecz ja wołałam, że jest tak jak teraz. I tak dziwnie się przy nim czułam, a jak czułabym się wtedy, u szczytu jego sławy?

Dojechaliśmy do Hollywood Boulevard. Nigdy nie widziałam takich tłumów. Ulica była pełna samochodów, wszędzie stały wozy policyjne.

- Ludzie czekali cały dzień - powiedział szofer. - Chcą zobaczyć gwiazdy

Dzieciaki przedzierały się przez barierki i podbiegały do limuzyny. Przykładały dłonie do twarzy i starały się zajrzeć do środka. To było dziwne, takie bezosobowe. Nie obchodziło ich, kto jest w środku, byle był to ktoś sławny.

W końcu zatrzymaliśmy się przed kinem. Szofer wysiadł i otworzył mi drzwi. Przez chwilę myślałam, że nie będę w stanie wysiąść - to tak, jakbym miała wejść w wybuch jądrowy, w morze światła, hałasu i gorąca. Ledwie stanęłam na czerwonym dywanie, rozbłysły miliony fleszy. Jedną część mnie, mała dziewczynka z Palm Springs, była przerażona i chciała



się schować, lecz inna część była tym zachwycona. Nie szkodzi, że nie zrobiłam nic, by na to zasłużyć; pragnęłam tego całą sobą.

John Bradshaw wysiadł z samochodu, stanął koło mnie. Jeszcze więcej fleszy, więcej krzyków. Mocno wziął mnie pod ramię, ruszyliśmy czerwonym chodnikiem. Tłum fanów oddzielony barierką sięgał do samych drzwi.

Zobaczyłam dziewczynkę, mniej więcej trzynastoletnią. Była zmęczona i brudna, jakby stała tam cały dzień. To mogłam być ja dziesięć lat temu, czekająca na Toma Cruise'a czy Brada Pitta. Pomachałam jej i uśmiechnęłam się.

Podeksycytowana, złapała za ramię koleżankę i wskazała mnie. Oby się nigdy nie dowiedziała, że jestem nikim.

Weszliśmy do foyer. Było tam mnóstwo gwiazd - starałam się na wszystko zwracać uwagę, ale się nie gapić.

Wszyscy podchodzili do Johna Bradsha-wa. Był bardzo elegancki i spokojny. Przedstawiał mnie, nie mówił, że jestem agentką. Starałam się wyglądać na znudzoną intelektualistkę, która jest ponad to. Zabawne, czego się nie robi z zakłopotania.

Światła zamigotały, więc przeszliśmy do sali i zajęliśmy miejsca. Przemawiał jeden z producentów, potem reżyser zapowiedział film. Kiedy pokazały się pierwsze napisy, publiczność biła brawo przy każdym nazwisku. To było fantastyczne. Poczułam, że już nigdy nie zechcę oglądać filmów w Palm Springs, tylko tu, w Hollywood, gdzie wszyscy na sali znają wszystkich na ekranie.

Zaczął się film i złapałam się na tym, że jestem bardzo świadoma obecności Johna Bradshawa. Siedział bez ruchu, skoncentrowany na filmie, i zdałam sobie sprawę, że ogląda go tak samo, jak spojrział na mnie wtedy przed Chin Chin. Wówczas wzięłam to za lekceważenie, lecz to było skupienie.

Film był wspaniały. Po końcowych napisach cała publiczność zerwała się i biła brawo. Cudownie było stać się częścią czegoś takiego.

W końcu wyszliśmy. John wziął mnie pod ramię i poprowadził do foyer. Na zewnątrz tłumy fanów nadal tłoczyły się za kordonem policyjnym. Denerwująca była świadomość, że stali tu cały czas.

Przyjęcie odbywało się po drugiej stronie ulicy. Na parkingu rozbito wielki namiot, na asfalcie ułożono parkiet.

Kiedy wchodziliśmy, wszystko wydawało się nierzeczywiste, może ze względu na tłum i upał.

Sączyłam szampana i starałam się być niewidoczna. Ludzie podchodzili do Johna i po raz kolejny uderzyło mnie, jaki jest dostoyny; nawet w tłumie zdawał się być ponad to wszystko. Tylko w rozmowie z klientką, Corą Macafee, trochę się rozluźnił.

Nie byliśmy tam długo. Pogratulował reżyserowi i producentom i zapytał, czy możemy już iść.

Wróciliśmy na Hollywood Boulevard. Nie wiedziałam, jak znajdziemy naszą limuzynę, ale już była, czekała jak dobrze wytresowany pies. Wsiadliśmy. Ciągle miałam w uszach krzyki. Na Johnie chyba nie zrobiły wrażenia.

- Jedziemy do Iyy - powiedział do szofera. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu - zwrócił się do mnie.

Powiedziałam, że to cudownie.

- Nigdy tam nie byłam, ale to ulubiona restauracja wujka Gene'a. Zawsze mi obiecywał, że mnie tam zabierze.

Chwila ciszy. Obawiałam się, że powiedziałam coś nie tak, ale John Bradshaw uśmiechnął się lekko.

- Teraz ja spełnię obietnicę. Jechaliśmy w milczeniu.

- Jak ci się podobał film? - zapytałam w końcu.

- Podobał - odparł. - Ale chyba nie tak, jak tobie.

Nagle poczułam się płytka; za łatwo dałam się porwać emocjom.

- Moim zdaniem Cora Macafee była super - powiedziałam szybko.

- Owszem. - Skinął głową. - Jestem z niej zadowolony. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Dojechaliśmy do Ivy. Urocza restauracja: białe ogrodzenie, czerwona cegła, meble z kutego żelaza, wyblakłe tkaniny na obiciach. Przywodziła na myśl francuski wiejski dom, ale nie powiedziałam tego, przecież nigdy nie byłam we Francji.

Szef sali zaprowadził nas do stolika. Kelner przyjął zamówienie na napoje; kiedy się oddalił, znowu zapanowała cisza. Zaczęłam opowiadać o agencji - tylko to przyszło mi do głowy. Opowiadałam, jak toczy się kariera Enrica Moralesa i Kim Helens, wspomniałam, że Tony Mackie wybrał się na Sri Lanke i zapomniał mi o tym powiedzieć. Zdawałam sobie sprawę, że paplam, ale nie mogłam się powstrzymać; coś mi kazało dalej pleść bzdury.

Aż on to zrobił. Nagle się pochylił i wziął mnie za rękę.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć - powiedział. Myślałam, że się przestyszałam.

Gapiałam się na nasze dłonie. Jego była chłodna i biała, o starannie opiłowanych paznokciach. Moja wydawała się nieforemna, zbyt różowa.

Podniosłam na niego wzrok. Uśmiechnął się smutno; nagle wydał się o wiele starszy. Pomyślałam o tacie.

- Chyba przez twoją walentynkę.

- Przepraszam - powiedziałam. - To był kawał, idiotyczny kawał.

- Nie mów tak.

Kelner przyniósł drinki i Bradshaw zabrał dłoń. Napił się wina, ostrożnie odstawił kieliszek. I nagle cisza zniknęła, słowa płynęły i płynęły.

Opowiadał mi o swojej żonie, Lorraine - jak się poznali, że kiedy ją zobaczył, poczuł się, jakby uderzył go piorun.

Jak bardzo byli szczęśliwi przez dwadzieścia pięć lat i jak nagle zachorowała. Jak za nią tęsknił, gdy umarła.

- Wtedy życie nie miało dla mnie sensu. Ale trzymałem się, dla Amandy. Pomyślałam o tacie, jak by się czuł, gdyby mama umarła. I czy trzymałby się dzielnie, dla mnie.

- Pewnie byłeś bardzo samotny. - Nie wiedziałam, co innego powiedzieć.

- Byłem. I nigdy nie starałem się tego zmienić. Nie jestem towarzyski. Wiedziałem, że już nigdy nie będzie tak jak z Lorraine. - Spojrzał na mnie i powiedział bardzo powoli: - Piorun bardzo rzadko uderza dwa razy.

Poczułam, że się czerwienię. Wiedziałam, co potem powie, i za bardzo się bałam, by pozwolić mu kontynuować.

Pobiegłam do łazienki. Długo przyglądałam się swojemu odbiciu; nieznajoma w srebrzystej sukni od Prądy.

Kiedy znów usiadłam przy stoliku, nie wrócił do tematu. Zamówiliśmy kolację. Podczas posiłku był miły i swobodny, jak z klientką. Opowiadał cudowne anegdoty ze starego Hollywood i kiedy go słuchałam, odprężyłam się, wmówiłam sobie, że tamtej chwili w ogóle nie było.

Po kolacji limuzyna odwiozła mnie do agencji. Bradshaw wysiadł i odprowadził mnie do drzwi.

- Dziękuję - powiedział. - To był niezapomniany wieczór. Znowu pocałował mnie w rękę.

Tej nocy nie mogłam zasnąć, przypominał mi się wyraz jego twarzy, dotyk jego dłoni. Powtarzałam sobie, że się pomyliłam, że błędnie zinterpretowałam jego słowa, ale wiedziałam, że zrozumiałam je dobrze.

Byłam zaskoczona. Ale i pochlebiało mi to. I wzruszało. Wiedziałam jednak, że wcale na to nie zasługuję. To wszystko fałsz. Nieważne, co John Bradshaw sobie wyobrażał, to nie byłam ja. Nie znał mnie.

To tylko kwestia czasu. Był samotny zbyt wiele lat. Powiedział przecież, że nie jest towarzyski (pierwsze miejsce w dziesiątce najbardziej przerażających ludzi Hollywood, przypominało mi się). Był zbyt dumny, by wyciągnąć do kogoś rękę. I wtedy zjawiłam się ja, i posłałam mu ten idiotyczny fotos i walentynkę - wstrząsnęłam nim, zrobiłam pierwszy krok.

W końcu przestałam próbować zasnąć. Zastanawiałam się, co teraz. Bałam się. Nie wiedziałam, jak daleko chcę się posunąć. Mimo wieku podobał mi się, pociągały mnie jego spokój i siła. A wrażliwość, którą dzisiaj okazał, bardzo mnie wzruszała. Ale z drugiej strony... Nie zapomniałam jego arogancji, jego chłodu, tego, jak na mnie patrzył w sklepie Hugo Bossa, jeszcze zanim „nie mógł przestać o mnie myśleć”. I cały czas wyobrażałam sobie starcze plamy na jego wypielegnowanych dłoniach.

Iść z nim do łóżka... Nie chciałam sobie tego wyobrażać, odepchnęłam od siebie tę myśl. A jednak już po chwili zastanawiałam się, jak by to było.

I Steph, i Lori zadzwoniły następnego ranka, ciekawe, jak było. Nie powiedziałam im wszystkiego. Lori też nie, mimo że wcześniej jej to obiecałam. Nie mogłam się na to zdobyć, to było zbyt dziwne. Powiedziałam tylko, że spędziłam czarujący wieczór.

John zadzwonił następnego dnia. Znowu był chłodny i rzeczowy, a ja znowu pomyślałam, że może źle go zrozumiałam.

Ale wtedy zapytał:

- Kiedy się znowu zobaczymy? Masz już plany na piątek wieczorem? Nie byłam na to przygotowana, ale odparłam:

- Nie, nie mam.

Kiedy w poniedziałek rano weszłam do biura, czekał na mnie Gary.

- Podobno w piątek spotkałaś się z Johnem Bradshawem.

- To żadna tajemnica - odparłam.

Wyjął gazetę - najgorszy brukowiec. Na pierwszej stronie było wielkie zdjęcie Johna Bradshawa i moje, jak wychodzimy z Ivy. Podpis głosił: Jego wnuczka?

- Wstydzilibyś się, Gary - powiedziałam. - Nie wiedziałam, że czytasz takie szmatławce.

Poczerwieniał.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?! - krzyknął. - Dlaczego zwodzisz tego biedaka?

Czułam, jak ogarnia mnie gniew, tak samo jak wtedy, kiedy powiedział, że nie mam czego szukać w Los Angeles.

- Proszę, żebyś nie wtykał nosa w nie swoje sprawy - powiedziałam. - Zwłaszcza w moim biurze.

Cisnął gazetę na biurko.

- W takim razie wynoszę się! I to natychmiast!

- Świetny pomysł! - wrzasnęłam. W południe już go nie było.

Początkowo cieszyłam się, że odzyskałam dodatkowe pomieszczenie, że wraz z Garym zniknęła jego dezaprobata - ale po kilku dniach zaczęłam za riim tęsknić. Przyjaźniliśmy się od wielu lat i żałowałam, że nie rozstaliśmy się w lepszej atmosferze.

Zadzwoiłam do Steph i powiedziałam, co się stało.

- Nie przejmuj się - usłyszałam. - Pamiętaj o niedokończonych sprawach. - Nie byłam pewna, czy to dobre pocieszenie.

Ukryłam gazetę na dnie szuflady i co jakiś czas zerkałam ukradkiem na nasze zdjęcie. Nigdy dotąd nie byłam w gazecie, nawet w takim szmatławcu, i przyznaję, sprawiło mi to radość.

Pokazałam fotografię Lori. Nie skomentowała podpisu.

Powiedziała tylko:

- A nie mówiłam? Dobrze, że kupiłaś tę suknię. To była idealna reakcja - uściskałam ją.

Przez cały tydzień znajomi, klienci, nawet ludzie, których ledwo znałam, dzwoniли i pytali, czy to prawda.

Odpowiadałam, że nie i zastanawiałam się, czy kłamię. John ani słowem nie wspomniał o zdjęciu - może w ogóle go nie widział?

Dzwonił prawie codziennie i często spotykałam go na korytarzu lub na ulicy. Wiedziałam, że robi to celowo, i nigdy nie miałam pojęcia, co powiedzieć. On też niewiele mówił, ale zawsze patrzył na mnie tak intensywnie, że robiło mi się nieswojo. Powtarzałam sobie, że to dlatego, że to coś nowego, i z czasem do tego przywyknę.

Piątek okazał się fatalny; Suzanne Chu znalazła się w grupce finalistów do ogólnokrajowej reklamówki, ale ostatecznie wybrano kogoś innego. Przez cały dzień słyszałam w słuchawce jej płaczliwy głos.

O siódmej nie miałam nastroju na kolację z Johnem. Staralam się robić dobrą minę w drodze do restauracji, ale zauważył, że jestem roztargniona.

- Co cię gnębi? - zapytał, gdy usiedliśmy przy stoliku. Opowiedziałam o Suzanne.

Skinął głową.

- Niestety, w tym mieście takie historie są na porządku dziennym. Nigdy do tego nie przywykniesz. Agenci doświadczają tego codziennie. Czasami mam wrażenie, że jesteśmy jak samica pelikana - prędzej utoczylibyśmy dla klientów własnej krwi, niż pozwolili im umrzeć z głodu.

Wzruszyło mnie to porównanie. Spojrzał na mnie uważnie.

- Naprawdę odpowiada ci ta praca?

Westchnęłam.

- Kilka miesięcy temu marzyłam o pracy w handlu nieruchomościami. Uwielbiam agencję, ale w takie dni żałuję, że nie zostałam w Palm Springs.

Spochnurniał.

- Chciałbym ci jakoś to ułatwić.

- O, nie - obruszyłam się. - Dobrze mi tak. I tak dostałam od losu zbyt dużo.

Kiedy wychodziliśmy z restauracji powiedział, że następnego dnia jego córka przyjeżdża z Ventura.

- Wybierzesz się z nami na lunch?

- Niestety, już się umówiłam. Może kiedy przyjedzie następnym razem.

Z nikim się nie umówiłam. Po prostu nie podobała mi się ta wizja: Amanda Bradshaw jedzie cały dzień, a w restauracji z jej ojcem siedzę ja. Może na dodatek widziała zdjęcie w gazecie.

Odwiózł mnie do biura. Powiedziałam, żeby nie zawracał sobie głowy odprowadzaniem mnie, ale zaparkował i podszedł ze mną do budynku. W holu wziął mnie za ramiona i pochylił się, żeby mnie pocałować. Miał rozpaloną twarz.

Cofnęłam się odruchowo.

- Jeszcze nie - powiedziałam.

W następny czwartek zaprosił mnie do siebie.

Mieszkał w Brentwood, w uroczym starym domu w stylu kolonialnym. Zaskoczył mnie - dom w niczym nie przypominał Johna, nie był elegancki ani chłodny. Salon emanował ciepłem, był nawet trochę nieporządkny, czuło się nim atmosferę południowego zachodu. Wszędzie widziałam ślady obecności jego żony. Nad kanapą wisiał jej portret; podeszłam bliżej. Lorraine Bradshaw miała dobrą, zwyczajną twarz, ani śladu hollywoodzkiej urody i blichtru.

- Chciałabyś obejrzeć dom? - zapytał. Przytaknęłam.

W trakcie zwiedzania zauważył:

- Jesteś bardzo spostrzegawcza. Roześmiałam się.

- Pewnie odzywa się we mnie niedoszła agentka handlu nieruchomościami.

Wyglądał na rozczarowanego.

Poszliśmy na górę i pokazał mi sypialnię córki. Był to typowy pokój nastolatki; na łóżku siedziały pluszowe zabawki, na ścianach wisiały plakaty z gwiazdami sprzed dekady.

- Powiniennem tu przemeblować, ale niczego nie tknąłem, odkąd Amanda wyjechała do college'u. Lubię tu co jakiś czas przychodzić.

Nie pokazał mi swojej sypialni. Nie prosiłam o to.

Kolację podał nam kamerdyner, Stevens, który, jak powiedział John, towarzyszy mu od dwudziestu pięciu lat. Jego niechęć do mnie przejawiała się nawet w tym, jak nakładał na mój talerz warzywa.

Po kolacji wróciliśmy do salonu. John nastawił płytę Nat King Cole'a i przygasił światła. Nalał nam po kieliszku wina, usiedliśmy na kanapie. Objął mnie i przyciągnął do siebie. Skupiałam się na drobiazgach - monogram na rękawie jego koszuli, spinka do mankietu w kształcie gwiazdy, i, jak zwykle, idealnie wypielegnowane paznokcie.

- Pandoro - szepnął ochryple. I znowu się odsunęłam.

- Przepraszam - powiedziałam - czas już na mnie, robi się późno. Jutro rano mam ważne spotkanie z Warner Bros i muszę się jeszcze przygotować.

Wstałam. On także, po chwili. Odprowadził mnie do drzwi. Pocałowałam go w policzek.

- Dziękuję, że mnie zaprosiłeś do tego pięknego domu.

Po tym wieczorze dzwonił codziennie. Czułam coraz większą presję, było mi z tym niedobrze. Zaczęłam szukać wymówek, by się z nim nie spotykać. Wyczuwałam jego obecność w biurze nade mną - zdawała się przenikać przez ściany. Powtarzałam sobie, że jestem dziecinna i niesprawiedliwa, że wkrótce będę musiała podjąć jakąś decyzję.

Na weekend pojechałam do Palm Springs, głównie po to, żeby zyskać na czasie. Byłam przerażona stanem taty - nowe lekarstwa nie działały i bardzo cierpiał. Masowałam mu nogi. Dawniej to pomagało, ale nie teraz. Czułam, że tylko czeka, aż dam mu spokój.

Po kolacji, kiedy zmywałyśmy, mama powiedziała:

- W przyszłym tygodniu Millie wraca do Barstow. Byłam w szoku.

- Dlaczego?

- Chyba ma już dosyć pustyni.

Wiedziałam, jak bardzo odpowiadało mamie jej towarzystwo i jak bardzo pomagała przy tacie.

- Chcesz, żebym wróciła? - zapytałam.

- Nie - odparła natychmiast. - Nie, skądże. - Ale zdawała się nieobecna duchem. A ja pomyślałam, że może jest na mnie odrobinę zła, że jestem tak daleko i zostawiłam wszystko na jej głowie.

Tata nie spał całą noc, wiercił się, jęczał. Leżałam nieruchomo i czekałam na następny odgłos.

Rano wszyscy byliśmy wykończeni. Siedziałam z tatą, kiedy mama drzemała, potem poszłam na spacer. To było bardzo przygnębiające. Chwasty na chodnikach, śmieci na pustej działce naprzeciwko, graffiti na koszach na śmieci. A nasz dom wyglądał najgorzej. Trzeba go odmalować, wypie-lić ogródek, naprawić płot.

Pojechałam do miasta, kupiłam farbę, sekator, siatkę i zabrałam się do roboty.

W nocy tata miał silny atak. Nie mógł oddychać; okropnie było widzieć strach w jego oczach. Mama starała się go uspokoić, masowała mu pierś. Jej dłonie wyglądały tak staro. Jego pierś też. Nie mogłam tego znieść.

Wyszłam z ich pokoju i wróciłam do łóżka. Tej nocy miałam cudowny sen. Rodzice mieszkali w apartamencie nad laguną; wszędzie były wiklinowe meble i terakota. Oboje mieli na sobie ubrania z białego lnu, szycowali się na kolację w klubie. Tata nie miał takich problemów z nogami, chodził o lasce. A mama śmiała się, tak jak to zapamiętałam z dzieciństwa.

Sen był tak przyjemny, że nie miałam ochoty wstawać. Pomyślałam sobie: zrobię wszystko, żeby naprawdę tak było. Wszystko. I wtedy pojawiła się następna myśl, którą starałam się od siebie odepchnąć. Gdybym wyszła za Johna Bradshawa, mogliby tak żyć.

Miał dość pieniędzy, by to zrealizować. Zabrałby ich z Chia Place, kupiłby apartament nad laguną. Nie musieliby się już niczym martwić. Gdybym wyszła za Johna Bradshawa, połączylibyśmy nasze agencje. Moglibyśmy spłacić ciotkę Marilynn. Lori zostałaby współpracowniczką, może Emmett także. Wszyscy zaczęlibyśmy od nowa.

Poszłam do pokoju rodziców. Tata nie był już taki blady, oddychał spokojniej.

- Przepraszam, Andy-Pandy. - Wziął mnie za rękę. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Przysiadłam na łóżku.

- Chciałam wam coś powiedzieć - zaczęłam. - W Los Angeles spotykam się z kimś.

- Z tym Enrikiem Moralesem?

- Nie. Z Johnem Bradshawem. Z tym, który zaprosił mnie na premierę. Ostatnio spędzamy razem dużo czasu. Chyba go polubicie. Jest zabawny i miły. I bardzo opanowany. - Zabrzmiało to mało romantycznie. - Tylko że jest ode mnie dużo starszy.



Czekałam aż zapytają, o ile, ale tego nie zrobili. Tata zaniósł się kaszlem, mama pomogła mu usiąść. Tak jakby oboje byli zbyt zmęczeni, pokonani przez życie i nie mieli już siły na żadne emocje.

- Zawsze myślałam, że wyjdiesz za Gary'ego. - Tylko tyle powiedziała mama.

- Tego nigdy nie było w planach - mruknęłam. Wieczorem wyjechałam. Nie wytrzymałabym tam dłużej.

W poniedziałek rano wcześniej przyszedłam do pracy i od razu poszłam na górę, do Johna. Byłam tam po raz pierwszy; w pokojach stały antyczne meble, ściany miały ciemne głębokie kolory.

Emmett siedział naprzeciwko wejścia.

- Cześć, Piękna, co słyhać? Staralam się mówić nonszalancko.

- Chciałabym się na chwilę zobaczyć z panem Bradshawem. Emmett uniósł brew i nacisnął guzik interkomu.

- Pani Brown do pana. Głos Johna Bradshawa:

- Niech wejdzie.

Minęłam hol i weszłam do jego gabinetu. Podobnie jak recepcja, był duży, ciemny i elegancki. John siedział w skórzanym fotelu za mahoniowym biurkiem.

- Pandoro - powiedział z uśmiechem.

Przeszłam przez pokój, podeszłam do niego. Położyłam mu dłonie na ramionach, pochyliłam się i pocałowałam go. Zadrżały. Odwzajemnił pocałunek. Miałam wrażenie, jakby maszyna powracała do życia po długiej, bardzo długiej przerwie.

## **Lori**

Prada w szafie. Co kilka minut jej dotykam. Cienka, srebrna i agresywna jak nóż. W tej sukni będę, kim zechcę. Będę sławna i bogata. Będę kimś, kogo inni pokazują palcami i mu zazdroszczą. Zmusiłam Puskę, żeby ją kupiła i żeby mi ją dała. Kiedy zwiąże się z Bradshawem, będzie kupowała to co najlepsze: Kenzo, Armani, Stella McCartney. A mnie wyjdzie to na dobre, bo beze mnie nie zrobi ani kroku.

„Och, Lori, we wtorek idziemy na kolację do Spago; pomóż mi znaleźć małą czarną. Och, Lori, na weekend lecimy do Meksyku: co się nosi na jachcie?”

Wybiorę wszystko, co będę chciała. A potem mi to da. Nie przeszkadza mi, że będą używane.

Nie dziel skóry na niedźwiedziu, to się jeszcze nie stało.

Trudno powiedzieć, co się w ogóle stało. Coś się święci, widzę to w jej twarzy. Bradshaw w kółko wydzwania.

Widzę, że świeci się lampka jej prywatnej linii. Ale nic mi nie mówi. Cholerna księżniczka, nie rozmawia o takich sprawach. Słyszę tylko:

- Wszystko w porządku. -1 ten jej słodki głosik!

Zabiera ją do kina. Chodzą na kolacje. Opowiada mi o restauracjach. Nie mogę zapytać: „Pozwoliłaś mu już dobrać się do majtek?”

Może to dobrze, że jeszcze nic się nie dzieje. Pewnie jest fatalnym kochankiem. A może nie? Podobno starsi faceci bywają nieźli.

Problem w tym, że Puszka to ten typ, że jak już kogoś pieprzy, to się zakocha. Im szybciej, tym lepiej. Na rany boskie, czego jeszcze chce? To idealny związek - stary i bogaty z młodą i głupią. On jest napalony, zupełnie oszalał. Wiedziałam, że go mamy, kiedy wsunęłyśmy zdjęcie pod drzwi.

Teraz chyba już wszystko pójdzie gładko, zwłaszcza że ten dupek Gary się wyprowadził. To taki mały dar od losu - nie musiałam nic robić, sam się załatwił, pokłócił się z Puską.

Bardzo mi się podobają te niby niewinne uwagi, które ostatnio w kółko robi:

- Co byś powiedziała, gdybyśmy któregoś dnia połączyli nasze agencje? John Bradshaw i ja? Nie uważasz, że byłoby super? - Pewnie, bardzo super. Niech dalej tak myśli. Kiedy zaproponuje mi współudział, będę bardzo zdziwiona.

Znowu przymierzam suknię od Prądy. Mrużę oczy, zerkam w lustro, widzę tylko srebrzystą mgiełkę. Nie wyglądam jak człowiek, pochodzę z innej planety.

Dzwonię do Troya. O dziwo, jest w domu. Odbiera. Mówię, że chciałabym dzisiaj gdzieś pójść, do jakiejś drogiej knajpy, mam dla niego niespodziankę. Zgadza się, miał dobry tydzień. Zabierze mnie do Yamashiro.

Długo się szykuję. Nagle się boję, że za długo patrzyłam w lustro, że to tylko magiczna sztuczka, że zaraz wszystko zniknie: suknia, buty, makijaż. Chciałabym umrzeć w chwili, gdy tak wyglądam.

Troy idzie po schodach. Otwieram mu drzwi, uśmiecham się, w jego oczach pojawia się błysk, ale nie patrzy na mnie. Jego wzrok jest jak jakiś cholerny owad, lata po całym pokoju, szuka czegoś.

- Co to za niespodzianka?

Najchętniej uderzyłabym go, wytargała za włosy.

- Suknia, idioto. Ja w sukni od cholernego Prądy. Pił, powinnam była od razu się zorientować.

Jestem przygnębiona. Na początku zauważał wszystko, co na siebie włożyłam. Kiedy mijaliśmy wystawy, mówił: „W tym byłoby ci do twarzy. Kiedyś ci to kupię”.

Odwracam się, podchodzę do okna. Idzie za mną.

- Przepraszam - mówi. - To piękna suknia. Dupek ze mnie, sam nie wiem, czego się spodziewałem.

Jego oddech na moim karku, gorący i kwaśny na misternej fryzurze. Nie przeszkadza mi to.

- Jestem po prostu w kiepskim humorze, i tyle.

- Mówiłeś, że miałeś dobry tydzień. - Jędza ze mnie. Zamieniam się w matkę, chcę go przycisnąć.

- Kiedy słyszę twój głos w słuchawce, od razu wydaje mi się, że miałem dobry tydzień.

Odwracam się, pozwalam się pocałować. Teraz docenia suknię; ogląda paciorki, muska palcami szew.

Jedziemy do Yamashiro. Jest mglisto. Mgła nie ustępuje przed światłem reflektorów. Cały czas sobie wyobrażam, że coś się tam kryje, zaraz wyskoczy zza drzew i nas zaatakuje.

Skręcamy do La Brea. Zawsze błądzimy w drodze do Yamashiro. Zazwyczaj lądujemy w bocznej uliczce, parkujemy na poboczu i kochamy się, zanim znowu spróbujemy znaleźć lokal. Nawet w tej sukni nie miałabym nic przeciwko temu, ale dzisiaj skręcamy we właściwą drogę. Przed nami restauracja.

Mamy szczęście; mnóstwo odwołanych rezerwacji z powodu mgły. Dostajemy najlepszy stolik, przy samym oknie.

Pod nami światła Los Angeles migoczą jak oszalałe, ale nie zwracamy na nie uwagi. Zamawiamy: sake, tempurę, sushi. Jestem zachwycona. Jedzenie wygląda jak origami; perfekcja na małych talerzykach.

Troy wynagradza mi wcześniejsze zachowanie, trzyma mnie za rękę. Nagle mgła znika. Los Angeles lśni jak mały wszechświat. To dobry znak. Na pewno.

Opowiadam Troyowi, co zrobię, kiedy już zostanę współniczką, kiedy Puszka i John Bradshaw połączą agencje.

Kręci głową, uważa, że to zabawne.

- Zdziwiasz mnie. Nigdy nie masz dość. Wiesz co? Masz obsesję na punkcie władzy.

Nie rozumie. Nigdy nie zrozumie. Jest leniwy, rozpuszczony, czeka, co przyniesie los, aż ktoś poda mu ręką. A ja zawsze radziłam sobie bez czyjejkolwiek pieprzonej pomocy. Urabiałam sobie ręce po łokcie. Pieprzyłam się z Gene'em. Podlizuję się Puszczce. Teraz jestem prawie u celu, wkrótce dostanę to, na co zasłużyłam, a on mi mówi, że mam obsesję na punkcie władzy. Dupek.

Poszłam do Paper Place, kupiłam zestaw origami. Wielkie złote kwiaty, lśniące zielone liście, drobne nasiona. Przypomina mi się babcia. Miałam wtedy dwanaście lat, to było tuż po śmierci ojca. Byłam u niej w domu, sadziłyśmy słoneczniki.

„Lori, ludzie nie odchodzą, kiedy umierają. Sajak te słoneczniki. Tu, na górze, tam gdzie widać, są daleko od siebie, ale pod ziemią ich korzenie się dotykają”.

Wskazuje dwa słoneczniki. „To ty, a to twój ojciec”.

Nie chcę, żeby mnie dotykał, nawet jako pieprzony słonecznik.

„A ty, babciu? Gdzie jesteś?”

Wskazuje kwiatek trochę bardziej z boku. Idzie do domu po mrożoną herbatę. Wykopuję jej kwiat i wsadzam obok swojego, a ojca wyrywam i ciskam na kompost. Babcia wraca, widzi, co zrobiłam. Jest w szoku, nie wie, co powiedzieć.

Tęsknię za babcią. Dawno u niej nie byłam. Dzwonię.

- Babciu, tu Lori.

- Kto mówi?

- Lori, babciu. Lori.

- Ann? To ty, Ann? Kto mówi? Odkładam słuchawkę.

Cholernie mnie deprymuje, że babcia mnie nie poznała. W Nuart grają *Pokój z widokiem*. Idę. Nie proszę Troya, żeby poszedł ze mną. Po co? Nie wysiedzi, jeśli nie ma szybkiej akcji. *Uwielbiam Pokój z widokiem*. Wszystko w tym filmie jest piękne: stroje i biżuteria, Florencja, pojazdy. Widziałam go już co najmniej dziesięć razy.

Gdy wychodzę po seansie na Santa Monica Boulevard, pełen śmieci i narkomanów, zawsze łapię dołek.

Puszka pyta, co robiłam wczoraj wieczorem. Odpowiadam, że poszłam do kina na *Pokój z widokiem*. Zaczyna piszczeć:

- Och, Lori, to mój ukochany film. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Następnym razem daj znać, że wybierasz się do kina, pójdziemy razem.

Nigdy nie ma dość, we wszystko musi się wtrącać. Telefon do pracy. Matka.

- Kręci mi się w głowie. Mam wylew. Musisz zaraz przyjechać. Bzdura. Zastanawiałam się, co wymyśli teraz, kiedy zdjęli jej gips. Puszka jęczy ze współczuciem:

- Och, biedactwo, musisz jechać, i to zaraz, i, o proszę, kup jej kwiaty. Wyjmuje dwudziestkę z portfela. Uśmiecham się pokornie, dziękuję, biorę forszę. Nie pójdzie na kwiaty.

Jadę do matki. Zawroty głowy minęły, oczywiście. Zrobiłam jej zakupy, rozpakowałam. To za mało, jak zawsze.

- Dlaczego mnie nie odwiedzasz? Jesteś wiecznie zajęta. Jestem ostatnia na twojej liście. Wcale ci na mnie nie zależy.

Gdybym powiedziała: masz rację, nie zależy mi, co zrobi? Zemdleje, zwariuje, umrze mi tu, na linoleum? A może znajdzie sobie inną ofiarę?

W końcu uciekam. Jest ciemno. Mgła wróciła. Parkuje przed blokiem, idę do drzwi. Czuję w powietrzu coś dziwnego. Zatrzymuję się. Ktoś tu jest, czuję to, obserwuje mnie.

Podchodzę do drzwi, wydaję klucz. Słyszę szelest. Za późno, złapał mnie. Ma maskę na twarzy. Nie mogę oddychać, jego dłoń na moich ustach. Kopię\* podnosi mnie. Ciągnie mnie w bok, za róg budynku. Długo nie znajduję mojego ciała, myślę mętnie.

- Gdzie jest Troy, do cholery? Ma nóż, czuję to.

Mówię:

- Odszedł. Kłamliwy sukinsyn wyjechał z miasta. Jestem przekonująca, wierzy mi. Puszczą mnie. Wbiegam do budynku, do mieszkania.

Lecę na podłogę, ledwie otwieram drzwi. Leżę. Nie mogę oddychać, nie mogę wstać. Podpełzam do okna i wyglądam zza firanki. Jest czarnym cieniem, snuje się po podjeździe, w końcu odchodzi.

Wymiotuję. Nie mogę przestać. Co ten Troy znowu zrobił, do cholery? Muszę do niego zadzwonić, ostrzec go, ale jeśli są w to wplątani federalni, telefon jest na podsłuchu.

Muszę iść do automatu. Wychodzę, idę powoli, swobodnie. Sprawdzam co chwila, czy nikt mnie nie śledzi.

Dzwonię z myjni samochodowej przy Santa Monica. Niech go piekło pochłonie. Nie ma go. Włącza się sekretarka.

Ma nowe powitanie - w tle słychać coś jakby kobiecy chichot.

Odkładam słuchawkę, wracam do domu. Jeśli naprawdę była tam kobieta, niech go zamkną na resztę życia.

Na ulicy jest ciemno. Boję się. Hałasy w krzakach. Facet chyba wrócił. Nie, to tylko jęki, narkoman. W kółko tu przychodzą.

To nie narkoman, to Troy.

Pocięli mu twarz, podbili oczy, ma strzaskany nos, cały jest zakrwawiony. Dotykam jego ręki. Krzyczy.

Usiłuję zaprowadzić go do mieszkania. Nic z tego. Nie może się ruszać. Biegnę na górę, znoszę ręczniki, staram się go trochę umyć. Bez efektu. Wsadzam go do samochodu, jedziemy na pogotowie.

Trafiamy do szpitala Cedars-Sinai. Dziewczyna w recepcji wzdyga się na jego widok. Idiotka, nie powinna. Pyta, co się stało. Mówię, że to wypadek. Nie wierzy mi, ale nic nie może zrobić. Przeglądam portfel Troya, daję jej fałszywy dowód osobisty.

Kładą go do łóżka i zostawiają. W końcu przychodzi lekarz: pieprzony doktorek, robi mu prześwietlenie, mówi, że ręka jest złamana w trzech miejscach, że musi ją nastawić.

- Ale bardziej martwią mnie oczy. Czy widzi pan migające plamy?

- Nic nie widzę, do cholery. Nie mogę ich otworzyć. Doktor gada dalej, wymienia, co się może stać:

- Może dojść do odklejenia siatkówki, może potrzebna będzie operacja plastyczna, niewykluczone, że nastąpi całkowita utrata wzroku. - Ple, ple, -ple.

Nie mogę tego wytrzymać, nie chcę tego słuchać. Lekarz w końcu odchodzi. Zostajemy sami. Nic nie mogę zrobić. Nie mam kogo zawiadomić, mogę tylko czekać.

Przynoszą na noszach małą dziewczynkę, z wypadku. Nie rusza się. Jest jej matka. Ma mnóstwo pluszowych zwierzków, bawi się nimi przy łóżku małej.

- Zobacz, Amy, to twój miś, przyszedł cię odwiedzić. Otwórz oczka i przywitaj się z miśkiem.

Mała umiera koło północy. Matka pakuje zabawki.

Lekarz wraca. Nastawia Troyowi rękę. I Troy, i ja wiemy, że jeśli źle ją nastawi, to koniec. Troy nie będzie mógł pracować.

Mówią, że powinien zostać w szpitalu na obserwacji. Nie, mówię, dzięki. Nienawidzę tego miejsca, chcę go stąd zabrać.

Zabieram go do siebie. Tłumaczę, że na razie musi zatrzymać się u mnie, u niego jest zbyt niebezpiecznie. Zanim docieramy na górę, mija pół godziny.

W sobotę rano śpi. Wstaję wcześniej, biegnę po zakupy. Same miękkie rzeczy: owsianka, mus jabłkowy. Padam z nóg. Spałam na kanapie, bałam się, że urażę go w rękę.

Podaję mu śniadanie na tacy. Siadam i patrzę, jak je. Kiedy kończy, pytam:

- Kto to zrobił?

Przez całą noc bałam się zadać to pytanie. Ktoś, kogo zna, mówi.

- Nie podpasował mu towar, który mu sprzedalem.

I tak nie jest najgorzej, to nie federalni i nie gang, tylko jeden facet. Zaczynam wrzeszczeć, krzyczę, że zasłużył na wszystko, co go spotkało. Tyle razy obiecywał, że przestanie handlować, a teraz to.

- Będzie coraz gorzej. Następnym razem to będzie dwóch gości... Albo wrócę do domu i zastanę cię przybitego za kolana do drzwi.

Płacze.

- Już koniec, przysięgam. Dostałem nauczkę. Już nigdy więcej tego nie zrobię.

Mieszka u mnie od tygodnia. Podoba mi się to. Szykuję mu posiłki, pomagam się ubrać. Zabawne: taki wielki silny kaskader całkowicie zdany na moją łaskę. Jak dziecko.

Nadal wygląda okropnie. Ma strasznie pokiereszowaną twarz. Miał załatwioną pracę, ale nie mógł się stawić.

Zadzwoił, powiedział, że wypadł mu pilny wyjazd - nikt nie chce słyszeć o chorobie.

Spędzam z nim jak najwięcej czasu. Mówię Puszcze, że matka znowu upadła, że potrzebuje mnie w domu. Puszcza znowu bawi się w dobrą panią: „Nie przejmuj się, Lori, pewnie, że powinnaś teraz z nią być. Wpadnij, kiedy możesz, na kilka godzin, a i tak zapłacę ci za cały dzień”.

Troy wpada w depresję; nigdy go nie widziałam w tak fatalnym humorze. Ogląda opery mydlane, czyta brukowce, bo nie może robić nic więcej. Zazwyczaj szybko wraca do zdrowia, ale nie tym razem. Czasami odzywa się ręką.

Boli tak bardzo, że wali głową w ścianę. <sup>r</sup>

Nie mogę na niego patrzeć. Gada bzdury, mówi, że jest skończony. Już teraz trudniej mu pracować, dłużej dochodzi do siebie. Za kilka lat będzie po nim. Mówi, że powinnam być rozsądna i uciekać.

Mam dla niego wiadomość: nigdy tego nie zrobię.

Kiedy czuje się lepiej, jest w porządku. Oglądamy telewizję, gramy w karty, jak stare małżeństwo. Do kolacji siadamy w szlafrokach. Lubi zapiekanki; przynoszę mu je z Marie Callender's. Martwi się swoją wagą; nie może ćwiczyć i boi się, że utyje.

Najważniejsze, powtarzam mu, to że nic mu nie grozi. Tutaj nikt go nie znajdzie. Facet się więcej nie pokazał. Chyba już nie wróci. Troy mówi, że

uciekał, myślał, że go zabił. A ta dziewczyna na nagraniu to nic ważnego. Jest mój.

Mówi, że wcale mnie nie okłamał, że naprawdę przestał handlować, ale trafiła się ta jedna okazja i chciał jeszcze zarobić.

- Dla ciebie, żebym mógł ci coś kupić. Mówię:

- Bzdura, niczego nie potrzebuję. Nie aż tak bardzo. Chodziło o ciebie. Przegląda katalogi. Widzę, jaki ma wtedy wzrok, głodny i gorączkowy; chce mieć wszystko.

Poszłam do sklepu, do restauracji, kupiłam wędlinę, bułeczki, jajecznicę. Troy nie chciał jeść. Mówi, że ma dosyć jedzenia na wynos, czuje się jak więzień. Przypomniałam mu, że czuje się jak więzień tylko dlatego, że był na tyle głupi, że dał zrobić sobie z twarzy hamburgera.

Mówię:

- Wynoś się, wracaj do siebie, jeśli naprawdę tego chcesz.

- Spokojnie, spokojnie - mruczy i je jajecznicę.

Wracam z zakupami. Ogląda jakieś starocie. Serial. Mówię, że nie mieści mi się w głowie, że marnuje czas na takie bzdury. Odpowiada:

- Lubię Yvonne de Carlo. Kobitka z klasą.

- Pierwsze słyszę.

- Wyszła za kaskadera. Miał wypadek, nie mógł pracować. Właśnie dlatego grała w tym kretyńskim serialu - żeby móc się nim zająć. Ty byś dla mnie tego nie zrobiła.

Mówię:

- Oczywiście, że tak. Wiesz dobrze, że tak.

Ale później zastanawiam się: naprawdę? Jest tylko jedna rzecz, którą mogłabym dla niego zrobić, na której mu zależy, i akurat tego nie robię.

Przedstawić go Puszcze. Potrwa ze dwie minuty, nic wielkiego. Gdyby znalazł się pod opieką agencji, byłoby mu o wiele łatwiej. Dostawałby więcej zleceń, więcej pieniędzy. Ale tego nie robię.

Fatalna noc. Nigdy nie widziałam go w takiej rozpaczy.

- To wszystko do niczego. Mam tego dosyć. Rzucam to. Wyjeżdżam do Wyoming, poszukam pracy na ranchu.

Dosyć tego. Nie wytrzymam dłużej. Muszę to zrobić, przedstawić go Puszcze. Nie stanie się nic złego, później sama będę się z siebie śmiała, że tak to odwlekałam.



Każę mu przyjść do biura. Powiem, że to stary znajomy, kaskader, który nie ma agenta.

Mówię mu. Widzę, że się cieszy. Pyta dwukrotnie:

- Kiedy? Odpowiadam:

- Kiedy twoją twarz będzie można pokazać ludziom.

Jest w lepszej formie. Jutro wraca do siebie. Dziwnie będzie, przyzwyczaiłam się, że ze mną mieszka. Lunch w II Sole z Puską. Klepie mnie po ramieniu.

- Tak się cieszę, że wróciłaś. Brakowało mi ciebie.

Idziemy Sunset i wpadamy na Connie Ehrhart. Nie widziałam jej od prawie trzech lat. Wygląda dobrze, mówi, że układa jej się świetnie, ma mnóstwo pracy, bla, bla, bla.

Później Puszka pyta:

- Kto to?

Odpowiadam, że aktorka. Kiedyś była w naszej agencji. W Puszcze budzi się zawodowiec:

- Dlaczego już nie jest? Co się stało?

Mówię, że to przez jej styl życia - pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

- Gene ją zwolnił. Nie podobał mu się jej styl życia.

Puszka jest zdziwiona, nie sądziła, że z kochanego wujka Gene'a taki świętoszek. Tak naprawdę, Gene posuwał Connie przede mną, i kiedy się zjawiłam, po prostu ją wyrzucił.

Telefon po południu - proszę, proszę, to Connie. Słodka jak miód, zaprasza mnie i Puskę na przyjęcie, w przyszły piątek. Domyślam się, o co chodzi. Wcisnęła nam dzisiaj stek bzdur. Mnóstwo pracy, akurat! Szuka agenta.

Mnie właściwie nie zależy. Gene'a już nie ma, dlaczego nie? Znajdziemy jej coś. Ma talent. A to przyjęcie... dobrze się składa. Tym sposobem Troy pozna Puskę.

Mówię jej o przyjęciu.

- To nic wielkiego, ale Connie chciałaby, żebyś przyszła.

Puszka paple, oczywiście, że przyjdzie, przykro jej, że zwolniliśmy Connie, chciałaby ją odzyskać. Pytam, czy przyjdzie z Johnem Bradshawem. Marszczy brwi:

- Nie, raczej nie. Nie pasowałby tam. - Rzeczywiście, jest o co najmniej trzydzieści lat za stary. Nie naciskam, ale czułabym się pewniej, gdyby też jechał.

Omawiam plan z Troyem. Wpadnie do Connie o ósmej, spodnie Diesel, marynarka Burberry. Podejdzie do mnie i zagai:

- Cześć, jak się masz, dawno się nie widzieliśmy. Odpowiem:

- Co ci się stało w rękę?

- Złamałem ją na planie.

Przy odrobinie szczęścia Puszka włączy się w tej chwili:

- Na planie? Jest pan aktorem? A może kaskaderem?

Wtedy Troy opowie, gdzie pracował, że jest zawodowym kaskaderem, że szuka agenta. Wszystko będzie dobrze.

Niepotrzebnie się martwię.

Telefon od matki. Muszę zaraz jechać do Kester, babcia umiera. To pewnie kłamstwo, ale i tak jadę. Docieram na miejsce, biegnę na górę, do pokoju babci. Teatralna scena, krewni dokoła. Złot sępów.

Babcia na łóżku. Trzymam się od niej z daleka. Nie chcę patrzeć, jak ktoś umiera. Usiłuję wyjść. Matka mnie nie puszca, trzyma mnie za ramię. Wyrywam się, ale trzyma mocno.

Babcia już wygląda jak duch. Staram się przywołać miłe wspomnienia: sadzenie słoneczników, słodki sok, siedzenie na kolanach. Wszystko wydaje się nierzeczywiste. Zawsze była duchem. Na kolanach trzymał mnie duch.

Pielęgniarka na mnie kiwa.

- Pani jest Lori?

Babcia o mnie pyta; muszę podejść do łóżka. Czuję za sobą matkę. Jest wściekła, nie pyta o nią. Z bliska nie jest tak źle, babcia się do mnie uśmiecha. Mówi:

- Moja dziewczynka - swoim dawnym głosem. Głaszcze moją dłoń. Jej ręka jest prawdziwa, ta sama, która nalewała mi sok.

Matka szlocha, głośno i dramatycznie. Pielęgniarka mówi, że już niedługo, ale ciągnie się bez końca. Czekamy i czekamy. Co chwila zerkam na zegarek - o ósmej mam randkę z Troyem - kiedy to się skończy?

Siódma. Muszę do niego zadzwonić. Wychodzę z pokoju, idę na dół, dzwonię z komórki.

Matka biegnie za mną.

- Już po wszystkim - odeszła.

Jest zadowolona. Ona tam była, a ja przegapiłam najważniejszy moment.

Wracam na górę. Babcia wygląda, jakby spała. Widziałam ją w takiej pozycji setki razy, w niedzielne poranki, kiedy zakradałam się do jej pokoju, żeby zobaczyć, czy jeszcze śpi. I spała, tak jak teraz.

Matka, jaka z niej hipokrytka, mówi:

- Wreszcie ma spokój.

Zawsze wierzyłam, że tuż przed śmiercią widzisz, co się dzieje w sercach innych ludzi, wiesz, co naprawdę myślą. Zastanawiam się, czy babcia nadal uważa, że jestem dobrą dziewczynką.

Odwołałam randkę z Troyem. Nie miałam na nic ochoty. Nie chcę się zestarzeć. Nie chcę umrzeć.

- Jutro przyjęcie u Connie.

- Och, Lori, najchętniej pojechałabym tam z tobą - zaczyna Puszka. - Byłoby fajnie, co?

Uśmiecham się szeroko.

- Pewnie, pomysł super.

Miałam plany co do Troya, po przyjęciu. Teraz muszę wszystko odkręcić. Cholera.

Przyjeżdża po mnie o szóstej, grzecznie ubrana, buciki pasują do torebki. Impreza jest w Silver Lake, na końcu świata. Ale ma to swoje dobre strony, podpytam ją w czasie jazdy.

- Jak ci się układa z Johnem Bradshawem? Ostatnio niewiele mówiłaś na ten temat.

Nie uśmiecha się. Zły znak.

- Dobrze. - Ostrożny głosik. - W przyszłym tygodniu idziemy do opery. Jeszcze nigdy nie byłam w operze.

Gównu mnie obchodzi pieprzona opera.

- Wspaniale. Ale co z... No wiesz? Jak tam między wami? Czy już... Marszczy brwi. Posunęłam się za daleko. Powie, że to nie moja sprawa.

Nie, wzdycha i mówi:

- Nie. Cóż, to znaczy tak, do pewnego stopnia, ale nie tak, jak myślisz. - Jeszcze się nie pieprzą. Cholera. - Och, Lori, gubię się w tym wszystkim. Bardzo lubię Johna i czuję się zaszczycona, że się mną zainteresował. Ale potem myślę sobie: w co ja się pakuję? Za dziesięć lat, kiedy będzie, ... Dużo starszy? Co wtedy?

Mówię, że to bzdura. Walę z grubej rury:

- John Bradshaw to legenda. Przebywanie w jego towarzystwie to zaszczyt. W takiej sytuacji wiek nie gra roli.

- Wiem, wiem. - Nie wygląda na zachwyconą. Dodaje:

- Do tego jeszcze praktyczna strona całej sprawy. Marszczy czoło. Niepotrzebnie to powiedziałam, uraziłam ją. Nie, wcale nie.

- Wiem, i nie ukrywam, że to też ważne. Mam na myśli rodziców, wszystko, co mógłby dla nich zrobić. I jeszcze agencja...

Szeroko otwarte oczy.

- Uważasz, że jestem cyniczna?

- Skądże. Konkretna.

- Chyba tak.

Ale nie podoba mi się zwątpienie w jej głosie.

Dojeżdżamy do Silver Lake. Boże, to koszmar, ulice pełne małych ohydnych domków. Przed domkiem Connie - balony przywiązane do skrzynki pocztowej. Urocze. Rzygać się chce.

Wchodzimy do środka. Domek jest mały i ciasny, deprymujący jak cholera. Równie dobrze mogłaby sobie powiesić na szyi napis: DAŁAM SOBIE SPOKÓJ, NIE STAĆ MNIE NA COŚ LEPSZEGO. Gdyby nie było mnie stać na porządny dom, wolałabym zamieszkać na ulicy, jak bezdomna.

Wchodzimy do środka. Wszędzie pełno aktorów. Pojawia się Connie, przedstawia nas. Nie mówi, że pracujemy w agencji, ale i tak wszyscy wiedzą. Są zbyt przyjacielscy, za mocno ściskają nam dłonie, pytają, jak nam się jechało. Kręcą się koło Puszki, ciągną ją do baru. Liczą, że jak ją upiją, podpisze z nimi kontrakt? Słyszę, jak się śmieje, dobrze się bawi, nie ma pojęcia, czemu są tacy mili.

Towarzyskie gry i zabawy. Mamy zgadnąć, ile jednocentówek jest w słoiku.

- Jako aktorzy w życiu nie zobaczycie tyle pieniędzy! - Powinniśmy się roześmiać.

Ósma. Gdzie, do cholery, jest Troy?

Idę nad basen za domem. Na powierzchni gruba warstwa suchych liści. Siadam, dotykam tłustego kożucha, patrzę, jak powstaje oleista tęcza. Basen jest upiorny, jakby kryło się nim coś martwego. Myślę o babci.

Co teraz? Mogę tylko siedzieć i czekać.

Troy przyszedł, czuję to. Patrzę przez szklane drzwi. Jest, stoi w holu. Szybko wstaję, wchodzę do domu, wracam do Puszki.

- Lori, gdzie się podziewałaś? Wszędzie cię szukałam.

Jeszcze go nie zauważyła. Mam jeszcze kilka sekund, by na niego popatrzeć, by wszystko było jak dawniej.

I wtedy się odwraca, i go widzi. Patrzę na nią. Na niego. To już koniec.

Gapią się na siebie. Nie ruszają się. Mogłabym wrzeszczeć, krzyczeć, że się palę, i nawet by mnie nie usłyszeli.

## **Pandora**

To była jedna z tych chwil. Pamiętasz je przez całe życie, nieważne, co się później dzieje. Nic nie zniszczy ich doskonałości.

- Cześć. Jestem Troy - powiedział.

To był piorun, o którym mówił John Bradshaw. Patrzyłam na niego i czułam, jak drży mi serce.

- Cześć, Troy - powiedziałam. - Pandora Brown.

Kiedy wracałyśmy, kręciło mi się w głowie. Umierałam z ciekawości. Chciałam wyciągnąć z Lori wszystko, co o nim wie, ale uznałam, że nie mogę. W drodze na przyjęcie przez cały czas rozmawiałyśmy o Johnie Bradshawie - nieprzyzwoicie byłoby rozmawiać o innym w drodze powrotnej. Poza tym zorientowałam się, że Lori nie ma ochoty na rozmowę. Milczała. Ciekawe, czy coś ją zdenerwowało tego wieczoru.

Dni mijały, a Troy się nie odzywał. Staralam się nie tracić głowy. Powtarzałam sobie, że łatwo jest być czarującym przez godzinę na przyjęciu, i że to absolutnie nic nie znaczy. I że Lori zna go od lat. Gdyby naprawdę był taki wspaniały, sama by się do niego zabrała. Nie, Troy to tylko kusząca wizja, marzenie nastolatki. Zaraz o nim zapomnę.

Lecz przez cały tydzień miałam go przed oczami. Siedziałam na spotkaniu i nagle się pojawił, jak hologram. Klient podawał mi rękę, a ja widziałam dłoń Troya, silną i opaloną.

Ostatnie, co powiedział na przyjęciu, to że wpadnie do agencji i przyniesie swoje fotosy. Co rano budziłam się z nadzieją, że to już dzisiaj. Nie mieściło mi się w głowie, że postępuję tak głupio. Myślałam, że już dawno wyrosłam z pensjonarskiego zadurzenia.

Lori przyszła dopiero w piątek. Co rano dzwoniła, że źle się czuje. Intrygowało mnie, co się dzieje. Miała dziwny głos, ale nie chory. Nie przeszkadzał mi jednak nawał pracy. Dzięki temu nie myślałam o Troyu.

We wtorek rano John Bradshaw wpadł do biura, zapytał, czy pójdę z nim na lunch. Złapałam się na myśli, że może akurat wtedy Troy przyjdzie z fotosami, i zaraz odepchnęłam ją do siebie.

- Bardzo chętnie - odparłam.

Poszliśmy niedaleko, do Cravings, i od razu dostaliśmy najlepszy stolik, przy oknie, którego z Lori nigdy nie udało nam się zdobyć.

- Mam dobre wieści - powiedział. - Przyjąłem nową klientkę, bardzo utalentowaną młodą kobietę. Moim zdaniem będzie z niej nowa Julie Christie.

Jeszcze chwilę rozmawialiśmy o klientce, potem rozmowa zaczęła kuleć. John wziął mnie za rękę i głaskał ją pod stołem. A ja przyłapałam się na tym, że cały czas wyglądam przez okno i patrzę na każdego ciemnowłosego mężczyznę.

- Jesteś jakaś roztargniona - powiedział w końcu. - Coś nie tak?

- Nie, nie - zapewniłam.

Naszą restaurację mijał kolejny brunet. Wyszliśmy, wracaliśmy do biura.

- Moja córka żałowała, że cię nie poznała.

- Przykro mi. Następnym razem na pewno pójdziemy na kolację, obiecuję. Doszliśmy do naszego budynku.

Zatrzymaliśmy się w holu.

- Zjesz ze mną kolację w sobotę?

- Nie wiem, czy już się nie umówiłam, muszę to sprawdzić. Zesztywniał, spochmurniał lekko.

- Pandoro, wiesz, że do niczego cię nie zmuszam.

- Wiem - zapewniłam szybko. Z jego twarzy zniknął cię.

- Więc daj mi znać, co z sobotą. - Uśmiechnął się, uściśnął mi dłoń. -I może całusa na pożegnanie.

Pocałowałam go. Za długo to trwało. W końcu mnie puścił. Pożegnaliśmy się i poszliśmy do siebie. Zaniepokoiło mnie, że te pocałunki chyba wiele dla niego znaczą.

Troy nie przyszedł. Następnego dnia też nie. W środę wieczorem zadzwoniłam do Johna.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że jestem wolna w sobotę wieczorem.

- Zmieniłaś plany?

- Tak, poszło gładko.

Nawet jeśli podejrzewał, że żadnych planów nie było, nie dał tego po sobie poznać.

- W takim razie do zobaczenia.

- Zdaję sobie sprawę, że teraz to już tylko kwestia czasu - powiedziałam Steph przez telefon tego wieczoru. -

Spotykamy się coraz częściej, całuje mnie coraz dłużej. Póki co jest cierpliwy, ale to nie będzie trwało wiecznie.

- A tego chcesz?

- Nie, skądże - zachnęłam się. - Nie to miałam na myśli. Już się na to cieszę, naprawdę. Tylko że kiedy w końcu to zrobimy, sama nie wiem, co się stanie. Wyobrażam sobie, że za pół roku się pobierzemy.

- No, a nie do tego dążysz?

- Sama już nie wiem, do czego dążę - wyznałam. - To znaczy, jest uroczy, bardzo mi odpowiada jego towarzystwo i zdaję sobie sprawę, jaka to dla mnie szansa. Ale nie wiem dlaczego, jestem coraz mniej przekonana.

Steph traciła cierpliwość.

- Proszę, tylko nie mów, że to ma coś wspólnego tym gościem, którego poznałaś na przyjęciu.

- Żartujesz chyba - burknęłam zirytowana.

Następnego dnia nieoczekiwanie odwiedziła mnie ciotka Marilyn. Zaproponowałam, żeby usiadła i napiła się kawy, ale pokręciła głową.

- Przyszłam po Oscara Gene'a. Oddaj mi go i już mnie tu nie ma.

- Oscara Gene'a?

- Tego, którego dał mu Sennett - wyjaśniła niecierpliwie. - Jest mój, nie twój.

- Nie mam go. Nie ma go tutaj.

- Musi być.

- Poszukaj - poradziłam. - Nie widziałam go, odkąd tu pracuję. Na pewno masz go gdzieś w domu.

Nie uwierzyła. Jej oczy błędziły po gabinecie, szukały. W końcu wyszła, nadal nieprzekonana.

Zapytałam Lori, czy widziała tego Oscara. Nie wiedziała, o czym mówię. A więc zniknął już dawno temu.

Zrobiło mi się przykro. Kiedy byłam mała, godzinami ściszałam go w garści i wygłaszałam mowy do wymagowanej publiczności na gali wręczenia nagród Akademii. A teraz go nie było. Wstydziłam się, że nawet tego nie zauważyłam.

Tej nocy miałam sen. Siedziałam w wielkim pokoju, pustym, jeśli nie liczyć tekturowych pudeł. Zimny wiatr szarpał długie białe zasłony. Wszedł Troy. Skinął głową i usiadł niedaleko mnie. Trwaliśmy tak, wpatrzeni w siebie bez słowa.

Kiedy następnego dnia przyszłam do pracy, siedział na murku przed budynkiem.

- Cześć. Przyniosłem fotsy.

Poczułam, że się rumienię, że mi płoną policzki. Nie mogłam na niego spojrzeć.

- Tak, oczywiście - wyjąkałam. - Może wejdiesz?

Miałam dziwny, nienaturalny głos. Szłam jak robot. Położył teczkę na biurku i wyjął zdjęcia. Nadal miał zabandażowaną rękę. Patrzyłam, jak wyjmuje kopertę ze skórzanej przegródki. Fotosy były fantastyczne. Spojrzałam na drugą stronę. Życiorys i zdjęcia z planu; mnóstwo rozbitych samochodów.

- Jak widzisz, specjalizuję się w scenach samochodowych. - Powiedział to miękko, niemal uwodzicielsko. Poczułam gęsią skórę.

- To nietypowe - starałam się mówić jak profesjonalistka. - Reklamo-dawcy najczęściej kręcą sceny upadków.

- Nie umiem upadać — powiedział. — To jedyna rzecz, której nie robię. — Myślałam, że żartuje. - Nie— zapewnił.

- Naprawdę nie umiem.

Stał bardzo blisko mnie. Wykrztusiłam, że to szkoda, że nie umie upadać; to ograniczy liczbę zleceń.

- Myślałeś może o zajęciach akrobatycznych, albo na trampolinie? Może to ci pomoże.

Uśmiechnął się.

- Kiedy byłem mały, ojciec zepchnął mnie ze schodów. Od tego czasu nie czuję się komfortowo, kiedy moje stopy są wyżej niż głowa.

Rzucił to tak lekko, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

Zdecydowałam się na podobny ton. Zażartowałam, że taki już mój los: mam jedynego kaskadera na świecie, który nie umie upadać.

Spojrzał na mnie. To było jak promień słońca. Poczułam, że się rumienię, zastanawiałam się nerwowo, co powiedzieć.

- Cóż - mruknęłam w końcu. - Za to twoje wypadki samochodowe wyglądają imponująco.

- I takie są - zapewnił. - W sobotę rano mam scenę do filmu z Eddiem Murphym.

Cisza. Wiedziałam, co się stanie i grałam na zwłokę.

- Sądzisz, że ręka zagoi się do tego czasu?

Puścił to pytanie mimo uszu. Cały czas patrzył mi w oczy.

- Zaczynamy o dziesiątej, przy moście przy Szóstej ulicy. Może przyjdiesz i popatrzysz?

Policzki mi płonęły. Sekundy ciągnęły się bez końca. Patrzył na mnie.

- Spróbuję.

Następnego dnia przyjechała Amanda Bradshaw. Umówiłam się z nią i jej ojcem na kawę po pracy, w Le Clafoutis.

Była inna, niż się spodziewałam. Bardzo się zmieniła od czasu zdjęć, które widziałam w Internecie. Okazała się delikatna i dyskretna, jakby troszkę znużona.



Wyczuwałam jej niepokój na myśl o spotkaniu ze mną, ale starała się być bardzo uprzejma. Zaimponowała mi tym. Na jej miejscu byłabym wściekłą harpią. Gdyby tatuś umawiał się z kobietą ponad dwa razy do niego młodszą, zrobiłabym wszystko, żeby go powstrzymać, żeby nie zrobił z siebie idioty. Amanda zachowywała się jednak bez zarzutu. Zadała mi tylko kilka niewinnych pytań: czy mi się podoba w Los Angeles, skąd pochodzę. Odpowiadałam potulnie, jak podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

Bardzo się starałam jej nie zdenerwować. Nie wzięłam jej ojca za rękę, nie wspomniałam o żadnej z naszych randek, nie pocałowałam go na pożegnanie.

Wracając do biura pomyślałam, że bardzo ją polubiłem. Co za ironia losu - gdyby nie była córką Johna Bradshawa, mogłaby stać się osobą, której zwierzyłabym się ze wszystkiego.

Lori wróciła do pracy w piątek rano. Była bardzo przygaszona. Nie pytałam, czy coś się stało, sama nic nie mówiła. Postanowiłam nie wspominać o wizycie Troya, nie mówić, że być może następnego dnia pójde zobaczyć go przy pracy. Nie widziałam powodu, żeby to zrobić. Troy to potencjalny klient, moim obowiązkiem jest zobaczyć go w akcji.

Zanim wyszłam, zadzwonił John, potwierdzić kolację.

- Zarezerwowałem stolik na ósmą, w Mr Chow. Przyjadę po ciebie o dziewiętnastej trzydzieści. Może tym razem do ciebie?

Rzucił to od niechcenia, ale wiedziałam, co ma na myśli.

- Dobrze.

Odłożyłam słuchawkę. A więc jutro. Przyjedzie po mnie, a później mnie odwiedzie.

Trochę trwało, zanim uporałam się z tym, co czułam. Była to mieszanina podniecenia i odrobiny strachu, ale przede wszystkim świadomość nieuniknionego. Przypomniało mi się, co powiedziałam Steph - że za pół roku pewnie będziemy po ślubie.

Wyobraziłam to sobie, wyczarowałam cudowne wizje: miesiąc miodowy w Europie, rodzice w apartamencie nad laguną, połączone agencje. Postaram się być dla niego dobrą żoną. Zrobię wszystko, żeby był szczęśliwy.

A później pomyślałam o Troyu. Przypomniałam sobie, jak się do mnie uśmiechnął, kiedy wychodził z agencji, i zrozumiałam, że absolutnie nie mogę jutro iść zobaczyć go przy pracy. Dokonałam wyboru. Wiedziałam, czego chcę od życia, osobistego i zawodowego, i teraz nie będę sama sobie rzucała kłód pod nogi. Tej nocy, kiedy kładłam się spać, czułam się silna i spokojna.

A następnego ranka - wielka niespodzianka - wstałam o siódmej i pojechałam zobaczyć występ Troya. Na autostradzie 110 w stronę centrum były roboty drogowe; zgubiłam się na objeździe. Kiedy znalazłam most przy Szóstej ulicy, cała jezdnia była zablokowana. Przypomniała mi się premiera z Johnem. W końcu znalazłam miejsce do parkowania w sąsiedniej uliczce. Wszędzie panował chaos, przyczepy, kable, kamery na każdym kroku. Agent ochrony podszedł do mnie i zapytał o nazwisko. Jeśli nie ma mnie na liście, pomyślałam, to znak, że mani wracać do domu. Byłam. Wpuścił mnie. Weszłam na plan. Nigdzie nie widziałam Troya i jakaś częśćka mnie pragnęła, żeby go nie było. Ale potem spojrzałam w bok i zobaczyłam go koło przyczepy. Mało brakowało, a odeszłabym, taka byłam onieśmielona. Wtedy podniósł głowę i mnie zobaczył.

- Przyszłaś w odpowiedniej chwili - powiedział. - Idę do fryzjera. Chcesz popatrzeć?

- Pewnie.

Podszedł do mnie, wziął za rękę, poprowadził do przyczepy. Fryzjerka była stara i drobna. Spojrzała na mnie ostro.

- Nie przeszkadzam pani? - zaniepokoiłam się.

- Skądże - burknęła. - Już przywykłam, że kaskaderów zawsze otaczają dziewczyny.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

Na ladzie stało zdjęcie aktora, którego Troy dublował. Fryzjerka spryskała mu włosy platynowym sprayem, przystrzygła je i ułożyła. Zdumiewało mnie, że tyle uwagi poświęcano scenie, która na ekranie potrwa najwyżej pół sekundy.

Kiedy skończyła, Troy pochylił się i cmoknął ją w policzek.

- Dzięki, Addie. - Znów wziął mnie za rękę. - Teraz kostium.

Poszliśmy do sąsiedniej przyczepy i pokazał mi, co zaraz włoży. Pozornie były to zwykłe dżinsy i marynarka, lecz wewnątrz wszyto ochraniacze na kolana, kostki i nadgarstki, oraz grubą warstwę ochronną. Ubierał się w przyczepie, a ja czekałam na schodach. Staralam się o niczym nie myśleć. Kiedy w końcu wyszedł, z trudem go poznałam.

- Teraz czas rzucić okiem na samochód.

Podeszliśmy do szopy za przyczepami. Na pierwszy rzut oka był to zwykły czerwony mustang, ale wewnątrz zamontowano specjalną ochronną konstrukcję i uprząż.

Troy w skupieniu sprawdzał wszystko, każdy szczegół, liczniki i zapięcia, ciśnienie w oponach, krótkofalówkę. Przypomniało mi się, co kiedyś

czytałam o spadochroniarzach - sami składają swoje spadochrony, nikomu nie ufają na tyle, by powierzyć to zadanie. O dziesiątej trzydzieści z głośników padło stłumione wezwanie.

- Spotkanie dotyczące bezpieczeństwa - wyjaśnił Troy.

Poszliśmy tam. Reżyser sceny stał na drabinie, gestykulował żywo i mówił coś do grupy kaskaderów. Nie rozumiałam z tego ani słowa, ale Troy co chwila kiwał głową.

Po skończonym zebraniu uśmiechnął się do mnie. Położył mi dłonie na ramionach - czułam ich ciepło przez sukienkę. Zaprowadził mnie do krzesła reżysera.

- Muszę iść - powiedział. - Zostań tutaj, zobaczysz wszystko na monitorze.

Życzyłam mu szczęścia. Pomachał mi i odszedł. Po prawej stronie dostrzegłam karetkę pogotowia i dwóch lekarzy.

Wszyscy milczeli. - Akcja! - krzyknął reżyser.

Jego asystent podniósł krótkofalówkę do ust.

- Kaskaderzy, akcja.

Chwila przerwy, i nagle na ulicy pojawił się czerwony mustang Troya. Dojechał do mostu i omijał zygzakami jego filary, niemal niewidoczny w tumanach kurzu.

Stanął na dwóch kołach, przez długą chwilę trwał niemal pionowo. I kiedy już się wydawało, że runie w tył, opadł z powrotem na cztery koła.

Z przecznicy wypadły dwa wozy policyjne na sygnale. Troy uderzył w jeden z nich, wycofał się, poprawił, ruszył do przodu. Gdy przejeżdżał skrzyżowanie na czerwonym świetle, z lewej strony nadjechał inny samochód, uderzył i mustang poszybował w górę; maska się wygięła, przednia szyba rozprysła na kawałki. Zapadła cisza.

Mijały sekundy. Sanitariusze byli gotowi, wbili wzrok w samochód Troya.

Nic się działo. Zero ruchu. Czułam, jak krew odpływa mi do nóg.

Nagle Troy wyskoczył z mustanga i zaczął biec poza zasięg kamery. - Cięcie! - wrzasnął reżyser.

Rzuciłam się do przodu, ale ktoś przytrzymał mnie za ramię.

- Nie ruszaj się.

Sanitariusze dopadli go pierwsi. Nie widziałam Troya, tylko tłumek dookoła. Nagle rozległ się krzyk, lekarze się cofnęli. Troy uśmiechał się, podnosił tryumfalnie kciuk. Wszyscy na planie oszaleli, krzyczeli, bili brawo.

Nie mogłam opanować drżenia. Nie byłam w stanie ruszyć się z krzesła, podejść do Troya. Dopiero po pewnym czasie mogłam na niego spojrzeć. Spotkaliśmy się połowie drogi - on szedł do mnie, ja do niego.

Chciałam powiedzieć, że to było niesamowite, że to najbardziej ekscytująca rzecz, jaką w życiu widziałam, ale nie mogłam. Mogłam tylko stać i na niego patrzeć.

Uniósł mi podbródek. Położył mi dłonie na ramionach, pochylił się i mnie pocałował.

Wziął prysznic, przebrał się. Siedziałam przed przyczepą i czekałam na niego. Obserwowałam, jak ekipa pakuje sprzęt, i znowu o niczym nie myślałam, nie pozwalałam sobie na myślenie o czymkolwiek.

W końcu wyszedł, znowu z ciemnymi włosami, w swoich ciuchach.

- Co chcesz teraz robić?

Miałam ochotę tylko na jedno. Starłam się tego nie okazać.

- Co chcesz.

- Najpierw chciałbym coś zjeść - powiedział. - Kiedy pracuję, nie jem śniadania.

Poszliśmy na Farmer's Market, do cajuńskiej knajpy. Jadałam już tam, i wiedziałam, że serwują ostre dania, ale tak się zdenerwowałam, że wcale mi to nie przeszkadzało.

- Często tu przychodzisz? - zapytał.

- To jedna z moich ulubionych restauracji. Wujek Gene często tu ze mną przychodził, kiedy byłam mała.

Roześmiał się.

- Wyobrażam sobie siebie jako małą dziewczynkę.

Chciałam zapytać, co ma na myśli, ale nie powiedział nic więcej. Chwila ciszy. Zadałam to samo pytanie - czy często tu przychodzi.

- Tak - odparł. - Mieszkam niedaleko.

- Och. - Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Bardzo się staraliśmy, ale rozmowa jakoś się nie kleiła; nieskładne zdania, pogawędki o niczym, kończące się w ślepym zaułku. A potem zapytałam go o pracę i zaczęło iść o wiele lepiej.

- Bardzo ciekawe było spotkanie informacyjne - powiedziałam. - Tylko że nie rozumiałam ani słowa.

Jego twarz się rozjaśniła.

- Na przykład czego?

- Nie pamiętam dokładnie, ale zdaje się, że była mowa o jakimś steku. Roześmiał się.

- *T-bone!* To kiedy jeden samochód uderza drugi z boku.

- I było jeszcze coś... o sushi?

Zapamiętałam akurat to określenie - rybi ogon - ale chciałam, żeby znowu się roześmiał. I zrobił to.

- Rybi ogon. To kiedy jechałem slalomem między filarami i samochód chwiało się na boki. Powiedziałam, że nie wiedziałam, iż robił to celowo. Wyglądało, jakby stracił nad nim kontrolę. Wy tłumaczył mi, że wszystko, nawet to, że stanął na dwóch kołach, było zaplanowane, klatka po klatce. Omówiliśmy całą scenę. Opowiadał o różnych sztuczkach i zasadzkach. Widziałam, że się odprężył. Ja też. Nareszcie dobrze się bawiliśmy.

A kiedy skończyliśmy jeść, spojrzał na mnie i zapytał:

- Co teraz?

Nie odpowiedziałam. Chyba uznałam, że jeśli zachowam milczenie, cała odpowiedzialność spadnie na niego. Powiedział w końcu:

- Mieszkam blisko.

- Tak. - Nie odrywałam oczu od stołu. - Już mówiłeś.

Poszłam z nim do jego mieszkania w starej kamienicy na Fairfax. Kiedyś była zapewne urocza, lecz teraz biały stiuk odpadał, trawnika przed domem nikt nie podlewał.

Weszliśmy schodami na pierwsze piętro. Przed drzwiami swojego mieszkania położył mi rękę na ramieniu.

- Daj mi chwileczkę - poprosił. - Muszę trochę posprzątać. Czekałam na korytarzu. I znowu starałam się o niczym nie myśleć. W końcu otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka.

To było jedno z najbardziej pustych mieszkań, jakie w życiu widziałam. Przypomniał mi się mój sen; siedzimy na pustych pudłach, wiatr szarpie białymi firankami.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym skomentować, jakiegoś punktu zaczepienia, ale niczego takiego nie znalazłam. Nie widziałam ani jednej znajomej książki, jego kasety wideo to filmy akcji, na płytach śpiewały zespoły, o których nigdy nie słyszałam. Po prostu nie miałam nic do powiedzenia.

Wtedy podszedł do mnie, wziął za ramiona i pociągnął na kanapę. I wszystko inne przestało mieć znaczenie. Zostałam u niego przez cały dzień. Cały czas się kochaliśmy. Z przerwami na kawę i prysznic, ale ciągle mnie dotykał. A ja jego.

Jego włosy, gęste i sprężyste pod moimi palcami; jego ciało, twarde i jędrne. Jego skóra smakowała jak gorzkie migdały. Nie mogliśmy się rozdzielić; byliśmy bez ustanku złączeni, niewyczerpani.

Ale nie rozmawialiśmy. Nie było takiej potrzeby, nie teraz. Nasze ciała się zaprzyjaźniły, były jak bliźnięta; słowa nie mogłyby tego dokonać.

Raz krzyknął i nazwał mnie Piękną. To mi się spodobało - *Piękna i Bestia*. Podobało mi się, że jestem postacią z bajki.

Kiedy się ściemniało, nie zapaliliśmy światła i kochaliśmy się w półmroku. Koło siódmej powiedział, że umiera z głodu - zamówiliśmy chińsz-czyznę na wynos. Jedliśmy w łóżku, nadal po ciemku. Jedzenie wyładowało na kołdrze. O dziesiątej stwierdziłam, że na mnie czas. Zapytałam, czy mogę wziąć jeszcze jeden prysznic - tym razem sama. Stałam w strumieniach wody -rozkreśliłam ją tak, aż bolało - i wtedy przypominałam sobie, że jestem umówiona z Johnem Bradshawem.

Wybiegłam spod prysznica. Chciałam się ubrać, ale byłam tak wyczerpana, że ruszałam się jak w zwolnionym tempie. Troy leżał na łóżku i śmiał się ze mnie.

- Muszę iść - powiedziałam. - Zapomniałam o spotkaniu.

Pomógł mi się ubrać. A potem odprowadził mnie do samochodu i całował, całował... póki się nie odsunęłam.

W drodze do domu rozkręciłam radio na cały regulator, byle tylko nie myśleć. Samochód pachniał inaczej. Ja też. Weszłam do bloku, pobiegłam na górę. Wpadłam do mieszkania i zobaczyłam, że na automatycznej sekretarce miga czerwona lampka. Trzy wiadomości. Pierwsza od Johna: dzwonił o drugiej, potwierdzał kolację. Powiedział, że już się nie może doczekać.

Druga z dziewiętnastej trzydzieści pięć. Dzwonił z komórki, spod moich drzwi. Nie otworzyłam - zastanawia się, gdzie jestem, może w łazience. Spróbuje ponownie za kilka minut.

Trzecią wiadomość zostawił za kwadrans dziewiąta. Wrócił do siebie. Czy mogłabym oddzwonić, kiedy wrócę, bez względu na godzinę? Będzie czekał.

Odebrał po pierwszym sygnale.

- Pandora - powiedział z ulgą. Nie pytał, dlaczego wystawiłam go do wiatru, martwił się tylko, czy nic mi się nie stało.

Przerwałam mu. Powiedziałam, że jest cudowny, że jestem mu bardzo wdzięczna, ale nie mogę się z nim dłużej spotykać.

- Przykro mi - powtarzałam. - Popełniłam błąd. Przepraszam. - Powiedziałam to jeszcze raz i odłożyłam słuchawkę.

Wzięłam kolejny prysznic, głównie ze względu na szum wody. Nie mogłam wytrzymać ciszy.

Cały czas miałam przed oczami twarz Johna, gdy pocałowałam go po raz pierwszy, malujące się na niej szczęście. To sprawiało mi ból. Gary miał rację - nie kochałam go, to była tylko fantazja.

Ale to nie znaczy, że go zwodziłam, nie, nawet przez chwilę. W takim samym stopniu zwodziłam samą siebie. Ale teraz to już niemożliwe.

Wyszłam spod prysznic, spojrzałam na siebie w lustrze. Chyba zmieniło się całe moje ciało. Nie byłam już tą samą kobietą. Miałam wrażenie, że oddycham ostrzejszym powietrzem, jakbym oddychała skałami.

Położyłam się do łóżka. Myślałam o Troyu całym ciałem. Spojrzałam na ramię - miałam bransoletkę z siniaków, tak mocno mnie trzymał. Przypomniało mi się, że ramię Lori wyglądało tak samo w dzień świętego Walentego. Chłopak zrobił jej siniaki, a ja jej współczułam.

Zamknęłam oczy i usiłowałam wyobrazić sobie przyszłość, ale niczego nie widziałam. Nagle się przeraziłam.

Zdawałam sobie sprawę, że cała ta sprawa z Troyem to szaleństwo. Widziałam go zaledwie trzy razy. Nie rozmawialiśmy. Ale to nie miało znaczenia. Nigdy się tak nie czułam.

Szaleństwo czy nie, trudno, muszę zobaczyć, co z tego wyniknie. Zrobić to dla siebie. Jeśli wszystko się popsuje, przeżyję. Ale to nie może się popsuć, nie może. Nie, jeśli czuję coś takiego.

## **Lori**

Słowa, które do mnie mówiła, zamarły jej na ustach. Widzę, jak patrzy przez pokój, zatrzymuje na niej wzrok. Idą do siebie.

- Cześć, jestem Troy.

- Cześć, Troy. Pandora Brown. Jestem dla niego niewidzialna.

- Piękne imię, z greckiego mitu.

- Twoje też. Dotyka jej dłoni.

Nie mogę wstać, nie mogę iść do pracy. Dzwonię do biura, mówię, że jestem chora, czuję, że Puszka mi nie wierzy. Powinam tam iść, ale nie mogę. Odgadnie, domyśli się.

Boję się wykonać jakikolwiek ruch, siedzę cicho. Troy nie dzwoni. Nigdy tak długo nie milczał.

Ostatnie, co do niej powiedział, to że wpadnie do agencji, przyniesie fotosy. Nie mogę do tego dopuścić, muszę się dowiedzieć, kiedy ma przyjść, upewnić się, że nie zostaną sami.

Ale nie mogę ruszyć się z pieprzonego łóżka.

Troy powiedział, że jestem jak walec drogowy, że zmiążdżę każdego, kto mi stanie na drodze do celu. Teraz mnie zmiążdżyli.

Podchodzę do krzesła. Gapię się w okno. Znajduję wódkę, resztki z sylwestra. To mi pomoże utrzymać się na powierzchni.

Wyjmuję wszystkie prezenty od niego: kolczyki, bieliznę, perfumy, pluszowego misia. Układam je dokoła, siedzę pośrodku.

Przeoglądam album, nasze zdjęcia.

Nasze pierwsze spotkanie. Podszedł do mnie we Fling's. Wiedziałam, jak to będzie, ledwie dotknęłam jego dłoni. Tamten wieczór w pizzerii. Poprosił kelnerkę o kawałek surowego ciasta. Ulepił dwie postaci, kobietę i mężczyznę. Położył mężczyznę na kobiecie. Nie czekaliśmy najedzenie.

Cambria, pierwszy dzień pamięci. Otwarte okna w domku, wiatr szarpie firankami. Zbiera dla mnie kwiaty przy drodze.

Pierwszy raz, kiedy widziałam go przy pracy: kraksa do filmu o Jamesie Bondzie. Samochód runął z mostu do wody. Myślałam, że nie żyje, długo się nie pojawiał. Później śmiał się ze mnie, nazywał dzieciakiem. Nienawidziałam patrzeć, jak pracuje, nienawidziałam, ale i tak zawsze tam chodziłam.

W sobotę kręci scenę z Eddiem Murphym, przy moście przy Szóstej ulicy. Pójdę to zobaczyć, będzie jak dawniej, wszystko będzie dobrze.

W kółko to sobie powtarzam. Piję wódkę. Gdzieś w połowie butelki przestanę widzieć ich twarze, jego i Puszek. Czuję się jak na pogrzebie, wspominam coś, czego już nie ma.

Dzwoni matka.

- Miałaś mi przywieźć zakupy. Jest piątek. Mogłabym umrzeć z głodu, nic cię to nie obchodzi.

Robię pieprzone zakupy, zawożę. Jest zalana w trupa. Ogląda album ze zdjęciami, pokazuje mi je.

- To ja i twój ojciec, pojechaliśmy wtedy na Barbados. Zobacz, jaki był przystojny. W hotelu zorganizowali konkurs tańca. Wygraliśmy. Powiedział: „Ann, jesteś taka zwinna, mogłabyś występować”.

Rozlewa alkohol, płacze.

- A teraz? Co powiedziałaby teraz? Podnosi wzrok, wskazuje mnie palcem.

- A ty złamałabyś mu serce. Był z ciebie dumny, a teraz? Jak ty się ubierasz, jak ty się wyrażasz? Wstydziliby się za ciebie.



Patrzę na zdjęcie ojca. Nasze oczy się spotykają. Ty nie żyjesz, ja tak, myślę sobie.

Na dole strony jest jeszcze jedno zdjęcie. Moje. Mam dziesięć lat. Chcę je uratować, nie chcę, żeby było na tej samej stronie co ojciec.

- Mogę je sobie wziąć? Matka wzrusza ramionami.

- Bierz, bierz.

Nic ją to nie obchodzi. Nieważne, że traci moją fotografię. Wyrywam ją. Zostają po niej cztery kropki po wyschniętym kleju. Teraz ojciec jest sam na stronie albumu.

Wracam do domu. Ciągle patrzę na zdjęcie.

Mam na sobie kolorową baletową spódniczkę, koronę na głowie. To wielki dzień - występ baletowy. Jestem taka podekscytowana, nigdy w życiu tak się nie czułam. Byłam dobra, najlepsza w klasie i nauczycielka dała mi partię solową.

Ćwiczyłam codziennie. Wejdę na scenę i wszyscy się dowiedzą, że jestem wyjątkowa. Całe moje życie się zmieni. Co wieczór robię precelka na szczęście; zaplątam palce, wywijam łokcie i szepczę życzenie: „Chcę być gwiazdą, niech zostanę gwiazdą”.

Kiedy przychodziła babcia zabierałam ją do siebie na górę, pokazywałam mój układ. Matka była zazdrosna:

- Dlaczego ona może to zobaczyć, a ja nie? Babcia mnie przytulała.

- Moja mała Lori, moja utalentowana Lori, nie mogę się doczekać twojego występu.

Wieczór przed występem. Matka mówi:

- Mam dla ciebie cudowną wiadomość, niespodziankę. Ojciec weźmie sobie jutro wolny dzień i przyjdzie cię zobaczyć.

Nie chcę go tam, nie chcę, żeby patrzył, jak tańczę, nie chcę, żeby widział mnie w baletowej spódniczce. Wrzeszczę:

- Jeśli on przyjdzie, to ja nie! Matka odpowiada krzykiem:

- Nie możesz tak mówić do ojca!

- Nic nie szkodzi - odzywa się ojciec. - Jeśli nie chce, nie przyjdę. - Sukinsyn, męczennik.

Matka na mnie patrzy.

- Łamiesz mu serce, wiesz o tym?

Następnego ranka wstaję o szóstej, nie mogę nic przełknąć, jestem zbyt podekscytowana. Ubieram się, jestem gotowa do wyjścia.

Matka ma mnie zawieźć do teatru. Krząta się, przedstawienie jest o dziesiątej, mamy za mało czasu. Krzyczę:

- Pośpiesz się! - Ignoruje mnie, rusza się jeszcze wolniej, nie zależy jej, chce, żebym się spóźniła.

W końcu wsiadamy do samochodu. Korek na Wilshire, stoimy. Otwieram drzwi, wysiadam. Puszczam się biegiem, pędzę Wilshire Boulevard w kolorowej spódniczce baletowej, w baletkach, cały kawał do teatru Wilshire Ebell.

Ludzi pokazują mnie palcami, uśmiechają się, krzyczą, klaszczą. Biegnę i biegnę, wcale się nie męczę.

Jestem najlepsza w całym przedstawieniu, wszyscy to mówią, ale kończy się o wiele za szybko.

Ludzie przychodzą za kulisy. Jest matka, ale nie ją chcę widzieć.

- Gdzie babcia?

- Nie wiem. Nie przyszła. Wracam do domu, dzwonię.

- Babciu, gdzie byłaś? Czemu nie przyszłaś?

- Nie rozumiem. Wczoraj wieczorem dzwonił twój ojciec, powiedział, że w teatrze był pożar, że spektakl odwołano.

Czekam, aż wróci z pracy. Rzucam się na niego, drapię mu twarz. Łapie mnie za rękę.

- Hola, hola. - Śmieje się.

Wódka, więcej wódki. Cały czas myślę o tym zdjęciu. Mam ochotę płakać i nigdy nie przestać. Ja w baletowej spódniczce, z szerokim uśmiechem. Przekonajmy się, czy nadal umiem zrobić magiczny precelek. Umiem. Miał mnie uchronić przed całym złem tego świata.

Podnoszę zdjęcie do lustra, porównuję twarze. Przeróżające, jak bardzo się różnią. Nie wiem, co się stało. W jednej chwili masz wszystko poukładane, będziesz zwycięzcą, gwiazdą, dostaniesz wszystkie partie solowe, ale gdzieś po drodze tę małą dziewczynkę załatwili, marzenia zwiędły, nie spełniły się.

Moje życie jest do dupy. Nienawidzę go. Jest zupełnie nie takie, jak bym chciała. W kółko trzeba się targować, bez przerwy coś tracić.

Teraz chyba wszystko sprowadza się do Troja. Jeśli go zatrzymam, będę szczęśliwa. Jeśli go zatrzymam, niech szlag trafi całą resztę.

Zasnęłam. Kiedy obudziłam się, na sekretarce paliło się światełko. Zadzwoił, nagrał się:

**Chciałem ci tylko powiedzieć, że odwołali zdjęcia w sobotę. Może później jakoś się spotkamy. Zadzwoń.**

Czasami odwołują, to się zdarza, to jeszcze nic nie znaczy. W kółko to sobie powtarzam.

Jestem taka spokojna, aż sama w to nie wierzę. W poniedziałek rano idę do pracy. Czeka na mnie. Wiedziała, wiedziała, jeszcze zanim się odezwała.

- Och, Lori, nie uwierzysz, aż się boję ci to powiedzieć.

Nie musiała. Kiedy wypowiedziała jego imię, szepnęłam je razem z nią. Jest bladoróżowa. Rozkoszna panna młoda.

- To niewiarygodne. Przepraszam, że wcześniej ci nic nie powiedziałam. Nie chciałam niczego przed tobą ukrywać, naprawdę. Nawet nie sądziłam, że pójde go zobaczyć w tej scenie, aż nagle, w ostatniej chwili, zmieniłam zdanie.

Wyłączam się, dociera do mnie jedynie jej głos. Kiwam głowając lalka. Wiedziała, że nie odwołali zdjęć, wiedziała, że kłamie.

- Lori, to było niewiarygodne, żałuj, że tego nie widziałas! Zarumieniona twarz, niespokojne małe rączki.

Spędziliśmy razem cały dzień, ale wiesz, najgorsze, że zapomniałam o randce z Johnem. Ale to już załatwione, zerwałam z nim. To było jedyne uczciwe rozwiązanie, teraz, kiedy jest Troy.

Podchodzi do mnie, zarzuca mi ręce na szyję.

- Och, Lori, Lori, chyba się zakochałam.

Mam ochotę ją zabić, położyć dłonie na jej gardle, zaciskać, aż posinieje

i umrze. Zabiła mnie, zabrała Troya, mój jedyne skarby, jedyne, co miałam. Uśmiecha się, kiedy do mnie mówi.

Nie słyszę jej słów, widzę tylko, jak ruszają się plastikowe usta. Cmok, cmok. Nie myśleć. Najważniejsze to nie myśleć.

Wracam do domu. Siadam na podłodze, wyglądam przez okno. Nie żyję. Zwłoki na moich rękach, nie wiem, co z nimi zrobić. Nie mogę trzymać ich w domu, zaczynają śmierdzieć.

Muszę wyjść, uciec od trupa. Idę na Santa Monica Boulevard. Sklepy, kina, restauracje, wystawy pełne rzeczy do kupienia. Wszystko dla żywych. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym jeszcze czegoś pragnąć. Nie ma już nic, nie ma dokąd iść.

Jadę do San Vincente. Ludzie spacerują, dzień jest ciepły. Jessa siedzi na rogu. Jestem zmęczona, chcę tylko odpocząć. Siadam koło niej, nie rusza się, jakby mnie w ogóle nie było.

Tylko trochę posiedzieć, pooddychać. Patrzeć, jak wiatr unosi śmiecie. Kobieta obok Jessy gapi się na mnie.

- Kim jesteś? Nie pasujesz tutaj. Idź sobie. - Szarpie wózek.

Jessa powinna się odezwać, powiedzieć, że mogę tu być, jeśli chcę. Milczy, jestem zdana na siebie.

- Pieprz się. Wstaję, odchodzę.

Jestem niczym, jestem lżejsza niż powietrze. Nie ma mnie w mojej skórze, odeszłam od siebie. Wracam do domu, zanim uschnę i wiatr mnie porwie.

Ciemność, grób. Dokoła czerń i cisza. W łóżku. Nie pamiętam, jak tu trafiłam. Hałas, nie wiem, co to. Telefon. Troy. Dzwoni i dzwoni. Przeszywa mnie na wylot, nie odbiorę, nie odbiorę. Jestem na to zbyt dumna. Znowu dzwoni. Nie wygra, nie pokona mnie. Wrzeszcze:

- Zamknij się, do cholery!

Sąsiedzi z dołu walą w sufit. Zrywam się z łóżka, skaczę.

- Zamknij się, do cholery! Już nie dzwoni. Cisza.

Podchodzę, podnoszę słuchawkę, ale słyszę tylko ciągły sygnał. Już po wszystkim. Stoję z martwym telefonem. Nie chcę się już nigdy ruszyć. Jeśli drgnę, jeśli odłożę słuchawkę, to znak, że mnie zostawił, że już koniec.

Walenie, walenie w drzwi. Biegnę, otwieram energicznie. Troy mnie obejmuje, jego ramiona mnie duszą. Przyszedł, jest tutaj, wszystko w porządku. Nie obchodzi mnie, że posuwał Puskę, nic mnie nie obchodzi, liczy się tylko to, że jest tutaj.

Patrzę, jak śpi. Pachnie jak Troy, jak my.

Cała noc; jest lepiej niż za pierwszym razem, lepiej niż w Cambrii, lepiej niż kiedykolwiek. Dał mi jakąś część siebie, którą do tej pory ukrywał. Wchłaniam go w siebie, wciskam, żeby już nigdy się nie uwolnił.

Powiedział, że stracił rozum. Nie mógłby beze mnie żyć. Zwariuje, jeśli mnie straci.

Patrzę na niego. Chcę tylko, żeby między nami było dobrze. Mało brakowało, a poszlibyśmy na dno, ale trafiliśmy na brzeg. Chcę drobiazków, nic dużego, nic szybkiego. Szeptów. Tylko on i ja. Małe zwierzątka w pięknym zielonym lesie.

Wstaję. Jest dzieckiem, którego nie chcę obudzić.

W końcu się budzi, uśmiecha się cudownie. Robię mu śniadanie. Siedzi przy stole, pije kawę. Wszystko jest rozmazane. Wbijam jajko do miseczki, myślę sobie, jeśli żółtko się rozplynie, tak samo będzie z czarem, pryśnie, ale jest całe.

Znowu to mówi.

- To bez znaczenia, przysięgam. Chodziło mi tylko o to, żeby mieć agenta, dostawać zlecenia, naprawdę. Myślałem, że to pomoże.

Nie mogę się tego nasłuchać, jego słowa otaczają mnie jak cudowny obłok. Patrzę na dwa okrągłe żółtka w miseczce. Pytam, czy jeszcze się z nią zobaczy.

Nie, już nie. Żółtka zlewają się w jedno wielkie, jak słońce.

Podchodzi bliżej, obejmuje mnie.

Pytam:

- Kiedy jej powiesz?

Mówi, że może wcale nie będzie musiał. Umówili się na piątek. Po prostu nie przyjdzie. Ona zrozumie. Puszka wystrojona, przy drzwiach, a on nie przyjdzie. Mówię:

- Nie, to za mało. Musisz jej powiedzieć.

Zgadza się, zadzwoni. Załatwi to przez telefon. Powie, że mu przykro, że go poniosło. Że to był błąd.

Idę rano do pracy. Wchodzi Puszka, rozanielona, szczebiocząca. Teraz mi to nie przeszkadza. Znam prawdę. Ja coś wiem, ona nie. Ja jestem kotem, ona myszą. Mówię:

- Widziałaś się wczoraj z Troyem?

- Nie. Dzwoniłam, ale nie było go w domu. Ale umówiliśmy się na piątek.

Tak ci się tylko wydaje, Puszko.

Cudowny, cudowny dzień. Wczoraj, tu, w tym biurze, byłam martwa, rozkładałam się. Dzisiaj jestem cała, żyję, zwyciężam.

Troy zabiera mnie na kolację, idziemy do pizzerii. Nie jest tak dobrze jak wczoraj, coś go gryzie.

Mówię:

- Powinieneś się ze mną ożenić, zaopiekuję się tobą.

Nie mieści mi się w głowie, że to powiedziałam, zazwyczaj jestem ostrożniejsza. Nie podoba mu się to. Mówi, że małżeństwa na razie nie ma planach. Ja na to:

- Ja też nie. Ale ty chyba nigdy do tego nie dojrzejesz. Oszalałam. Nie powinnam była w ogóle tego ruszać, ale ciągle o tym

myśle, nic na to nie poradzę. Inni się pobierają. To nie jest niemożliwe, do cholery.

Na razie daję spokój, zmieniam temat. Po kolacji idziemy do kina. Śmiejemy się, znowu jest dobrze.

Pytam, czy już dzwonił do Puszki, odwołał piątkową randkę. Mówi, że jutro to załatwi.

Przychodzi po pracy. Oglądamy telewizję. Jest rozleniwiony. Leżymy w łóżku, masuje mi plecy. Pytam, jak mu poszło z Puską przez telefon. Odpowiada, że jeszcze nie zadzwonił. Mówię, że może załatwić to teraz, na pewno jeszcze nie śpi.

Przestaje mnie masować, powietrze staje się zimne. Mówi, że zadzwoni, kiedy będzie chciał.

Piątek rano. Puszka miota się po biurze, wszystko chrzani.

- Och, Lori, przepraszam, jestem taka roztagniona, wiem, to okropne, ale myślę tylko o dzisiejszym wieczorze.

Moje oczy na zegarku. Słyszę telefon w jej gabinecie. To na pewno Troy. Czekam, aż zawoła: „Wszystko skończone, nie chce mnie więcej widzieć!” Ale nie woła.

Lunch. Mówi, że nic nie zje, idzie kupić sobie na wieczór coś wystrzałowego, żeby Troyowi zaparło dech w piersiach. Czekam przy telefonie, żeby przekazać jej wiadomość. O trzeciej dzwonię do niego, włącza się sekretarka. Nie oddzwania. O piątej wychodzi z biura.

- Przepraszam, że tak się urywam, ale sama rozumiesz. Baw się dobrze i do zobaczenia w poniedziałek!

Wybiega.

Idę do domu, czekam. Czekam do siódmej, j adę do niej. Wyłączam światła, jadę za róg, parkuję.

Dygocę tak bardzo, że pieprzone nogi odmawiają mi posłuszeństwa. W końcu wysiadam, idę. Powtarzam sobie, że go tam nie będzie.

Jego samochód przed budynkiem.

Podchodzę do jej drzwi. Otwiera. Ma rozpuszczone włosy, rozpiętą bluzkę, czuję na niej jego zapach. Jest zawstydzona i zaskoczona, że mnie widzi.

- Lori, nie wiedziałam, że wpadniesz.

Podnosi kejuk. Uśmiecha się do mnie nerwowo. Widzę jego cień w sypialni. Patrzy na mnie, zimne, błyszczące, zwierzęce oczy.

Całą noc nie śpię. Stało się.

*Szanowny panie Bradshaw, powinien pan chyba wiedzieć co nieco o mężczyźnie, który pieprzy pańską przyjaciółkę.*

Ciekawe, czy Troy ma pojęcie, ile wiem, czego się domyślam. Kiedy piszę list, przypomina mi się jeszcze więcej rzeczy, których nie kojarzyłam, kiedy się działy.

Naprawdę myślał, że może mi to zrobić? Naprawdę sądził, że ujdzie mu to płazem?

Wyciągam album, wrywam zdjęcia, wyjmuję je z ramek. Tnę bieliznę, rozbijam kolczyki młotkiem. Misia zachowuję na koniec. Podrzynam mu gardło.

## **Pandora**

Cały czas śni mi się Troy. Zaczyna się dobrze - jesteśmy w wesołym miasteczku albo na jarmarku. Jest zrelaksowany, popisuje się przede mną. I nagle zaskakuje mnie jego obecność. Mówię: „Wydaje mi się, że nie powinno cię tu być”. Patrzy na mnie, odwraca się i znika w tłumie.

Wczoraj śniło mi się, że jesteśmy w Carmel, siedzimy na plaży, patrzymy na zachód słońca. Miał na sobie koszulę z niebieskiego jedwabiu, którą mu kupiłam. W końcu obudził mnie płacz. Leżałam z twarzą przyklejoną łzami do poduszki.

Przez cały dzień wracaję wspomnienia cudownych dni w Carmel. To był szczęśliwy czas.

Zacząło się w niedzielę wieczorem, w drugim tygodniu naszej znajomości. Spędziliśmy razem cały weekend, chodziliśmy do kina, do restauracji, siedzieliśmy w domu, kochaliśmy się. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa.

Po raz pierwszy nie pragnęłam niczego, miałam wszystko.

- Chciałabym, żeby ten weekend nigdy się nie skończył - powiedziałam i westchnęłam.

Troy pociągnął mnie z powrotem na łóżko.

- Wcale nie musi. Zadzwoń jutro do pracy, powiedz, że jesteś chora, że coś ci wyskoczyło. Zabiorę cię stąd na kilka dni. Gdziekolwiek zechcesz.

W poniedziałek rano, kiedy wyszedł, wróciłam do łóżka. Czułam, jak weekend znika, staje się nierzeczywisty. Już planowałam następny tydzień, służbowe spotkania i lunche. Jakbym musiała włożyć brudną, przepoconą sukienkę po tym, gdy biegałam nago po plaży.

Myślałam o tym, co powiedział, że mnie stąd zabierze na kilka dni. Tak bardzo chciałam z nim pojechać.

A potem, kiedy szczotkowałam włosy, nagle pojawiła się myśl: dlaczego nie? To moja agencja, tyrałam w niej przez bite dziewięć miesięcy. Chyba należy mi się kilka dni wolnego.

Szybko przejrzałam terminarz. W tygodniu było mnóstwo spotkań, ale nie na tyle ważnych, by nie dało się ich przesunąć.

Wiedziałam, że Lori poradzi sobie z codziennymi sprawami - w końcu, zanim się pojawiłam, prowadziła agencję sama. I nie miałam wyrzutów sumienia, że ją o to proszę - ostatnio ciągle dawałam jej wolne. Jeśli będę jej potrzebna, ma moją komórkę - podobnie jak klienci - i będę dzwoniła kilka razy dziennie, aby się upewnić, że wszystko w porządku.

Nie wierzyłam, że to robię, a jednak zrobiłam. Zadzwoiłam do agencji i nagrałam się na sekretarkę:

- Cześć, Lori, to ja. Coś mi wypadło i przez kilka dni nie przyjdę do pracy. Odwołaj wszystkie moje spotkania do piątku. Zajmij się tylko bieżącymi sprawami. Jeszcze zadzwonię.

Mogłam powiedzieć jej prawdę, że wyjeżdżam z Troyem, ale nie byłam pewna, czy tego chcę. W piątek nieoczekiwanie zjawiała się u mnie, kiedy był Troy. To było bardzo dziwne.

Zadzwoiłam jeszcze w kilka miejsc, odwołałam spotkania. W końcu wybrałam numer Troya.

- Jestem wolna! - powiedziałam. - I skorzystam z twojej propozycji. Długie milczenie. Zdałam sobie sprawę, że ani przez chwilę nie traktował jej poważnie.

Przeraziłam się.

- Zapomnij o tym - powiedziałam szybko. - To szaleństwo. Nie dał mi dokończyć.

- Nie, to świetny pomysł. Tylko nie mieści mi się w głowie, że naprawdę to robimy. - Śmiał się, ogarnęło go podniecenie. - Załatwię kilka spraw i przyjadę po ciebie za godzinę.

Zaczęłam się pakować. Byłam podniecona jak dzieciak przed wyjazdem na obóz. Nie wiedziałam, dokąd się wybieramy, więc wrzuciłam do walizki chyba wszystko, co miałam.

O dziewiątej zapukał do drzwi.

- Cześć, Piękna - powiedział. - Dokąd cię zabieram?



To była cudowna chwila. Nie pamiętam innej równie wspaniałej w całym moim życiu. Byliśmy wolni, mogliśmy robić, co chcemy.

- Może do Carmel? - powiedziałam w końcu, - Zawsze chciałam tam pojechać.

Uśmiechnął się.

- A więc jedziemy.

Zadzwoiłam do rodziców i powiedziałam, że wyjeżdżam z przyjacielem do Carmel na kilka dni. Życzyli mi przyjemnej podróży.

- Do Carmel pojechaliśmy w podróż poślubną - dodał tata.

Więc stamtąd pochodzą świąteczne gołąbki! Kolejna urocza niespodzianka tego dnia.

Włożyliśmy bagaże do samochodu i wyruszyliśmy. Tankowaliśmy na Barrington i nagle zobaczyłam Gary'ego.

Mało brakowało, a zawołałabym go, ale nie zrobiłam tego. Nie rozmawialiśmy od kilku miesięcy, odkąd wyprowadził się z biura po naszej kłótni. Teraz na jego widok ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Miał rację co do Johna Bradshawa, a ja nie przeprosiłam go. Obiecałam sobie, że do niego zadzwonię, kiedy wrócimy.

Troy zobaczył, że gapię się w okno.

- Kto to? - zapytał. - Mam być zazdrosny?

- Nie - zapewniłam.

Pochylił się i pocałował mnie mocno.

Ruszyliśmy na północ, wzdłuż wybrzeża. Otworzyłam okno, machałam ręką, był piękny, błękitny, wietrzny dzień.

Nie pamiętam, kiedy byłam równie szczęśliwa.

W Santa Barbara zrobiliśmy sobie postój, poszliśmy na spacer State Street. Troy śmiał się ze mnie, bo chciałam wejść do chyba każdego sklepiku.

- Jeszcze tylko ten jeden - błagałam, widząc malutki sklep z antykami. - Uwielbiam starocia. - Właściwie ja też.

Weszliśmy do sklepu. Obserwowałam Troya. Co jakiś czas zatrzymywał się i dotykał czegoś; a to starego talerza, a to konika na biegunach. Robiło mi się słabo, gdy widziałam jego delikatność.

Za biblioteczką znalazłam pogniecioną rękawiczkę. Pokazałam mu ją.

- Jakie to smutne, zostać tak porzuconą. Wziął ją ode mnie.

- Powiedz jej coś miłego.

- Jesteś śliczną małą rękawiczką i masz piękny haft.

- Idealnie. - Uśmiechnął się do mnie. - Uszczęśliwiłaś ją. Teraz do końca życia będzie wspominać twoje słowa.

Zachciało mi się płakać.

Wielokrotnie dzwoniłam do biura, ale Lori nie odbierała.

- Poczekaj do jutra - radził Troy. - Jesteśmy na wakacjach.

Koło południa minęliśmy San Louis Obispo i zobaczyłam drogowskaz do Madonna Inn. Złapałam Troya za ramię.

- Błagam, zjedźmy tam lunch! Zawsze chciałam to zobaczyć! Jęknął, ale posłusznie skręcił na parking.

Madonna Inn mnie nie rozczarował. Był fantastyczny, ozdobiony do przesady kolorowymi fontannami, plastikowymi kwiatami, amorkami i lalkami. I wszystko było różowe - od cukru na stole po kogutka na dachu.

- A kiedy zobaczę wodospad? - zapytałam, kiedy zjedliśmy.

Troy jęknął jeszcze głośniej, ale zaprowadził mnie do męskiej toalety i pilnował, kiedy weszłam do środka i podziwiałam słynny wodospad przy pisuarach. Byłam zachwycona.

Po lunchu przechadzaliśmy się po posiadłości, zaglądaliśmy przez okna do słynnych „tematycznych” pokoi.

Najbardziej spodobał mi się pokój „Jaskiniowców”, z narzutą w lamparcie cętki i kamiennymi ścianami. Troy uderzył się w piersi jak Tarzan i zapytał, czy chcę tu przenocować, ale odparłam, że nie mam ochoty bawić się w Wilnę Flinstone.

- Chociaż ty jako człowiek pierwotny to kusząca wizja! Wdaliśmy się w odwieczną debatę: Flinstonowie kontra Jetsonowie. Troy

przyznał, że kiedy miał dziewięć lat, kochał się w Judy Jetson. Wyobraziłam go sobie jako dziewięciolatka - nieśmiały ciemnowłosy chłopczyk w kraciastej koszuli i czapeczce bejsbolowej. Zrobiło mi się smutno. Objęłam go.

- Szkoda, że cię wtedy nie znałam. Pocałował mnie w czubek głowy.

- Teraz jest lepiej.

Około drugiej dojechaliśmy do Cambrii. To urocze miasteczko, jak sprzed stu lat; jednopiętrowe domki z drewnianymi frontami i werandami. A Troy miał chyba jakiś szósty zmysł - zawsze wiedział, dokąd iść. To było niesamowite. Zapytałam, czy już tu był, ale odparł że nie, nigdy.

- Może mieszkałeś tu w poprzednim wcieleniu! - zażartowałam.

- Może.

Znaleźliśmy cudowną małą drogerię z mydełkami i perfumami domowej roboty. Kupił mi jaśminowe potpourri. Potem poszliśmy za sklepik, do ogrodu, i całowaliśmy się pod drzewami.

Pojechaliśmy do Hearst Castle. Dorastałam z filmem *Obywatel Kane* i bardzo chciałam zobaczyć inspirację dla Xanadu. Tymczasem Troy, któ-

ry nie widział filmu, był pod większym wrażeniem niż ja. Dla mnie budynek był przytłaczający - ciężkie meble, barokowe freski - taka nudna, poważna wersja Madonna Inn.

- Chciałbyś tu mieszkać? - spytałam.

- Bardzo - odparł.

Nie wiedziałam, żartuje czy nie.

O zachodzie słońca wróciliśmy do Cambrii i zameldowaliśmy się w hotelu Cambria Pines. Domki przywodziły mi na myśl letni obóz; w takiej chatce mógłby mieszkać Teddy Roosevelt.

Następnego ranka wstaliśmy wcześniej, zjedliśmy śniadanie w miasteczku. Znowu zadzwoniłam do biura, ale nikt nie odbierał. Zostawiłam wiadomość, że zadzwonię później. Miałam dziwne przeczucie, że Lori tam jest, tylko nie odbiera.

- Mam nadzieję, że się nie gniewa, że tak po prostu wyjechałam. Troy wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli, to co?

Jego głos wydał mi się dziwny. Zauważyłam to już wcześniej, ilekroć wspominałam Lori. Powiedział, że zna ją przelotnie, ale nagle zaczęłam się zastanawiać, czy w tym nie ma czegoś więcej.

- Co sądzisz o Lori? - zapytałam. - Nigdy mi tego nie powiedziałeś. Znowu wzruszenie ramion.

- Wydaje się w porządku, ale nie znam jej dobrze.

- Poznałeś jej okropnego chłopaka?

- Nie, nawet nie wiedziałem, że kogoś ma.

Dałam spokój. Nawet jeśli było coś więcej, teraz to i tak nie miało znaczenia.

Krajobraz w drodze do Carmel zapierał dech w piersiach. Jasne niebo, powykręcane cyprysy i wąska wstążka drogi wijąca się po górskim zboczu.

Kiedy dojechaliśmy do Big Sur, poprosiłam, żeby zjechał na pobocze. Wysiadłam, podeszłam do krawędzi urwiska. Pode mną woda była jak rozlane farby olejne - turkus, błękit, lawenda, wszelkie odcienie zieleni. Chciałam się w nią rzucić, pochłonąć ją, chciałam krzyczeć przez wiatr, wzbic się do chmur, wirować z całym światem.

Troy pstryknął mi zdjęcie na krawędzi urwiska. Zrobiło mi się smutno na myśl, że kiedy je wywoła, to wszystko będzie już przeszłością, wspomnieniem.

W końcu dojechaliśmy na przedmieścia Carmel.

- Kiedy byłam mała - powiedziałam - myślałam, że miasto nazywa się Karmel, nie Carmel, i że jest całe zrobione z karmelu. Obawiam się, że się rozczaruję.

Uśmiechnął się.

- Niepotrzebnie.

Wjechaliśmy do miasteczka i po raz pierwszy zobaczyłam urocze domki, uliczki z kocimi łbami, ołowiane szybki i geranie na wszystkich latarniach. To naprawdę było karmelowe miasteczko.

Zatrzymaliśmy się w motelu Jasia i Małgosi; małe domeczki przypominały chatki z bajki. Kochaliśmy się całe popołudnie. Potem, tuż przed zmierzchem, Troy powiedział:

- Czas na nas, Piękna. Chcę ci coś pokazać.

Ubraliśmy się i pojechaliśmy polną drogą. Wydawało się, że to koniec świata. Troy zaparkował i poprowadził mnie wąską stromą ścieżką. Zrobiło się zimno, narzucił mi na ramiona swoją marynarkę.

Ścieżka kończyła się nad oceanem. Na plaży była już mniej więcej setka ludzi; stali w grupach, siedzieli na kocach, spokojnie patrzyli na wodę.

- Tutejsza tradycja - wyjaśnił. - Wszyscy tu przychodzą oglądać zachód słońca.

Wziął rennie za rękę i w milczeniu dołączyliśmy do pozostałych.

Następnego ranka wstaliśmy wcześniej i poszliśmy na plażę. Nie była już dostojna, tylko pogodna, zwyczajna, pełna żywych kolorów. Ścigaliśmy się po piasku. Troy dał mi wygrać.

Później poszliśmy do miasteczka i włączyliśmy się do sklepikach. Kupił mi wodę jaśminową i kubek z napisem CARMEL, a ja jemu - koszulę z niebieskiego jedwabiu i kilka moich ulubionych płyt Randy'ego Newmana.

Przez cały ranek co chwila sprawdzałam na komórce, czy nie mam wiadomości. Było kilka od klientów, ale nic od Lori, a ilekroć dzwoniłam do agencji, włączała się automatyczna sekretarka.

- Gdzie ona jest? Dlaczego nie odbiera? Troy wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Myślisz, że powinnam wracać? Spojrzał na mnie.

- A chcesz?

Odepchnęłam od siebie wyrzuty sumienia.

- To ostatnia rzecz, której chcę.

Nie martwiłam się tym więcej. Spacerowaliśmy po miasteczku, trzymaliśmy się za ręce, czasami rozmawialiśmy, czasami milczeliśmy.

- Ciągłe przypomina mi się nasza pierwsza randka - powiedziałam. - Tamten lunch w Fisher's Market. Nie mieliśmy sobie absolutnie nic do powiedzenia. Zadziwiające, że zaszliśmy dalej niż tamtego dnia.

Zatrzymał się, spojrzął na mnie.

- Mnie to nie dziwi - powiedział miękko.

Po lunchu wybraliśmy się na przejażdżkę. Było wspaniale, zbyt pięknie, by o tym rozmawiać. Siedzieliśmy w milczeniu, gdy mijały nas niebo, ziemia, morze, błękity i brązy.

Po południu włączyliśmy się po Monterey. Teraz to okolica turystyczna, pełno tu sklepów i restauracji na świeżym powietrzu, lecz atmosfera ciągle przepełniona jest smutkiem z dawnych czasów.

Przypomniały mi się Domy Marzeń.

Opowiedziałam Troyowi o domu rodziców, o tym, jak go nienawidzę.

- Któregoś dnia ich stamtąd zabiorę. Kupię im apartament nad laguną. Uśmiechnął się.

- Wiesz co, załatw mi serial, a osobiście kupię im ten apartament. Uścisnęłam jego dłoń. Szliśmy w milczeniu.

- Więc o tym marzysz? O serialu? Wzruszył ramionami.

- Ja i wszyscy inni. - Po chwili dodał: - Przynajmniej wyciągnąłby mnie z tarapatów.

Zaintrygowało mnie to.

- Jakich tarapatów?

- Nic ważnego - zbył mnie lekko. - Powiedzmy, że masz na mnie dobry wpływ. Teraz, kiedy cię poznałem, chciałbym zmienić kilka rzeczy w moim życiu.

Westchnęłam.

- Co się stało?

- Zawsze jesteś taki tajemniczy. Czasami mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam.

Uśmiechnął się pod nosem.

- A co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Roześmiał się.

- Cóż, urodziłem się w Chicago, mieszkałem w bloku przy torach, chodziłem do szkoły. Nic ciekawego.

Ścisnęłam go za ramię.

- Dalej. Lubiłeś szkołę?

- Nienawidziłem. - Umilkł na chwilę. - Było tam pełno łobuzów. Zastraszali młodsze dzieci. Potem ojciec nauczył mnie, jak się bić i było już lepiej.

Przypomniała mi się inna historia, jedyna, jaką do tej pory powiedział mi o ojcu; zó go zepchnął ze schodów.

- Jaki on był? Twój ojciec?

- Niezbyt dobrze go pamiętam. Głównie to, że pił. - Jego głos stwardniał. - Umarł, kiedy miałem dziesięć lat.

Wróciłem ze szkoły i mama powiedziała, że musimy gdzieś iść. Myślałem, że podpadłem w szkole, ale poszliśmy do fabryki, w której pracował. Położyli go na stole. Spadł z podnośnika i skręcił sobie kark.

Zdjął sygnet z topazem, który zawsze nosił, i podał mi. Był ciepły.

- To jego - powiedział. - Jedyne, co po nim mam.

Dotknęłam go, usiłowałam sobie wyobrazić poprzedniego właściciela, ale nie czułam nic, tylko ciepło Troya.

Objęłam go i długo tuliłam.

Wróciliśmy do Carmel. O zachodzie słońca znowu poszliśmy na plażę, potem na kolację. Kochaliśmy się. Było lepiej niż przedtem. Wydawało się, że zbliżyliśmy się do siebie jeszcze bardziej.

- Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałaś - szepnęłam. Pocałował mnie w czubek głowy.

- Nie ma sprawy. Nie było tak źle. Może któregoś dnia zbiorę się na odwagę i opowiem ci o Fanny.

- O Fanny?

Imię zawisło w ciszy.

- Dlaczego nie teraz?

Usiadł. W ciemności ledwo go widziałam.

- Proszę - powiedziałam. - Proszę - powtórzyłam. - Chciałabym usłyszeć o Fanny.

- No dobrze - mruknął po dłuższej chwili. - Fanny była moją młodszą siostrą. Urodziła się, kiedy miałem cztery lata.

Wiesz, to był taki dzieciak, za którym wszyscy przepadają. Miałem świra na jej punkcie, zajmowałem się nią, kiedy

mama była zajęta. Wszędzie z nią chodziłem po szkole, pomagałem w lekcjach. - Ściszył głos. - Kiedy dorosła,

kręciło się koło niej mnóstwo chłopaków. Zawsze wybierała niewłaściwych. Ostrzegałem ją, ale mnie nie słuchała.

Wpadła, bała się powiedzieć mamie. Mnie też nie powiedziała. Pojechała z przyjaciółką na skrobankę. Coś poszło nie tak i umarła. Miała szesnaście lat.

Rozplakał się. W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak płakał.

- Byłem tam - szlochał. - Patrzyłem, jak się wykrwawia na śmierć. I nie mogłem nic zrobić, do cholery.

W kółko to powtarzał: gdyby wiedział, zrobiłby coś. Powstrzymał ją. Pogadał z chłopakiem. Dał jej pieniądze na lepszego lekarza. Nie wiedziałam, co powiedzieć, tylko go tuliłam.

W końcu się uspokoił.

- Przepraszam, czy możemy o tym zapomnieć?

- Nie możemy - odparłam. - Przez to kocham cię jeszcze bardziej.

Zapytałam, czy ma jej zdjęcie. Zapalił światło, sięgnął po portfel. Poczułam gulę w gardle, gdy spojrzałam na fotografię. Fanny była taka ładna, taka pogodna, z ciemnymi długimi włosami, w obcisłym żółtym sweterku. Jedna z tych dziewczyn, na widok których każdy się uśmiecha.

Leżeliśmy wtuleni w siebie, bez słowa. Zanim zasnęliśmy, powiedziałam:

- Opisz swój idealny dzień. Ścisnął mnie za rękę i szepnął:

- Dzisiaj.

Następnego ranka nasza cudowna wycieczka się skończyła. Spakowaliśmy się, zapłaciliśmy za hotel i zaraz po śniadaniu ruszyliśmy do Los Angeles. Kiedy po raz ostatni jechaliśmy brukowanymi uliczkami, wypstrykałam całą kliszę przez szyby samochodu.

Troy zaproponował, żebym zdrzemnęła się podczas jazdy, ale wyjaśniłam, że boję się spać w samochodzie, zwłaszcza na serpentynach. Rozbawiło go to.

- Jestem kaskaderem - przypomniał mi.

Więc położyłam się na tylnym siedzeniu i zamknęłam oczy. Następne, co usłyszałam, to jego słowa:

- Pobudka, Piękna. I już byliśmy w Santa Barbara.

W Los Angeles odwiózł mnie pod dom. Zapytałam, czy później wpadnie i zostanie na noc, ale powiedział, że musi załatwić kilka spraw. Całowaliśmy się i całowali, i już było po wyprawie.

Rozpakowałam się, wzięłam prysznic i pojechałam prosto do agencji. Kiedy weszłam, na biurku czekała wiadomość od Lori. Napisała, że wyszła coś załatwić, a później jedzie prosto do domu. Zobaczymy się jutro. Widać było, że przychodziła tu codziennie. Wszystko załatwione, w idealnym porządku: poczta posegregowana, faksy poukładane. Postanowiłam i tak chwilę zostać, wykonać kilka telefonów, wciągnąć się z powrotem do pracy. Tak minęła godzina. Już miałam wychodzić, gdy usłyszałam kroki w holu. Rozległo się pukanie. Otworzyłam.

Na progu stał John Bradshaw. Był bardzo speszony, nawet na mnie nie patrzył.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli to możliwe. - Wyciągnął rękę z kartką. - Dostałem ten list -- powiedział. - Nie wiem od kogo.

Rzuciłam okiem. Dotyczył Troya; był pełen absurdalnych, sprzecznych oskarżeń: że jest płatnym mordercą na usługach mafii, handlarzem narkotyków, szpiegiem poszukiwanym przez FBI.

- Nie wiedziałem, co z tym zrobić - ciągnął John. - Uznałem, że najlepiej będzie porozmawiać z tobą. Nie chciałem sprawić ci przykrości, ale uznałem, że powinnaś wiedzieć, na wypadek, gdyby coś z tego okazało się prawdą. Bez słowa oddałam mu list. Opuścił wzrok i wyszedł.

Wróciłam do gabinetu. Drżałam. Nie wiedziałam, kto mógłby napisać coś takiego, kto tak bardzo nienawidzi Troya. Albo mnie.

Wróciłam do domu. Zadzwoił Troy. Poczekałam, aż włączy się sekretarka automatyczna.

- Zmieniłem zdanie - powiedział. - Za bardzo za tobą tęsknię, by nie widzieć cię aż tak długo.

Zrobiło mi się słabo na dźwięk jego głosu, ale nie chciałam go widzieć. Nie dziś. Nie zdołałabym ukryć poruszenia i w końcu powiedziałabym mu o liście.

Nie wytrzymałam długo. Jeszcze nie skończył mówić, a już podniosłam słuchawkę i poprosiłam, żeby przyjechał. To było cudowne spotkanie, jakbyśmy nie widzieli się trzy miesiące, nie trzy godziny. Ledwie go zobaczyłam, zupełnie zapomniałam o liście. Kiedy szliśmy spać, powiedział:

- Mam dla ciebie prezent.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął pudełeczko. W środku był sygnet jego ojca.

## **Lori**

Duszę się. Ani słowa, przez cały weekend ani słowa. W sobotę idę do niego. Samochodu nie ma. Jadę do Puszki; stoi przed jej blokiem. Obserwuję z krzaków. Wychodzą razem, trzymają się za ręce, między nimi nie ma ani kawałka przestrzeni. Jej głos dźwięczy jak skalpel, który rani mi serce.

Odjeżdżają, wracam do siebie. Muszę zachować spokój, na razie nic nie mogę zrobić. Muszę zachować spokój, przeczekać. To minie, nie zabierze mi Troya.



Niedzielne popołudnie, nie dzwoni. Niedzielny wieczór, nie dzwoni.

Poniedziałek rano. Nie wytrzymam tego dłużej, muszę wiedzieć. Idę do biura. Puszki nie ma. Na sekretarce świeci czerwona lampka. Cześć, Lori, to ja. Coś mi wypadło i przez kilka dni nie przyjdę do pracy.

Wyrywam kabel ze ściany. Kłamliwa suka, uważa mnie za idiotkę?

- Dzień dobry, pani Brown, tu Lori Max z agencji. Klient ma problem i muszę koniecznie porozmawiać z Pandorą. Czy może jest u państwa w Palm Springs?

Nie mogę się ruszyć. Carmel, zabrał ją do Carmel. Jak mógł? To była nasza podróż, nasze najpiękniejsze wspólne chwile. Dzień Pamięci, motel Jasia i Małgosi, zachody słońca na plaży; nigdy nie byliśmy równie szczęśliwi.

Nie, na pewno jej tam nie zabrał, jej stara durna matka coś popieprzyła.

Jadę pod jej dom. Samochodu nie ma.

Ciało mi płonie.

Nie mogę się ruszyć, nie mogę wstać. Odplączę się jej. Zniszczę go. Nie oddam jej Troja, nie uda jej się to.

Głowa mnie boli, jakby wybuchały w niej miny. Pojadę do Carmel. Odnajdę ich.

Ale nie mogę myśleć, jestem taka zmęczona, że nie mogę myśleć.

Jadę do agencji. Tam jestem spokojniejsza. Uspokój się, na razie nic nie rób. Lepiej siedzieć cicho, robić co do ciebie należy. Nie dać jej szansy, żeby mnie zwolniła.

Przenoszę wszystko od siebie do gabinetu Puszki. Siadam za jej biurkiem, prostuję nogi. Tak powinno być, zawsze.

Wielki gabinet, wielkie biurko, wielkie okno - wszystko dla mnie.

Pracuję, robię to lepiej niż ona. Klienci dzwonią.

- Zastałem Pandorę?

- Nie, wyjechała na kilka dni, ale chętnie pani pomogę. Działa. Jestem wspaniała. Wszyscy to widzą. Dzwoni cały czas, ale czekam, aż włączy się sekretarka.

- Lori, to ja. Jesteś tam? Odbierz, jeśli tak. - Nie odbieram. To głupota, może mnie za to wylać. Ale dłużej tego nie zniosę. Nie jestem twoją niewolnicą, Puszeko. Nie jestem twoją pięprzoną niewolnicą i nie będę odbierała twoich pięprzonych telefonów.

Na schodach spotykam Johna Bradshawa. Poszarzał, skurczył się. I dobrze. To mój list tak go załatwił.

- O, pani Max... Czy jest pani Brown?

- Nie, nie ma. Wyjechała do Carmel, z przyjacielem.

Kuli się jeszcze bardziej. Wie, co to za przyjaciel.

- Wie pani może, kiedy wróci?

- Mówiła, że w czwartek po południu.

- Czy podczas jej nieobecności ktoś zajmuje się agencją? Tak, ty draniu. Lepiej niż ona.

- Tak, wszystko w porządku.

- Gdyby miała pani jakieś problemy, proszę dać mi znać.

Żałosny stary dziad. Nie potrzebuję twojej pomocy, ty potrzebujesz mojej.

Zastanawiam się, czy nie napisać kolejnego listu, podsunąć więcej szczegółów, ale na razie to wystarczy. Stary coś zrobi, widzę to po jego oczach. Jest stracony, zniszczyłam go moim listem, ona go zniszczyła. Nadal jest szansa, jeszcze nie wszystko stracone.

Dom. Cisza. Tonę w ciszy, nie mogę tego wytrzymać.

Kasetka Troya w dolnej szufladzie, myślał, że o niej nie wiem. Tabletki: białe, żółte, zielone. Jestem sprawiedliwa, biorę po kilka z każdego rodzaju. Niech sufit się nie wali, niech cisza mnie nie stłamsi.

Wychodzę, wsiadam do samochodu, powietrze nie mieści mi się w płucach.

Jadę do Shirley's. Stoję przy barze. Dookoła wiruje muzyka. Chciałabym, żeby mnie wchłonęła. Nigdy nie byłam tu sama, Troy mi nie pozwalał. Wiecznie zazdrosny o dziewczyny, o to, co mogłyby mi dać.

Uśmiechają się, dostrzegły mnie, kręcą się koło mnie.

- Mogę postawić ci drinka? Pewnie. Napij się, baw się.

Podchodzi dziewczyna. Ciemnorude włosy, zabójcza, drogie ciuchy. Niski głos. Może to transwestyta? Nie, to nie są męskie ręce. Umieją dotykać, wiedzajak.

- Nie widziałam cię tutaj. Skąd jesteś?

- Z sąsiedztwa. Po prostu nigdy nie byłam tu sama.

- A dlaczego dzisiaj?

- Żeby o czymś nie myśleć.

- O czymś? Czy może o kimś? Ręce ozywają, żyją własnym życiem.

- Umie sprawić, że nie będziesz myślała o niczym. I o nikim.

Idę za nią do łazienki. Torebeczka pigułek w jej staniku. Pachnajej perfumami. Połykam. Mówi:

- Mieszkam tu niedaleko.

Ma małą czerwoną mazdę. Znałam chłopaka w szkole średniej, też miał małą czerwoną mazdę. Pieprzyliśmy się na tylnym siedzeniu. Nie było dobrze, nie było wygodnie. Dziewczyna jest wysoka, na kierownicy będzie bolało.

Prowadzi. Dotyka mnie, ale to w porządku, tyle może.

- Nie mogę się doczekać, Lori, po prostu nie mogę. - Sapie. Jedź za szybko, po niewłaściwej stronie jezdni. - Nie przejmuj się, wiem, co robię. Mogłabym jeździć jako kaskader.

Nic mi nie mów o kaskaderach, wiem o nich wszystko.

Podjeżdżamy pod jej blok, przy Hayworth. Śmierdzi starością. Jest mi zimno, co ja tu, do cholery, robię? Troy, przyjeżdż po mnie, przyjeżdż jak wtedy, wal pięściami w drzwi i mnie stąd zabierz.

Wchodzimy na górę. Prowadzi mnie do siebie. Mieszkanie jak rozkładówka z „House Beautiful”. Otaczają mnie wianki i świece.

- Podoba ci się, Lori? Mam nadzieję, że tak. Kolejne tabletki, tym razem ze srebrnej tacy.

Odpywam, jadę tęczę. Szkło na poboczu, trzeba uważać. Mogłabym jeździć jako kaskader. Jadę za szybko, wypadam z toru. Szkło rozpryskuje się na kawałki. Krew wije się jak wata cukrowa, kiedy zginam nogę, maluje wzory. Jestem jak hydrant, ludzie podchodzą, tańczą w mojej krwi. Uśmiecha się, głaszcze mnie po głowie.

- Miałaś dobry odjazd?

Zaczynam płakać. Jest dobra. Matka nigdy mnie tak nie głaskała. Głaszcze. Teraz ramiona, coraz niżej. W jej sypialni wszystko do siebie pasuje.

Na początku jest dobrze, ale potem wszystko odpywa. Nic z tego. Nie chcę jej, chcę Troya. Próbuje dalej, jęczy. Okłamała mnie - powiedziała, że przy niej zapomnę, ale niczego nie zapomniałam.

Jestem zbyt zmęczona, żebyś się sprzeciwić, lepiej przeczekać.

Kwaśne ranne powietrze. Leży obok mnie, uśmiecha się przez sen. Ma wielkie piersi. Pognieciona pościel szeleści jak szept. Muszę stąd uciec.

Ubieram się bezszelestnie. Wdycham zapachy: jej perfumy, jej mieszkanie, jej wianki.

Pochylam się nad nią, zanim wyjdę. Starła się, przyznaje.

Odwraca się. Nie chcę jej budzić, nie chcę widzieć jej otwartych oczu. I tak nie pamiętam jej imienia. W drodze do drzwi zabieram popielniczkę.

Lori, odbierz, jeśli tam jesteś. Chyba cię nie ma? Chciałam tylko powiedzieć, że wracam jutro po południu. Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

W czwartek po południu jestem pod domem Puszeki. Parkują za rogiem, czekam w krzakach. Druga, jej nie ma, odjeżdżam, wracam o trzeciej.

Kwadrans po czwartej jest samochód. Opuścili dach. Troy prowadzi, śmieje się, puścił kierownicę, jedzie środkiem ulicy. Na tylnym siedzeniu mnóstwo paczek, to pieprzone sanki Mikołaja. Widzą jego walizkę, którą kupiłam mu na nasz wyjazd do Meksyku. Nie do wiary, że ją zabrał, kiedy jechał z nią. Mam ochotę walić go nią w głowę, walić, aż padnie trupem.

Zatrzymuje samochód. Śmieją się, całuje ją.

Odwracam się i odchodzę.

Dzwonią do niego, nie mogą się powstrzymać, jestem na siebie wściekła, w kółko dzwonię. Płaczą, łyż w słuchawce.

Dzwonią i dzwonią, aż odbiera. Wiem, że on wie, że to ja.

Nie pytam, gdzie był. Mówią tylko, że musimy porozmawiać. I to zaraz. Bardzo spokojnie, bez łez. Mówi, że teraz nie może, że jest zajęty, że zadzwoni wieczorem, może jutro się zobaczymy.

Mówię: „w porządku”. Bardzo rozsądnie, bardzo spokojnie.

Jestem u niego dziesięć minut później. Jeśli mnie zobaczy, mój widok zniszczy zakłęcie Puszeki, na pewno, wiem to, nie jest na tyle silna, by utrzymać go przy sobie. Podchodzę do drzwi. Walę w nie, walę, będę tak waliła całą noc, póki mi nie otworzy.

Słyszę, jak się zbliża. Otwiera powoli, wie, kogo zobaczy.

- Dlaczego przyszedłeś? Mówiłem ci, że to nieodpowiedni moment. Widzi mnie, ale wyraz jego twarzy się nie zmienia.

Bałagan. Rozpakowuje się. Wszędzie ubrania. Nowa koszula, niebieski jedwab, na łóżku. To ona ją kupiła.

Nienawidzę jej.

Mieszkanie wydaje się inne. Kiedyś to był mój dom, teraz już nie. Siadam w jego, nie moim, skórzanym fotelu.

Mówię, że musimy porozmawiać.

Rozkłada ręce jak aktor z *Ojca Chrzestnego*:

- Czego ty chcesz? - Uśmiecha się smutno. - To koniec, Lori.

- Nie dla mnie - mówię.

Wstaje, chodzi po pokoju. Jest taki piękny, tylko o tym mogę myśleć. Przesuwa rękami po włosach.

- Przykro mi, Lori, dużo o tym myślałem. Musimy z tym skończyć. Ćwiczył to. Jechał z nią samochodem i to ćwiczył, powtarzał sobie w myślach.

Mówię:

- Pieprzony sukinsyn. Wzdycha.

Patrzę na niego, na nieznanomego. Dziesięć dni temu stał pod moimi drzwiami, płakał, krzyczał, że nie może beze mnie żyć. Co się stało, co ona takiego powiedziała, co mu zrobiła?

- Nie rozumiesz? Nie pasujemy do siebie.

Wiozłam go na pogotowie, kiedy go pobili, oddałam mu pensję, żeby kupował sobie ciuchy, sprzątałam jego rzygi, kiedy się upijał. A teraz nagle do siebie nie pasujemy.

- A ona tak? Ona do ciebie pasuje?

- Tak.

- Oszalałeś. - Wypluwam te słowa. - Znam cię. Znudziś się nią. Daję wam dwa tygodnie. Wrócisz do mnie.

- Przykro mi, Lori - mówi - ale tak nie będzie.

Płaczę. Pytam, co zrobiłam, co takiego straszego zrobiłam, czym na to zasłużyłam. Odwraca się.

- Za dużo ode mnie wymagasz.

Pokój wypełnia się czerwienią. Najpierw dywan, potem ściany, stół, naczynia, długopisy przy telefonie. W końcu nawet Troy jest cały czerwony, jakby unurzany we krwi.

Chcę go zabić.

- A ona? Ona nie wymaga za dużo? Wzrusza ramionami.

- Może i tak. Tylko że jej chcę to dać.

Zaczynam wrzeszczeć, jestem jak duch wypuszczony z butelki, gnam przez mieszkanie, zrzucaam obrazy ze ścian, przewracam stoliki. Teraz i ja jestem czerwona; witaj w klubie, krew na moich dłoniach. Chcę ściągnąć wszystko dokoła, zbudować stos na środku pokoju, zagrzebać to, co powiedział, ukryć pod stertą skorup, żeby nikt tego nie odnalazł.

Nie rusza się, nie biegnie za mną, tylko stoi i patrzy. Thukę wszystko, ale hałas jest idiotyczny w tej ciszy.

Przestaję. Nieruchomieję. Patrzę na niego. Jest spokojny. Lituje się nade mną.

- Przykro mi, Lori. Ale już tego nie chcę. Dla własnego dobra, uwierz mi.

Jego głos mnie zabija. Wierzę mu.

Prowadzi mnie do drzwi, otwiera je. Kładzie mi ręce na ramionach. Pochyla się. Całuje mnie w policzek. Na pożegnanie.

Jestem w środku, jeszcze przez sekundę z nim. A potem sama. Za drzwiami.

Kiedy byłam mała, myślałam, że śmierć to ściana. Wyobrażałam ją sobie jako wielką ścianę. I teraz otacza mnie wielki mur. **Śmierć.**

Nie wiem, jak się tu znalazłam, co poszło nie tak.

Nie mogę zostać. Daję sobie spokój. Nigdy nie sądziłam, że tak się to skończy. To wszystko się nie liczyło, to tylko poprzednie życie. Teraz wszyscy jesteśmy ścianą.

Pakuję się w kilka minut. Zabawne, właściwie niczego nie chcę ze sobą zabierać. Po raz ostatni drapuję chustę na telewizorze, kładę suknię od Prądy na łóżku, na niej stawiam Oscara Gene'a. Niech to wszystko tu leży i gnije, nie chcę tego.

Wsiadam do samochodu. Dokąd jechać? Może do Seattle, zatrzymam się u Suzanne. Nie, może nie tak daleko.

Zresztą to i tak bez znaczenia.

Przejeżdżam ulicą matki. Powinnam jej powiedzieć, że wyjeżdżam. Zwalniam i zaraz przyspieszam. Nie mogę, nie chcę jej nigdy więcej widzieć. Obserwuję dom w bocznym lusterku, wyobrażam sobie, że się wali. A matka w szlafroku stoi w saloniku. Jadę Sunset, mijam miejsca, które znałam.

Coraz bliżej agencji. Przypominam sobie, jak zobaczyłam ją po raz pierwszy. Ogłoszenie w *./Variety*: Asystentka do agencji artystycznej. Wstałam rano, przymierzyłam wszystkie ciuchy, nic się nie nadawało. Zabrałam matce pieniądze z portfela, pojechałam do Macy's, kupiłam krótką spódniczkę i bluzkę. Drżałam, kiedy się malowałam, tak bardzo zależało mi na tej pracy.

Mknę Sunset, wypatruję agencji. Tabliczka na parkingu: TYLKO DLA LOKATORÓW. Obiecuję sobie, że kiedyś i dla mnie. Ćwiczę promienny uśmiech, powtarzam sobie, co powiedzieć, żeby dostać tę pracę. Lista nazwisk, jest:

AGENCJA ARTYSTYCZNA GENE'A BROWNA. Głęboko nabieram powietrza, naciskam guzik.

To miał być początek, wspaniały początek wszystkiego.

Puszki nie ma. Wjeżdżam na jej miejsce, tylko dla lokatorów. Wchodzę do biura, sprzątam swoje biurko, sprawdzam szuflady. Jest faks od Sweet Productions.

Pakuję się, tyle lat, a wszystko mieści się w jednej torbie. Wchodzę do gabinetu Puszki, zaglądam do jej szuflad.

Znajduję fotosy, zabieram jeden.

Piszę liścik: *Mam dosyć, wyjeżdżam.*

Stoję przy drzwiach, rozglądam się. Po raz ostatni.

Głos w holu.

- Przepraszam, czy możemy chwilę porozmawiać? John Bradshaw.
  - O ile mi wiadomo, spotyka się pan z panią Brown. Jeszcze jeden głos. Troy.
  - Tak, dobrze panu wiadomo. - Jest rozbawiony. Wstrzymuję oddech.
  - Mam wrażenie... nie wiem, jak to powiedzieć... Ostatnio dotarły do mnie różne wieści na pana temat... Co mogłoby, powiedzmy, ostudzić pańskie zapęły wobec pani Brown? O ile wiem, chciałby pan występować w reklamach. Może mógłbym coś zrobić w tej sprawie?
- Nie mogę oddychać. Czekam na odpowiedź. Wiszę na linie nad bezdenną przepaścią. Troy się śmieje.
- Wielkie dzięki, panie Bradshaw, doceniam pana ofertę, ale niestety, na to już za późno.
  - Jak to? - Ostre nuty w głosie Bradshawa.
  - No cóż - odpowiada Troy - w weekend pojechaliśmy z Pandorą do Las Vegas. I - chichocze, świetnie się bawi - trochę nas poniosło. - Jestem zimna, lodowata, czekam. - Pobraliśmy się.
- Patrzę na ścianę. Jest taka wysoka, sięga mi nad głowę, nic poza nią nie widzę, nie ma nieba, nie ma chmur, jest tylko zimny szary kamień.

## **Gary**

Nie widziałem Pandory, odkąd wybiegłem z jej biura, w lutym. Nie pozwalałem sobie nawet na myślenie o niej, chociaż czasami, przyznaję, łapałem się na tym, że jestem ciekaw, co u niej. W supermarkecie ukradkiem zerkałem na brukowce; może będą kolejne zdjęcia z Johnem Bradshawem? Nie było i nic o niej nie wiedziałem.

Aż pewnej nocy, na początku czerwca, miałem sen, bardzo erotyczny, z Pandorą przy wydmach w Idyllwind. Przez cały ranek, ku mojemu zdenerwowaniu, sen powracał, stawał się coraz bardziej rzeczywisty, spychał wszystkie inne myśli na bok. Kiedy tego popołudnia zadzwoniła mama i powiedziała, że ma wiadomości o Pandorze, wcale się nie zdziwiłem.

- Nie wiem, czy już słyszałeś - zaczęła. - Dziś rano spotkałam w sklepie Meg Brown i powiedziała mi, że Pandora wyszła za mąż. Przez chwilę nie byłem w stanie wydusić słowa.

- Za kogo? - zapytałem w końcu. - Nie wiesz, czy to starszy facet? Agent?

- Chyba nie - usłyszałem. - Podobno to kaskader, bardzo przystojny. W zeszły weekend przywiozła go do domu. Meg mówi, że jest czarujący.

Odłożyłem słuchawkę i długo siedziałem bez ruchu. Zawsze wiedziałem, że to kiedyś nastąpi, że Pandora Brown wyjdzie za mąż. Od dawna się tego spodziewałem. A kiedy to się w końcu stało, nie mogłem uwierzyć.

Przynajmniej nie wyszła za Bradshawa. To mnie ucieszyło. Zawsze wierzyłem, że kiedy przyjdzie co do czego, nie będzie sobie aż tak mydliła oczu. Nic nie wiedziałem o kaskaderze, ale miałem nadzieję, że wyszła za niego z miłości.

Byłem ciekaw, czy sama zadzwoni i mi o tym powie. Dni mijały, nie odzywała się. Aż mniej więcej tydzień później zadzwonił telefon.

- Cześć, Gary.

Wydawało mi się, że w jej głosie słyszę najróżniejsze emocje.

- Podobno trzeba ci gratulować - powiedziałem.

- Owszem. Wcale nie miałam zamiaru trzymać tego w tajemnicy, ale wszystko stało się tak szybko. Pojechaliśmy na weekend do Las Vegas, mijaliśmy kaplicę ślubów i proszę, jesteśmy małżeństwem.

To bardzo w jej stylu.

- Nadal nie mieści mi się to w głowie. - Zaśmiała się nerwowo. - To szaleństwo, ale chyba się przyzwyczaję. W każdym razie, chciałabym, żebyś poznał Troya - paplała dalej. - Ma fioła na punkcie samochodów, właśnie tym się zajmuje, jest kierowcą, kaskaderem. Nie wiem, cóż z motocyklami, pewnie też. Mielibyście kupę zabawy, jeżdżąc razem.

Cisza. Czekałam, aż powie coś jeszcze, coś bardziej osobistego. Była to nasza pierwsza rozmowa od tamtej kłótni i ucieszyłyby mnie jakieś przeprosiny. Ale nic takiego nie powiedziała.

- No to wszystkiego najlepszego - mruknąłem chłodno.

- I wzajemnie. Co u Sary?

Powiedziałem, że wszystko w porządku, ale muszę kończyć, bo zaraz mam spotkanie.

- Więc do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę. A więc to tak, smutny, zwykły koniec mojego związku z Pandorą Brown. Siedziałem przy biurku tak przybity, że nie mogłem się niczym zająć.

Po południu tego samego dnia znów zadzwonił telefon.



- Gary, to jeszcze raz ja.
  - Tak? - zapytałem chłodno. - Czym mogę służyć? Chwila ciszy.
  - Widzisz, ostatnio mam trochę problemów w biurze. Lori odeszła, nie mam pojęcia dlaczego. Nawet się z nią nie widziałam, odkąd wróciliśmy z Troyem z Vegas. Zostawiła tylko kartkę, że wyjeżdża, i zniknęła.
  - No to pech - mruknąłem. Naprawdę niewiele mnie obchodziło, co się stało z Lori Max.
  - Nie mam pojęcia, gdzie jest - ciągnęła Pandora zmartwiona. - Byłam u niej, ale dozorczyńni powiedziała, że stamtąd też się wyniosła. Dzwoniłam do Suzanne, jej przyjaciółki, tej, od której wynajmuję mieszkanie, ale o niczym nie wie.
  - Na pewno nic jej nie jest - mruknąłem.
  - Mam nadzieję. - Westchnęła. - Mam nadzieję, że wkrótce się odezwie. W każdym razie, bez niej w agencji zapanował chaos. Mam coraz więcej pracy, a dzisiaj po południu wysiadły wszystkie komputery.
  - Przykro mi - stwierdziłem.
  - Nikt nie wie, co się stało. Muszę wydrukować ważne dokumenty, a nawet skaner nie działa.
  - Zadzwoń do swojej firmy komputerowej - poradziłem. - Tam na pewno chętnie ci pomogą.
- Westchnęła.
- No, wiem... ale wolałabym, żebyś to ty wpadł i rzucił na wszystko okiem.
  - Ja? Nie sądzę. Jesteś mężatką - przypomniałem jej kwaśno. - Chyba to mąż powinien wyratować cię z opresji?
- Speszyła się.
- Troy nie jest zbyt dobry w takich sprawach.
- Puściłem to mimo uszu, ale byłem naprawdę wściekły. Przypomniało mi się, ile razy wyciągałem Pandorę z tarapatów i wydało mi się idiotyczne, że nawet teraz, kiedy wyszła za mąż, mimo że nie odzywaliśmy się do siebie przez kilka miesięcy, nadal mam bawić się w bohatera.
- Przykro mi - rzuciłem w słuchawkę - nie mam czasu. - I rozłączyłem się.
- Przez całe popołudnie myślałem jednak o tej rozmowie, zastanawiałem się, co tak naprawdę się za nią kryje. Nie byłem jej potrzebny, żeby naprawić komputer, to mógł zrobić każdy. Chodziło o coś więcej. W końcu przyszło mi na myśl, że może w ten sposób chce odnowić nasze kontakty, może to jej gałązka oliwna. Wcale nie byłbym tym zaskoczony. Teraz, kiedy wyszła za mąż, chce naprawić stosunki ze starym przyjacielem.

I miałem rację. Około trzeciej telefon znowu zadzwonił.

- Słuchaj, Gary - mówiła szybko - zdaję sobie sprawę, że nie rozstaliśmy się w najlepszej atmosferze. I wiem, że miałeś rację, sporo racji... Ale minęło już pięć miesięcy i jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym odzyskać mojego Kochanego Kumpla.

Westchnąłem.

- Dobrze, dobrze - powiedziałem. - Wpadnę po południu i rzucę okiem na twój cholerny komputer.

Przed piątą zajrzałem do agencji. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Bałem się, że poczuję się niezręcznie, widząc Pandorę w nowych okolicznościach, ale wybiegła z biura i rzuciła mi się na szyję.

- Dzięki, że przyjechałeś-powiedziała.

Odwzajemniłem uścisk. To prawda, dobrze było znowu ją zobaczyć.

Miała rację co do agencji - totalny chaos. Telefony dzwoniły, fakсы wypluwały kolejne kartki, na podłodze piętrzyły się stosy niedoręczonych fotosów. Na miejscu Lori pracowała nowa dziewczyna, studentka ze szkoły filmowej, ale widać było, że to wszystko ją przerasta. Nie pojmowałem tego. Nigdy nie widziałem agencji w takim stanie, nawet kiedy Lori miała wolne. No tak, ale wtedy, przypomniałem sobie z goryczą, agencja była dla Pandory najważniejsza. Teraz, kiedy wyszła za męża, sytuacja się zmieniła.

Złapałem się na tym, że nie lubię jej męża, chociaż nawet go nie znam.

Pandora zaprowadziła mnie do siebie, do swojego komputera.

- Zawiesił się na amen. Nie mogę go nawet zresetować. Machnąłem na nią ręką i powiedziałem, że się tym zajmę. To był drobiazg. Po kilku minutach wszystko było jasne, trzeba zmienić kabel. Ruszyłem do głównej części biura, żeby oznajmić Pandorze dobrą nowinę, ale przy drzwiach się zatrzymałem.

Stał tam mężczyzna. Widziałem go tylko z profilu, ale i tak wiedziałem, że skądś go znam. Kiedy odwrócił głowę, już wiedziałem. Widywałem go, przystojnego jak gwiazdor filmowy, na Santa Monica Boulevard. I to on w lutym był przed agencją. Z Lori.

Ale co robi w biurze Pandory? Nie miałem zielonego pojęcia.

Pandora stała przy biurku. Kiedy wszedłem, podeszła do nieznajomego i objęła go w pasie.

- Gary, to mój mąż, Troy.

Byłem w szoku. Stałem i gapiłem się na nich. W końcu wziąłem się w garść. Nieważne, kim jest mąż Pandory, teraz nie czas się tym martwić. Wyciągnąłem rękę, uściśnąłem mu dłoń. Jego wzrok przesunął się po mnie obojętnie. Nie poznał mnie.

Powiedziałem Pandorze o komputerze.

- Świetnie - ucieszyła się. - Zaraz skoczę do Fry's po kabel. Ale mąż nie chciał, żeby jechała.

- Piękna, mieliśmy inne plany na dzisiaj, i nie ma w nich niańczenia komputera.

Powiedział to lekko, z szerokim uśmiechem. Nie spodobał mi się ani uśmiech, ani to, że nazwał ją „Piękna”. Pandora położyła mu dłoń na ramieniu.

- Och, Troy, cały dzień nie mogłam przez to pracować. Jeśli teraz nie kupię kabla, będę miała jeszcze większe zaległości.

Ścisnął jej ramiona.

- Rano je nadrobisz. Musisz przestać się tak martwić. Nie uważasz, że za dużo się martwi? - zwrócił się do mnie.

Puściłem to mimo uszu.

- Nie ma Sprawy, Pandoro - powiedziałem. - Nie musicie zmieniać planów. Skoczę po kabel. I tak muszę iść do Fry's.

Daj mi klucz, później go zainstaluję. Zostawię ci instrukcję na biurku.

Speszyla się.

- Nie, Gary, to bardzo miło z twojej strony, ale nie musisz tego robić. Troy przyciągnął ją do siebie.

- Nie prosiłaś - zauważył. - Gary sam zaproponował. Z własnej nieprzymuszonej woli.

Teraz mnie się trafił promienny gwiazdorski uśmiech. Będę szczery - chyba nikogo tak bardzo nie lubiłem.

Następnego dnia postanowiłem znowu zajrzeć do agencji, po prostu żeby się przekonać, czy komputer dobrze działa.

Kiedy wszedłem, Pandora znowu mnie uściskała.

- Gary! Właśnie miałam do ciebie zadzwonić. Dzięki za wczoraj. I że pojechałeś do sklepu. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteśmy ci za to wdzięczni, Troy i ja.

Ten kawałek o Troyu mogła sobie darować.

W biurze, jeśli to możliwe, panował jeszcze większy chaos niż wczoraj.

- Kiedy zatrudnisz nową asystentkę? - zapytałem.

- Nie wiem. Przychodzi mnóstwo kandydatów, ale nikt się nie nadaje. To demoralizujące, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo polegałam na Lori. - Westchnęła. - Szkoda, że nie mogę odzyskać ciebie.

Zarumieniłem się, nie wiedziałem, o co jej chodzi.

- Byłeś niezastąpiony w agencji. Wczoraj o tym myślałam.

- Dzięki. Pochlebiasz mi.

- Właściwie - ciągnęła szybko - czy mogłabym cię jakimś sposobem przekonać, żebyś na jakiś czas tu wrócił?

Roześmiałem się.

- Za żadne skarby świata. Jestem informatykiem, nie agentem.

- Wiem, wiem. Ale znasz wszystkie procedury i masz świetne wyczucie. Kiedy tu byłeś, wszystko szło jak po maśle.

- Przykro mi - powiedziałem. - Nie mogę.

- Nawet na godzinę czy dwie tygodniowo? - nalegała. - Tylko dopóki nie znajdę asystentki. Bardzo mi zależy, by mieć kogoś zaufanego. To wszystko mnie przytłacza.

Miała panikę w oczach. Jako mała dziewczynka czasami wyglądała podobnie - kiedy przytłaczał ją ogrom problemów.

Pomysł był idiotyczny, ale to Pandora i nie mogłem odesłać jej z kwitkiem. Popatrzyłem na chaos dookoła.

- Wiesz co? Jeśli naprawdę tego chcesz, mogę co jakiś czas wpaść i ci pomóc. Ale tylko dopóki nie zatrudnisz asystentki. Nie wrócę tutaj. I wystawię ci astronomiczny rachunek.

- Dobrze. - Jak na Pandorę, była bardzo pokorna. - Cudownie.

W drodze do domu starałem się nie zastanawiać, dlaczego się zgodziłem.

Sara nie była zachwycona, kiedy jej o tym powiedziałem, ale, oczywiście, przyznała, że nie mogłem zostawić przyjaciółki na lodzie. Nadal była nieco drażliwa na punkcie Pandory, więc opisałem ze szczegółami, jaki przystojny jest jej mąż i jak za nim szaleje.

Sara się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że jest szczęśliwa - powiedziała.

Mijały tygodnie, a ja zacząłem się zastanawiać, czy tak jest naprawdę. Pandora nie wydawała mi się szczęśliwa, przynajmniej nie w moim rozumieniu tego słowa. Była nerwowa i niespokojna, nigdy jej takiej nie widziałem. I bardzo roztargniona. Odezwał się mój dawny instynkt opiekuńczy i coraz częściej zaglądałem do agencji, spędzałem tam więcej czasu, niż planowałem. A im częściej się z nią widywałem, tym bardziej się niepokoiłem.

Zrzucałem całą winę na Troya. Był tam prawie zawsze, kiedy przychodziłem. Podobno odniósł kontuzję barku na planie i przez pewien czas nie mógł pracować. Ciągle siedział w agencji, rozwalał się na kanapie, gadał przez telefon, robił bałagan i rozpraszał Pandorę. Albo namawiał ją, by z nim poszła: na kawę, na lunch, czasami nawet na film, i znikali na pół dnia.

Agencja na tym cierpiała. Kilka razy, kiedy Pandory nie było, odbierałem telefony od klientów, i odniosłem wrażenie, że nie są zadowoleni z jej pracy. Powiedziałem jej o tym, ale to niczego nie zmieniło. Nadał robiła to, na co miał ochotę Troy.

Zupełnie oszalała na jego punkcie. Widać to było we wszystkim, co robiła. Jak reagowała, słysząc jego głos w słuchawce. Jak biegła i całowała go, kiedy wchodził do biura. Jak kręciła się dokoła, starała się, żeby było mu wygodnie. Doprowadzało mnie do szału, że widzę ją pod pantoflem tego łotra.

Miałem nadzieję, że z czasem, gdy Pandora już oswoi się ze stanem małżeńskim, urok Troja zblednie, lecz było odwrotnie. Nawet kiedy z jego barkiem wszystko było w porządku i znowu pracował, spędzał w agencji mnóstwo czasu. Teraz na dodatek wtrącał się w sprawy firmy.

- Ta okolica schodzi na psy - narzekał któregoś dnia. - Powinniśmy się przenieść do Beverly Hills.

Wiedziałem, jak Pandora lubi West Hollywood, jak jej się podoba fakt, że agencja jest tam, gdzie założył ją wujek Gene. Wiedziałem także, jak się ma sprawa z ekonomicznego punktu widzenia; gospodarka była w dołku, agencje zamykały się na prawo i lewo. Że nie wspomnę o ciotce Mari-lynn i fakcie, że Pandora musiała mieć jej zgodę przy każdej ważniejszej decyzji. Ale nic na ten temat nie powiedziała.

- Masz rację - zgodziła się natychmiast. - Któregoś dnia się przeprowadzimy.

W sierpniu w końcu zatrudniła asystentkę. Była to starsza kobieta, Cynthia, dawniej pracowała w agencji Halsey.

Polubiłem ją od razu - okazała się kompetentną i sympatyczną, i przejęła część obowiązków Pandory.

Wiedziałem, że nie jestem już potrzebny, ale nabrałem zwyczaju wpadania do agencji: instalowałem nowe programy, uczyłem Pandorę i Cynthię, jak się nimi posługiwać.

Troy czasami to komentował, pytał żartem, co tu jeszcze robię, ale nie zwracałem na to uwagi.

Pod koniec września Pandora postanowiła wydać przyjęcie. Chyba chciała tym sposobem poprawić humory klientom, a może był to pomysł Troja. Ciągle narzekał, że nie mieli wesela, a co dopiero podróży poślubnej.

Długo się zastanawiali, gdzie je urządzić. Troy nalegał na jedną z lepszych restauracji, ale firmy nie było na to stać.

Potem zmienili plany na mniej ambitne, chcieli wynająć salę w innym miejscu. Lecz i z tego nic nie wyszło.

W ostatniej chwili udało im się coś załatwić. Pracowałem właśnie u siebie biurze, gdy wbiegła Pandora.

- Wydajemy przyjęcie! - krzyknęła. - Właśnie rozmawiałam z Brendą Cocker. Wyjeżdża na dwa tygodnie, mąż zabierają na Maui. Ma piękny dom w Hollywood Hills i zapytałam, czy możemy tam urządzić przyjęcie!

- Masz tupet - mruknąłem. Skrzywiła się.

- Idę tam po południu. Pojedziesz ze mną?

Miałem trochę czasu, więc po pracy Cynthia, Pandora i ja pojechaliśmy do Brendy. Dom był duży, dobrze rozplanowany i ciekawy, spokojnie zmieści się w nim ponad setka gości. Uznaliśmy, że jest idealny.

Przez następne sześć tygodni we trójkę wszystko szykowaliśmy. To nie była moja sprawa, ale, szczerze mówiąc, świetnie się przy tym bawiłem. Biegaliśmy po całym mieście, zamawialiśmy jedzenie, alkohol, dekoracje, tort, wybieraliśmy i rozsyłaliśmy zaproszenia, zatrudniliśmy zespół muzyczny i trzech kelnerów - bezrobotnych aktorów, znajomych Troya.

Zaoferowałem moje usługi jako barman. Oczywiście Sara i ja byliśmy zaproszeni, ale Sara akurat w ten weekend wybierała się na konferencję do San Francisco, a ja uznałem, że będzie mi mniej głupio, że jestem sam, jeśli będę miał coś do roboty.

Początkowo mieliśmy spędzać w domu Brendy coraz więcej czasu, w miarę jak zbliżała się data przyjęcia, ale plany się zmieniły. Mąż Brendy miał ważną konferencję w tygodniu i mieli wyjechać dopiero w dzień przyjęcia, wczesnym rankiem.

Pytałem Pandorę, czy musimy szukać kogoś do sprzątania, ale zapewniła, że to niepotrzebne.

- Będzie gospodyni Brendy. Wszystko przygotowuje.

W dzień przyjęcia klient ściągnął mnie do Ventura, miał mały kryzys. Wróciłem do Los Angeles około piątej i zadzwoniłem do Pandory z pytaniem, jak sytuacja.

- Lepiej być nie może -zapewniła. - Szef firmy cateringowej ma grypę, nie przyjdzie. Przysyła asystenta, tylko że on nie mówi słowa po angielsku. Nikt nie odebrał kwiatów, nie zamówiliśmy dodatkowego wina, i jeszcze nawet nie pojechałam do Brendy.

Obiecałem, że zaraz przyjadę.

Pół godziny później Cynthia, Pandora i ja staliśmy na podjeździe z siatkami kwiatów, alkoholu i dekoracji.

- Wszystko będzie dobrze - powtarzała Pandora i krzątała się po garażu. - O, jest klucz, tak jak mówiła. Tu mamy kod do systemu alarmowe-

go... - Nacisnęła kilka guzików. - No, jesteśmy. Dobry Boże, proszę, niech się okaże, że sprzątaczką już była. Umilkła, kiedy weszliśmy do holu. Dawno nie widziałem takiego bałaganu. Nawet na siebie nie spojrzeliśmy, od razu zabraliśmy się do roboty. Cynthia odkurzała, ja zmywałem, a Pandora ścieliła łóżka i sprzątała łazienki. Zanim dom wyglądał w miarę przyzwoicie, dochodziło wpół do siódmej. Pandora układała kwiaty w wazonach, a Cynthia poganiała kucharkę. Ja zająłem się barem.

O siódmej Pandora podeszła do mnie.

- Cynthia i ja musimy iść się przebrać. Przed chwilą rozmawiałam z Troyem. Za pięć minut będzie tu z kolegami, pomogą ci we wszystkim. - Pocałowała mnie w policzek. - Dzięki, Kochany Kumplu.

Dwadzieścia pięć minut później, kiedy Troy z kolegami wreszcie raczyli się zjawić, czekałem na nich przy drzwiach.

- Muszę jechać do monopolowego - powiedziałem. - Miej oko na wszystko. Pomóż kucharzowi i zapędź kolegów do roboty.

Troy zasalutował mi ironicznie.

Kiedy wróciłem pół godziny później, żona kucharza czekała na mnie w progu i krzyczała coś po hiszpańsku.

Zaciągnęła mnie do kuchni i zobaczyłem, że podczas mojej nieobecności kelnerzy nawet nie kiwnęli palcem. Nie wypakowali naczyń, nie wyjęli kieliszków do wina, nie wyłożyli jedzenia.

Usłyszałem hałasy z pokoju sprzątaczkki i wpadłem tam. Troy i jego kumple grali w pokera.

- Ruszcie tyłki! - wrzasnąłem. - Za dziesięć minut będą tu goście! Wołałem nie patrzeć na Troya. Bałem się, że go uderzę.

Obserwowałem go przez cały wieczór. Patrzyłem, jak flirtuje z młodziutkimi aktorkami. Patrzyłem, jak czaruje producentów. Patrzyłem, jak ignoruje plotki. Widziałem, że Pandora też na niego patrzy, ale nie mogłem niczego wyczytać z jej twarzy.

Od czasu do czasu podchodził do mnie, zachowywał się, jakby mnie nie znał, i mówił:

- Barman, drinka.

Po kilku godzinach był nieźle wstawiony. Kiedy poprosił mnie o czwartą Long Island, powiedziałem, że skończyła się tequila.

- Masz butelkę pod nosem - warknął. - Ślepy jesteś?

Cały czas mnie drażnił, stukał mnie w pierś. Goście zwrócili na nas uwagę.

Nie chciałem narobić Pandorze wstydu. Wyszedłem z baru, znalazłem ją nad basenem, z grupą klientów. Powiedziałem, że mąż jej potrzebuje, i wróciłem do środka. Myślałem, że położy Troya do łóżka, żeby się przespał, lecz nim się zorientowałem, już wyszli.

Nie mieściło mi się w głowie, że wyszła z własnego przyjęcia.

Cynthia i ja zostaliśmy do końca, zapłaciliśmy muzykom i kucharzowi, pożegnaliśmy ostatnich gości. Kiedy pytano, gdzie jest Pandora, mówiłem, że się źle poczuła i poszła do domu.

Następnego dnia zadzwoniła z przeprosinami. W połowie jej przemowy znudziło mi się słuchanie tego i odłożyłem słuchawkę. Kilka minut później telefon zadzwonił ponownie.

- Gary, musisz zrozumieć. Nie miałam innego wyjścia. Krępująca cisza.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - powiedziałem. - Przyjęcie było super.

- Owszem, dzięki tobie i Cynthii. Przyjąłem te zawołane przeprosiny.

Jesienią byłem bardzo zajęty. Miałem pełen ręce roboty, chyba wszyscy moi klienci mieli jakieś problemy. Rzadko udawało mi się wpaść do agencji, ale ilekroć tam zaglądałem, wszystko było jak dawniej - Pandora i Cynthia ciężko pracowały, Troy lenił się w kącie.

Pewnego dnia zobaczyłem Johna Bradshawa, wysiadł z windy. Na mój widok się zawahał.

- Czy możemy chwilę porozmawiać?

- Pewnie - odparłem.

- Jak się miewa pani Brown? Zapewniłem, że dobrze.

Skinał głową. Minęło kilka chwil.

- Wiem, że jest pan jej przyjacielem - powiedział w końcu.

- Staram się - odparłem i zapytałem, czy coś się stało. Zmarszczył brwi.

- Ciągłe dostaję listy. Kolejny przyszedł dzisiaj rano. Nie wiem, co robić, czy podjąć jakieś kroki. Nie chcę, żeby była nieszczęśliwa.

- No tak - mruknąłem. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

- Może lepiej nie budzić licha - zastanawiał się. I nagle zapytał: - Czy pana zdaniem jest szczęśliwa?

- Nie bardzo. Spojrzał na mnie ostro.



- Proszę tu chwilę poczekać.

Wszedł na górę. Kilka minut później wrócił z pięcioma czy sześcioma listami, napisanymi na maszynie.

- Czy mógłby pan rzucić na nie okiem?

Przejrzałem je. Anonimy, nieskładne i nerwowe, pełne oskarżeń pod adresem Troya.

- Kiedy dostałem pierwszy, rozmawiałem z panią Brown - powiedział. - Ale to było tuż przed ślubem i nie chciała go czytać.

No pewnie, cała Pandora - chowa głowę w piasek, gdy pojawia się ryzyko, że zobaczy coś, czego widzieć nie chce. Zapytałem, czy mógłbym zatrzymać listy na dzień lub dwa.

- Popytam trochę, sprawdzę, czy jest w nich choć trochę prawdy. Wtedy zdecyduje pan, co zrobić.

Bradshaw podał mi listy z wyraźną ulgą.

Resztę popołudnia spędziłem, grzebiąc się w sieci, a później zadzwoniłem do mojego kumpla Marka w biurze szeryfa w Palm Springs. Tej nocy niewiele spałem.

Tak jak się spodziewałem, większość oskarżeń nie miała sensu: Troy nie był ani płatnym zabójcą na usługach mafii, nie poszukiwało go również FBI jako szpiega. Ale niektóre informacje, jak narkotyki i więzienie, okazały się prawdziwe.

Byłem ciekaw, ile z tego wie Pandora. Być może opowiedział jej o swojej przeszłości, a ona jest tak zakochana, że nic nie ma dla niej znaczenia. Może nawet to część jego uroku - Pandora zawsze szukała silnych wrażeń.

A jeśli nic nie wie? Kto powinien jej powiedzieć, Bradshaw czy ja? Przecież nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. W najgorszym wypadku Troy jest drobnym rzezimieszkiem, nie seryjnym mordercą. Czy mamy prawo burzyć jej spokój? Kiedy Bradshaw zapytał, czy moim zdaniem jest szczęśliwa, odparłem, że nie bardzo, ale czy mogę mieć pewność? Kochała Troya, to jedno było jasne. A on, na swój sposób, musiałem to przyznać, chyba też ją kochał, może na tyle, by się zmienić.

Nie sądziłem także, by rozmowa z Pandorą cokolwiek zmieniła. Bradshaw już pokazał jej jeden z listów. Nie chciała go czytać. Po sześciu miesiącach małżeństwa było jeszcze mniej prawdopodobne, że zechce przyjąć do wiadomości jakiegokolwiek zarzuty wobec Troya.

Następnego dnia odesłałem listy do Bradshawa z notką, że choć kilka rzeczy trzeba jeszcze sprawdzić, największe zarzuty okazały się wyssane z palca. Dodałem, że oczywiście, jeśli chce, może dążyć to dalej, ale moim zdaniem lepiej będzie dać sobie spokój.

Nie wiedziałem, czy kierowało mną tchórzostwo, czy dobre serce, i wolałem tego nie sprawdzać. Lecz kilka dni później zacząłem wątpić, czy postąpiłem właściwie. Zbliżały się urodziny mojej siostry. Napomknąłem o tym Pandorze.

- Pozdrów ją ode mnie-powiedziała. -Bardzo ją lubię. - Westchnęła. - Szkoda, że nie znałam siostry Troya.

Powiedziałem, że nie wiedziałem, że Troy ma siostrę. . I Pandora opowiedziała mi historię Fanny - jak zaszła w ciążę w wieku zaledwie szesnastu lat, miała skrobankę i umarła.

- Troy nigdy się z tym nie pogodził - zakończyła. - Nosi jej zdjęcie w portfelu. Czasami na nie patrzę, kiedy nie ma go w pobliżu. Była taka ładna.

Tego popołudnia, kiedy Troy przyszedł po Pandorę, czekałem na niego w holu.

- Cześć, barmanie - powiedział.

- Słuchaj - odparłem. - Sprawdziłem cię. Ta dziewczyna, Fanny, o której mówiłeś Pandorze, że to twoja siostra... to nieprawda, co?

Milczał.

- Zaszła w ciążę z tobą. Rzuciłeś ją, wiem wszystko. Jej matka chciała cię pozwać, bo Fanny popełniła samobójstwo. Ciężko dyszał. Ja jeszcze ciężiej.

- Pandora o niczym nie wie - powiedziałem. - Ale jeśli choć raz zrobisz coś nie tak, powiem jej o wszystkim.

Łypnął na mnie i odszedł.

## **Pandora**

Zwykle budziłam się wcześniej i patrzyłam na Troya, kiedy spał. Miał ręce splecione pod głową, ciemne włosy rozsypywały się na białej poduszce. Za każdym razem czułam przyływ miłości. W ciągu dnia miał zaciśnięte usta, ale kiedy spał, były miękkie, rozchylone. Robiło mi się ciepło z rozkoszy. Nadal pamiętam te ranki, pamiętam, jak na niego patrzyłam. W lipcu nadwyrężył sobie bark podczas prostej sceny z pościgiem. Nic poważnego - po kilku tygodniach wrócił do zdrowia - ale z perspektywy czasu widzę, że wtedy się zaczęło. Coś małało, coś nikło. Kiedy był gotów wrócić do pracy, nie było zleceń. Miał pecha.

Minęły prawie dwa miesiące, zanim znowu go zatrudniono. Do tego czasu zdążył nabrać nowych zwyczajów - codziennie przychodził do agencji i siedział całymi godzinami. Przy nim trudno było mi pracować, ale byłam zachwycona, że chciał być ze mną. Obserwowałam go, jak siedział na starej skórzanej kanapie wujka Gene'a, patrzyłam na mięśnie jego ud pod obcisłymi džinsami i nie mogłam oderwać oczu.

Usiłowałam wzbudzić w nim zainteresowanie pracą w agencji, ale nudziła go rutyna. Był niespokojny jak dziecko, niecierpliwił się, chciał wcześniej wychodzić, do restauracji czy kina. A ja się zgadzałam. Troy był ważniejszy niż wszystko inne.

W sierpniu w końcu zatrudnił się przy filmie z Johnem Travoltą. Ćwiczył całymi dniami, o niczym innym nie mówił. Już wychodziłam z biura na dzień przed początkiem zdjęć, kiedy zadzwonili z wiadomością, że przesunięto termin. Czekał przy drzwiach, kiedy wróciłam.

- Dzisiaj wcześniej idziemy spać. Jutro kręcę.

Musiałam mu powiedzieć, że nastąpiła zmiana planów. Nic nie powiedział, ale godzinami nie kładł się do łóżka.

Słyszałam, jak krąży po pokoju. Nie spałam, nasłuchiwałam, jak dawniej, podczas złych nocy taty.

Kończył mi się okres wynajmu mieszkania i chciałam poszukać czegoś nowego, naszego pierwszego, prawdziwego, wspólnego domu. Troy zgodził się wziąć udział w tych poszukiwaniach, ale zastrzegł, że nie interesują go mieszkania.

- Zaczniemy od samej góry.

Pojechaliśmy więc do Malibu i obejrzelśmy trzy posiadłości.

Troyowi podobało się wszystko, dwupoziomowe salony, jacuzzi, prywatne plaże. Przypomniało mi się, jak zareagował w Hearst Castle, i jak myślałam, że żartuje, kiedy powiedział, że mógłby tam mieszkać. Ale tego popołudnia usłyszałam coś podobnego.

- Nie będę szczęśliwy, póki nie zamieszkać w takim domu.

- A to, co mamy teraz? - zapytałam. - To się nie liczy? Roześmiał się, pocałował mnie, ale nie odpowiedział.

Dwudziestego piątego października obchodziłam dwudzieste szóste urodziny. Moje pierwsze urodziny z Troyem. Chciałam, żeby to był wyjątkowy dzień.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Uśmiechnął się.

Rano obudził mnie, podając śniadanie do łóżka - rogaliki, sok pomarańczowy i kawę. Na tacy było też duże, pięknie opakowane pudło, a w nim

koszula od Neimana Marcusa - ręcznie haftowany jedwab, najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam.

Poszliśmy na kolację do Ago. Był szampan i specjalny tort urodzinowy, robiony na zamówienie.

- Jak się spisałem? - zapytał, kiedy wróciliśmy do domu. Pocałowałam go w odpowiedzi.

- Wkładaj koszulę - powiedział. - Chcę cię w niej zobaczyć. Właściwie nie chciałam jej nosić, była taka delikatna.

Włożyłam ją -

nak i kochaliśmy się. Poczułam, że urwał się rękaw.

W piątek pojechaliśmy z wizytą do Palm Springs. Tata dawno nie był w tak złej formie, dusił się, miał mdłości i Troy co chwila wychodził z domu. Często widziałam taką reakcję w szpitalu, ale bolało, gdy to mój mąż nie mógł wytrzymać w pokoju mego ojca.

Tata miał po południu umówioną wizytę u lekarza. Postanowiłam, że zostanę w Palm Springs dzień dłużej. Troy i ja przyjechaliśmy jednym samochodem, więc po południu wsadziłam go w samolot do Los Angeles. Dziwne -

mieszkałam przy lotnisku Palm Springs prawie całe życie, a dopiero teraz przekroczyłam jego bramę.

Z mieszaniną ulgi i poczucia winy obserwowałam, jak startuje samolot Troya.

Po kolacji włączyliśmy z mamą projektor i puściliśmy stare rodzinne filmy. Chciało mi się płakać; tata kiedyś stał

prosto, pływał, grał w siatkówkę, był wyższy ode mnie.

Kiedy chowałam filmy, on też się rozpłakał:

- Och, Andy-Pandy - powiedział. Łzy na jego twarzy lśniły jak szkło. - Szkoda, że nie zobaczę, jak sobie ułożysz

życie.

Przyjrzałam mu się.

- Już sobie ułożyłam, tatusiu. Wyszłam za mąż. Nie pamiętasz Troya? Patrzył na mnie z dziwną miną, i nic nie

mówił.

W następny weekend przyjechała Steph. Nie widziałam jej, odkąd wyszłam za mąż, i bardzo się cieszyłam, że w końcu poznają się z Troyem. Wypchałam lodówkę jej ulubionymi smakołykami, kupiłam nową pościel i zabawiałam Troya starymi anegdotami.

Ale weekend się nie udał. Troy, zazwyczaj czarujący, wobec Steph był niegrzeczny, naburmuszony. A ja zachowywałam się jak szalony konferansjer, za bardzo się starałam, żeby wszyscy się świetnie bawili. Przypomniałam sobie, że w dzieciństwie miałam Steph, Prawdziwą Przyjaciółkę, i Gary'ego, Kochanego Kumpla, i usiłowałam wymyślić podobne przezwisko dla Troya. Nic nie przychodziło mi do głowy.

- I co o nim sądzisz? - zapytałam Steph pierwszego wieczoru, gdy układała się do snu na kanapie.
  - Z pewnością to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziałam.
  - Tak, ale poza tym?
  - Trudno coś dostrzec przez jego urodę - powiedziała tylko. Troy o Steph wypowiadał się równie zdawkowo.
  - Pewnie, jest miła - powiedział. - Ale trudno uwierzyć, że taka dziewczyna jak ty nie znalazła lepszej przyjaciółki.
- Steph wyjechała w niedzielę wieczorem. Kiedy ścisaliśmy się na pożegnanie, obiecywałyśmy sobie następne wizyty, w Los Angeles i w Barstow, ale czułam, że nigdy do nich nie dojdzie.
- Odprowadzałam wzrokiem jej taksówkę. Miałam łzy w oczach.
- W poniedziałek rano poszłam do biura i usłyszałam beztróską wiadomość nagraną na sekretarkę:  
Cześć, Pandoro, tu Ginette MacDougal. Chciałam ci tylko powiedzieć, że postanowiłam przenieść się do agencji Williama Morrisa. Mam nadzieję, że rozumiesz. Dzięki za wszystko. To pa.
- Musiałam odsłuchać to cztery razy, zanim uwierzyłam. Kiedy trochę później wpadł Gary, podzieliłam się z nim nowiną.
- Widziałeś taką niewdzięczność? Tylko ja odkryłam, nikt więcej! Gdyby nie ja, nadal kelnerowałyby w Mel's Diner!
  - Nie sądzę, by była niewdzięczna - powiedział powoli. - Moim zdaniem dba o własne interesy... I, szczerze mówiąc, wcale jej się nie dziwię. Odkąd wyszłaś za męża, agencja zeszła na drugi plan.
- Powtarzałam sobie, że Gary był po prostu w złym humorze, że pewnie pokłócił się z dziewczyną, ale przez cały dzień myślałam o tym, co powiedział.
- Tego wieczoru, gdy leżeliśmy z Troyem w łóżku i oglądaliśmy telewizję, pocałowałam go lekko w kark i musnęłam dłonią konstelację blizn.
- Minione pięć miesięcy to najwspanialszy miesiąc miodowy w historii - zaczęłam - i nie żałuję ani chwili. Ale chyba już czas, żebyśmy znów zajęła się pracą.
- Jego kark zeszywniał pod moim dotykiem.
- Skąd ten pomysł? Powiedziałam mu o Ginette. Zmarszczył brwi.
  - Nie przejmuj się nią. To tylko mała niewdzięczna suka.

- Ale też kubel zimnej wody na głowę. Nie chcę stracić następnych klientów, a Gary powiedział, że agencja jest w oplakany stanie.

Troy odsunął się ode mnie i nagle byliśmy w środku pierwszej prawdziwej kłótni.

Złość na jego twarzy zaskoczyła mnie całkowicie.

- Jesteś jak walec drogowy! - powtarzał. - Zawsze ty, tylko ty! Mówisz, że ci na mnie zależy, ale to bzdura! Liczy się dla ciebie tylko twoja pieprzona agencja i żądza władzy!

Byłam w takim szoku, że nie mogłam się ruszyć. Nie zależy mi? Na Troyu? Miałam tylko jedno w głowie - tamten dzień, kiedy po raz pierwszy widziałam go przy pracy i jak zmieniło to całe moje życie.

Rozpłakałam się, nie mogłam przestać. Podszedł, złapał mnie za ramiona. Drżał. Ja też.

- Przepraszam - szepnął. - Bardzo przepraszam. Nie miałem tego na myśli. Po prostu czasami mnie ponosi, chyba ostatnio miałem za dużo wolnego czasu.

Pogodziliśmy się, ale tej nocy nie spałam. Cały czas pamiętałam jego gniew i obiecałam sobie, że nigdy więcej nie dojdzie do podobnej sceny. Załatwię mu pracę, tyle ile się da, i to jak najszybciej.

Następnego dnia dzwoniłam gdzie się dało, wszędzie wysyłałam jego fotosy. Dwa dni później oddzwonili ze Sweets Productions i zostawiłam mu dobrą wiadomość na sekretarce: Gratulacje, jesteś w reklamie Hondy. **Kręcisz w poniedziałek.**

Tego wieczoru w domu czekał tuzin żółtych róż.

- Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało - szepnął i wziął mnie ramiona. - I nigdy o tym nie zapominam, ani na chwilę.

- To dobrze - odparłam, też szepem. Uśmiechnął się do mnie.

- I wiem, jak to uczymy. Zapraszam cię do Ivy. Zawahałam się.

- Jesteś pewien? Ostatnio strasznie dużo wydajemy. Może pojedźmy do tańszej restauracji?

Puścił mnie.

- Jak chcesz - rzucił szorstko. - Myślałem po prostu, że ta reklama to coś ważnego.

- Ależ oczywiście - zapewniłam go i poszliśmy do Ivy. Przypomniało mi się, kiedy byłam tu poprzednio - z Johnem Bradshawem,

i jak wydawało mi się, że to najpiękniejsza restauracja na świecie. Zrobiło mi się smutno, że teraz, kiedy przyszłam tu z mężem, myślę jedynie o cenach.

Troya nie było przez prawie cały weekend. Chodził na siłownię, ćwiczył przed zdjęciami. Wracał do domu i narzekał, że stracił dawną gibkość, ale widziałam, jaki jest podekscytowany.

W poniedziałek rano pojechał do Woodland Hills na plan. Nie spodziewałam się go wcześniej niż o siódmej czy ósmej, ale kiedy wróciłam z pracy, siedział na kanapie.

- Wcześniej skończyłeś - zauważyłam. - Jak poszło?

- Nie poszło - wycedził. Widziałam, że dużo wypił. - Kiedy przyjechałem na plan, reżyser powiedział, że mam skoczyć z drugiego piętra do jadącego samochodu. Powiedziałem mu, że zaszła pomyłka, jestem kaskaderem, ale kierowcą. Odparł, że nic nie może zrobić - albo skaczę, albo ściagną kogoś innego. Ściągnęli kogoś innego.

Zaschło mi w ustach.

- Nie rozumiem. Powiedziałam wyraźnie, że ty... że nie skaczesz i nie upadasz. Nie rozumiem.

Spojrzał na mnie tylko. Wstał, minął mnie, poszedł na korytarz. Słyszałam jego kroki za drzwiami.

Wieczorem nie wrócił do domu. Przez dwie godziny jeździłam po West Hollywood, szukałam go. O północy dałam sobie spokój.

Wrócił o trzeciej. Rozebrał się, położył. Długo leżeliśmy w milczeniu. W końcu wyciągnęłam rękę. Wziął ją.

- Przeraziłeś mnie - powiedziałam. - Proszę, nie rób tego więcej. Błyskawicznie przykrył mnie sobą; powiedział w ciszę, że mu przykro.

Na początku grudnia dostaliśmy wspaniałą wiadomość: Troya zatrudniono w nowym filmie akcji. To oznaczało tygodnie, może nawet miesiące pracy.

Nigdy nie widziałam go tak szczęśliwego. Był niemal w euforii, w kółko opowiadał, co zrobimy, co sobie kupimy, skoro dostał tę rolę.

Ja byłam rozsądniejsza. Martwiłam się, co będzie po skończeniu zdjęć. Nie mogłam znieść myśli o kolejnej depresji Troya. Uznałam, że czas pomyśleć o przyszłości. Miał przed sobą jeszcze sześć, siedem lat pracy jako kaskader, a i tak zleceń będzie coraz mniej.

Pewnego wieczoru poszliśmy na kolację do Little Door. Wygłosiłam uprzednio przygotowaną mowę:

- Kiedy skończysz pracę nad tym filmem, może powinniśmy pomyśleć o czymś innym dla ciebie. Byłbyś znakomitym trenerem osobistym, albo moglibyśmy kupić ci współudział w siłowni...

Pochylił się i zamknął mi usta mocnym pocałunkiem.

- Jesteś niesamowita - powiedział, kiedy w końcu mnie puścił. - Wszędzie widzisz tylko czarne strony.

W piątek zabrał mnie na weekend do Las Vegas. Cieszyłam się - poprzednio byłam tam tylko raz, kiedy się pobraliśmy, i był to najbardziej romantyczny weekend w moim życiu. Miałam nadzieję, że choć część się powtórzy: taniec w hotelu Belaggio, show w Caesar's Palace, może nawet odnowimy przysięgę małżeńską.

Lecz Troy przez cały weekend grał. Usiadł przy stoliku karcianym w sobotę rano i został tam do ostatniej chwili. Początkowo schodziłam na dół i patrzyłam, jak gra, później miałam tego dosyć. Zabijałam czas, robiąc zakupy, siedziałam nad basenem, zwiedzałam inne hotele. Kiedy wracałam, Troy wciąż grał.

Wrócił do pokoju o czwartej rano. Udałam, że śpię. W niedzielę rano był w fatalnym humorze. W ogóle się nie odzywał. Kiedy zapytałam, ile przegrał, wybiegł z pokoju.

Chyba od tego weekendu zaczęły się awantury. Wydawało się, że przez całą zimę tylko się kłóciliśmy. Miałam nadzieję, że kiedy zaczną pracować, sytuacja się poprawi, ale nie. Było coraz gorzej.

Kłótnie się zacierały, zlewały w jedną. Kłótnie o moich rodziców. Kłótnie o jego karierę. Kłótnie o moje zrzęczenie. Kłótnie o jego picie. Kłótnie, że tak często przychodzi do agencji. Kłótnie, że nie przychodzi.

Czasami czułam, że patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Jakby dostrzegał we mnie coś, czego dawniej nie było, albo szukał czegoś, co znikło.

Zaczął wychodzić późnym wieczorem. Pytałam, czy chce, żebym z nim poszła, ale odmawiał, mówił, że zaraz wróci. Denerwowałam się, kiedy go nie było, jakbym się bała, że nigdy nie wróci. Po powrocie zawsze był spokojniejszy. Ale kochaliśmy się coraz rzadziej.

Któregoś dnia po pracy pojechałam do niego na plan. Nikt nie wiedział, gdzie jest. W końcu znalazłam go w przyczepie. Rozmawiał z podejrzanym facetem.

- Kto to był? - zapytałam później.

- Techniczny.

- Nie wyglądał na technicznego - zauważyłam. I tak się zaczęła kolejna awantura.



Troy nie chciał jechać do Palm Springs na Boże Narodzenie, więc zostaliśmy w Los Angeles. Kupiłam choinkę, a mama przysłała mi wszystkie moje ulubione ozdóbki, nawet papierowe gołąbki.

W Wigilię piekłam ciasteczka i czytałam na głos *Opowieść wigilijną*. W pierwszy dzień świąt wymieniliśmy się prezentami - znowu dostałam piękną bieliznę.

Ale to wszystko minęło zbyt szybko.

Po Nowym Roku rzadko się widywaliśmy. Troy spędzał całe dni na planie, po zdjęciach szedł z ekipą się odprężyć. Zdawałam sobie sprawę, że dobrze mu to robi, potrzebował towarzystwa, ale brakowało mi go. Kiedy jednak byliśmy razem, było dziwnie, nieswojo, jak na pierwszej randce.

Wymyśliłam zabawę: wyobrażałam sobie nas za piętnaście, dwadzieścia lat. Będziemy zakochani i swobodni, a wszystkie nieporozumienia, wszystkie spory, staną się przeszłością.

Kiedy mieliśmy dla siebie trochę czasu, wymyślałam nam zajęcia: spacer, kino, zakupy. Troy wszędzie ze mną chodził, ale nie byłam pewna, czy dobrze się bawi.

W niedzielę wybraliśmy się do parku Coldwater. Było tam mnóstwo dzieci: na huśtawkach, na deskorolkach, w strumieniu. Obserwowałam małą blondyneczkę, która uczyła się chodzić.

- Chciałabym mieć taką córeczkę. Troy milczał.

- Nie od razu, oczywiście. Ale zaczynam o tym myśleć, ty nie? Usiłował zmienić temat.

- O co chodzi? Co takiego powiedziałam? Jesteśmy małżeństwem. To logiczna kolej rzeczy.

Zerwał się na równe nogi, uderzył pięścią w dłoń.

- Czy ty kiedykolwiek myślisz o czymś innym niż to, czego sama chcesz?

Następnego ranka zadzwoniła Steph. Dawno nie rozmawiałyśmy. Zapytała, jak leci. Rozpłakałam się. W końcu wszystko jej opowiedziałam - o awanturach, o tym, że Troy znika na całe noce, że pije. Miałam straszne wyrzuty sumienia, że o tym mówię, ale jednocześnie bardzo mi ulżyło.

- Małżeństwo - mruknęła Steph z namysłem. - Chyba zauważyłaś, że trzymam się od tego z daleka. Od jak dawna jesteście razem?

- Dziewięć miesięcy.

- To niezbyt długo, prawda?

Spokój w jej głosie dodawał otuchy.

- Nie. Może to wszystko to ten sławetny pierwszy rok, o którym wciąż piszą w „Cosmo”. - Ale miałam wrażenie, że tego, co się między nami dzieje, nie opisuje żaden tekst w żadnym kobiecym czasopiśmie.

Steph chyba pomyślała to samo, bo przez dłuższą chwilę się nie odzywała.

- Nie myślałaś, żeby z kimś porozmawiać? Zwrócić się do terapeuty? Myślałam, ale nie podobał mi się ten pomysł. Oznaczał klęskę.

- Zastanowię się nad tym - obiecałam i zmieniłam temat. - A co u ciebie?

Steph była na tyle przyzwoita, że poskarżyła się na kilka problemów w pracy i pozwoliła mi odzyskać odrobinę szacunku dla samej siebie, gdy je rozwiązałam.

Ku mojemu zdumieniu nie przestałam myśleć o terapii. Zaczęłam się zastanawiać, czy to jednak nie jest dobry pomysł. To nie musi być długotrwała terapia; może kilka sesji wystarczy, by naprowadzić nas na właściwą drogę.

Kiedy Troy wieczorem wrócił z planu, powiedziałam mu to. Przyglądał mi się, pokręcił głową.

- Nie do wiary, nie do wiary, że pozwoliłabyś obcemu wtrącać się w nasze sprawy.

I już go nie było.

Tamtej nocy, gdy na niego czekałam, doszłam do kilku wniosków. Żaden terapeuta nie dokona cudu - naiwnością byłoby liczyć, że nasz związek da się tak łatwo naprawić. Rzuciliśmy się w małżeństwo na łeb, na szyję. Może to głupie, ale zrobiliśmy to. I jeszcze może nam się udać, muszę tylko odpuścić. Zawsze miałam zbyt wysokie oczekiwania wobec wszystkich i wszystkiego, a teraz żądam za wiele od Troya. Nagle ma na głowie żonę i nowe obowiązki, a ja tu zaczynam o dzieciach. Nic dziwnego, że sobie z tym nie radzi.

Zamknęłam oczy i znowu wyobraziłam sobie nas za kilkanaście lat, zakochanych i spokojnych, ale tym razem bez dzieci.

Powiedziałam sobie, że zaczęłam się uczyć.

Dochodzę do punktu, od którego już nie chcę niczego pamiętać. Zazwyczaj mi się to udaje, ale czasami, zwłaszcza w snach, powraca tamta scena - blada twarz, uśmiech, pomięta pościel.

Dzisiaj mam zły dzień i widzę to cały czas. Ten obraz nie daje mi spokoju.

Dzwonek telefonu. Od tego się zaczęło. Obudził mnie telefon mamy.

- Z ojcem jest bardzo źle. Możesz przyjechać?

- Będę wieczorem - obiecałam. Zapytałam Troya, czy ze mną pojedzie.

- Wiem, że się denerwujesz przy tacie, ale moglibyśmy zatrzymać się w hotelu, może w Marriotcie. Taki drugi miesiąc miodowy.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Jedź - powiedział i pocałował mnie.

Tata był zbyt słaby, by wstać. Siedziałam przy nim przez cały weekend, trzymałam go za rękę, razem oglądaliśmy teleturnieje.

Po domu kręciła się nowa osoba, Kate, zawodowa pielęgniarka. Widziałam, że mamę drażni jej obecność. Millie była przyjaciółką, która przyjechała z wizytą, Kate ciągle przypominała, jak mało życia zostało tatusiowi.

Ciągle dzwoniłam do Troya, ale nie było go w domu.

W niedzielę wieczorem wybrałam się na przejazd po Palm Springs. Kiedy mijałam znane miejsca, zastanawiałam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie wyjechała. Czy gdybym została tu, na pustyni, gdybym pracowała jako agentka nieruchomości, czy moje życie byłoby lepsze?

Nie. Nie miałabym Troya. Powróciły wspomnienia. To, jak było między nami na początku. Długie godziny w łóżku, jego dłonie, ciepłe i uparte. On śpiący, lekko uśmiechnięty, jego łydki, jego żarciki. Jak na mnie patrzył. Jak płakał, kiedy opowiadał o Fanny.

To był Troy. Pokochałam go, tego pragnęłam. I nagle tak za nim zatęskniłam, że nie mogłam tego wytrzymać.

Powiedziałam rodzicom, że muszę wracać do domu.

Dojechałam do Los Angeles tuż przed północą. Kiedy podjeżdżałam pod blok, było bardzo ciemno. Trochę trwało, zanim znalazłam klucze. Tyle razy o tym myślałam - gdybym miała więcej cierpliwości, gdybym zapukała, gdyby mi otworzył, wszystko być może potoczyłoby się inaczej. Ale znalazłam klucze i weszłam po cichutku.

Chciałam zrobić mu niespodziankę.

Weszłam do sypialni. Leżał w łóżku. Miał zamknięte oczy i miękkie usta, takie, jakie najbardziej kochałam. Nie odrywałam od niego wzroku. Przez dłuższy czas nie chciałam przyjąć do wiadomości postaci koło niego, burzy jasnych włosów. Ale w końcu się poruszyła i musiałam spojrzeć.

- Troy - powiedziała. Otworzył oczy i zamknął usta.

Niewiele pamiętam z następnych tygodni. Wróciłam do Palm Springs. Chyba przespałam większość tego czasu. Błada twarz, pomięta pościel ciągle były w mojej głowie, we śnie i na jawie. Tylko one mi zostały. Rodzice i Steph powtarzali, że prawda jest lepsza, ale się mylili. Wolałabym nie wiedzieć. Początkowo wydzwaniał. Nie odbierałam. Nagrywał się: mówił, że to nic nie znaczyło, że mnie kocha, że tylko mnie w życiu kochał. W końcu pewnej nocy podniosłam słuchawkę:

- Wynoś się na koniec świata - wycedziłam.

Starłam się pozbierać na tyle, by wyjechać z Palm Springs. Cynthia mówiła, że nie ma pośpiechu, w pracy wszystko pod kontrolą. Powiedziała, że Gary wpada prawie codziennie, żeby jej pomóc. Chciałam mu podziękować, ale nie miałam siły zadzwonić.

Kiedy wrzaski w mojej głowie stały się nie do wytrzymania, poszłam do pokoju taty.

- Jak myślisz, kiedyś będzie lepiej?
- Nie wiem, Pandoro.

Miał w oczach rozpacz. Widziałam, że go wykańczam, ja i moja samolubna rozpacz. Zadzwoniłam do Cynthii i powiedziałam, że jeszcze tego wieczoru wracam.

- Tylko proszę, zajrzyj do mnie, upewnij się, że go nie ma. Dożorczyńni da ci klucze.

Oddzwoniła. Nie było go.

Wróciłam do Los Angeles, do mieszkania. Nie mogłam pojąć, że może wyglądać tak uroczo i normalnie. Niemożliwe, że stało się tu coś złego. Poszłam do sypialni i spojrzałam na łóżko - było starannie zasłane. Nie został żaden ślad.

Następnego ranka poszłam do biura. Cynthia była cudownie spokojna. Rozmawialiśmy o pracy. Gary się nie pojawił. W pewnym sensie odczułam ulgę, chociaż chciałam mu podziękować za wszystko, co zrobił. Pracowałam bez wytchnienia. Podpisywałam czeki, wysyłałam fotosy, chodziłam na spotkania, rozmawiałam przez telefon. Dziękowałam losowi, że robię to wszystko automatycznie. Skończyłam koło szóstej. Miałam już wyjść, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. John Bradshaw.

- Słyszałem, że dzisiaj wracasz - zaczął. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

Był bardzo uprzejmy. Nic nie mówił o Troyu, powiedział tylko, że ma nadzieję, iż zostanę w Los Angeles i zachowam agencję.

- A gdybyś potrzebowała pomocy, jestem piętro wyżej.

- Dziękuję - powiedziałam. - Zapamiętam to.

Rozpromienił się. Jakie to straszne, jakie dziwne, pomyślałam, po tym wszystkim, co się stało, nadal sprawiam, że się rozjaśnia.

Wróciłam do siebie. Poszłam do sypialni, otworzyłam szafę Troya, usiadłam na podłodze. Nawet pusta, nadal nim pachniała.

Zamknęłam oczy i oddychałam głęboko.

## **Gary**

Zadzwoiła Cynthia i przekazała mi nowiny. Nie mogę powiedzieć, że byłem zaskoczony. Troy nigdy nie robił na mnie wrażenia faceta, który długo będzie wierny.

- Gdzie Pandora? - zapytałem.

- W Palm Springs.

To miało sens. Teraz potrzebowała bliskości tych, którzy ją kochają, w których oczach nigdy nie popełniała błędów. Rozważyłem, czy do niej nie zadzwonić, ale nie zrobiłem tego. Wiedziała, że nigdy nie lubiłem Troya. Cokolwiek bym powiedział, zabrzmiałoby nieszczerze.

Ale robiłem dla niej, co mogłem. W każdej wolnej chwili jechałem do agencji i pomagałem Cynthii. Dzwoniłem, wysyłałem fotosy, chodziłem nawet na spotkania. Muszę przyznać, że zaczęło mi się to podobać, zwłaszcza kiedy kilka osób, które poleciłem, dostało role.

Cynthia rozmawiała z Pandorą przez telefon kilka razy dziennie, ale do mnie się nie odzywała, jeśli nie liczyć nagrań na automatycznej sekretarce, w których dziękowała za wszystko, co dla niej robię.

Kiedy wróciła do Los Angeles, przestałem zaglądać do agencji. Uznałem, że w zaistniałych okolicznościach tak będzie najrozsądniej.

Sara i ja przechodziliśmy ostatnio trudny okres, a moje zaangażowanie w agencję tylko pogarszało sytuację.

Wiedziałem, że zawsze była nieco drażliwa na punkcie Pandory, ale akurat w tym wypadku nie rozumiałem, o co jej chodzi.

- Pandora wyjechała z Los Angeles, nie widziałem jej od kilku tygodni.

- Tym gorzej. Pracujesz za darmo, nawet kiedy jej nie ma. To tylko dowodzi, jak wielką władzę ma nad tobą.

- Zrobiłbym to samo dla każdego dobrego przyjaciela.

- Naprawdę? Odkładałbyś na bok własną pracę? Całymi tygodniami? Zrobiłbyś to samo dla każdego dobrego przyjaciela?

W końcu obiecałem Sarze, że kiedy Pandora wróci z Palm Springs, przestanę jej pomagać.

Dotrzymałem słowa, ale tak naprawdę nie rozwiązało to problemu. Prawda była taka, choć wtedy nie chciałem tego przyznać, że Sara i ja od dawna mieliśmy kłopoty.

Wiedziałem dlaczego; to wszystko moja wina. Spotykaliśmy się już od ponad roku i oczekiwała, że się zadeklaruję. Miała do tego prawo.

A ja nie byłem w stanie tego zrobić. Nie, że bym o tym nie myślał, albo nie planował. Nigdy nie byłem w lepszym związku i wiedziałem, że możemy być szczęśliwi. Lecz ilekroć byłem o krok od kupna pierścionka, coś mnie powstrzymywało. Wiedziałem, że Sara się niecierpliwi. Wiedziałem, że jeśli wkrótce nie podejmę decyzji, mogę ją stracić, lecz coś, nie wiem co, tchórzostwo, skłonność do autodestrukcji, sprawiało, że zwlekałem.

W majowe popołudnie przyszedłem po Sarę od pracy i ze zdumieniem zobaczyłem tam Johna Bradshawa. Cofnąłem się, nie chciałem, żeby spieszył się na mój widok, ale od razu do mnie podszedł.

Rozmawialiśmy chwilę, pomyślałem, że dobrze wygląda. Wydawał się spokojny, w każdym razie o wiele spokojniejszy niż podczas naszej ostatniej rozmowy.

- Wybiera się pan w podróż? - zapytałem.

- Tak, zabieram córkę na Maui. Prezent urodzinowy.

- Wspaniały.

- Chyba będzie zadowolona. Chwila ciszy.

- Widuje pan Pandorę? - zapytałem.

- O, tak. Niemal codziennie zaglądam do agencji. - Widziałem to w jego twarzy, ledwie powiedziałem jej imię - nadal ją kocha.

- Co u niej?

- Dobrze. Zaskakująco dobrze, szczerze mówiąc. Nawet w obecnej sytuacji agencja prosperuje. Czasami przychodzi do mnie po radę - dodał. - To wielka satysfakcja.

Mruknąłem, mam nadzieję, bez irytacji, że z pewnością. Poruszył też temat anonimów; że było w nich jednak sporo prawdy. Zapytałem, czy Troy się odzywał.

- Nie sądzę. W każdym razie pani Brown nic o tym nie mówiła.

Uśmiechnął się bardzo oficjalnie.

- Pandora opowiadała, jak bardzo pan jej pomógł, kiedy... dochodziła do siebie... w Palm Springs. To zapewne bardzo komplikowało panu życie.

Powiedziałem jakiś banał o przyjaciółach w biedzie. Skinął głową.

- Rozważam, czy nie zainstalować nowego oprogramowania w agencji. Czy mogę prosić o pańską wizytówkę? To chyba miało być podziękowanie za to, że pomagałem Pandorze. Drażniło mnie, że to robi. Był niepotrzebnie władczy.

Pracownik biura podróży podszedł do niego z prospektami o Maui i pożegnaliśmy się.

W domu na automatycznej sekretarce czekała wiadomość od mamy -Frank Brown, ojciec Pandory, zmarł we śnie poprzedniej nocy.

Siedziałem przy biurku, otaczały mnie wspomnienia. Lemoniada na ganku. Fotel z czerwonej skóry z wytartym oparciem. Jego miękkie kapcie. Szlafrok. Niezliczone partyjki w karty. Już miałem zadzwonić do Pandory, kiedy rozległ się sygnał telefonu.

- Cześć, Gary - powiedziała.

- Już wiem - uprzedziłem ją. - Nie musisz mówić. Ale powtarzała w kółko:

- Tatuś zmarł. Tatuś zmarł. - Jakby tylko w ten sposób mogła w to uwierzyć.

Rozmawialiśmy krótko. Powiedziała, że w sobotę odbędzie się nabożeństwo żałobne i że ona i jej mama chciałyby, żebym w nim uczestniczył. Obiecałem, że przyjadę.

Wieczorem zadzwoniłem do Sary i wyjaśniłem, że jadę do Palm Springs na pogrzeb Franka Browna. Zapytała, czy chcę, żeby ze mną pojechała, i uświadomiłem sobie, że nie chcę. Te wspomnienia jej nie dotyczyły -były Pandory, jej mamy i moje. Nie czułem się na siłach zabierać jej tam, rozmawiać, żeby nie czuła się samotna, uważać na każde słowo, które powiem do Pandory. Nie, to byłoby zbyt wiele.

- Dzięki - powiedziałem - ale pojedę sam.

W piątek wieczorem pojechałem do Palm Springs, a w sobotę rano szliśmy z mamą Vella Road do Domu Pogrzebowego Weifel i Syn. Ucieszyło mnie, że parking jest pełny.

Pandora i jej mama stały z przodu. Pani Brown miała na sobie jaskrawo-czerwoną suknię - uznałem to za odważny gest. Pandora wyglądała prawie

tak jak dawniej; nie było hollywoodzkiej fryzury ani makijażu. Pocałowała mnie w policzek i powiedziała, jakie to dla niej ważne, że tu jestem.

- Sara nie przyjechała? - zapytała, rozglądając się. Co za ironia.

To było dobre nabożeństwo, o ile taka uroczystość w ogóle może być dobra. Pastor opowiadał o Franku Brownie, mówił, jaki był dobroduszny i ciepły, zawsze pogodny. Później wspominało go kilka osób - przyjaciele, sąsiedzi, dawni znajomi z Barstow. Pan Brown zawsze był taki cichy, nigdy nie wysuwał się na pierwszy plan; dobrze było usłyszeć, jak wiele miłych wspomnień po sobie zostawił. Pandora i jej mama na pewno czerpały z tego otuchę. Siedziałem za nimi. Pandora drżała. Nie mogłem tego znieść. Położyłem jej ręce na ramionach i trzymałem, póki nie przestała się trząść.

Po nabożeństwie pojechaliśmy do nich do domu. Chyba nigdy nie było w nim tylu ludzi. Pandora kręciła się nerwowo, witała gości, podawała drinki i przekąski.

Po godzinie zauważyłem, że ma mętny wzrok.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

- Nie bardzo. - Wyciągnęła do mnie rękę. - Chodź, mam coś dla ciebie. Poszliśmy korytarzem do malutkiego gabinetu jej ojca.

- Ciągle mi się wydaje, że zobaczę go w tym fotelu.

Wyjęła coś ze skórzanego puzderka na szafce i podała mi. Ulubiona spinka do krawatu Franka Browna, ta w kształcie koła sterowego.

- Zachowam ją do końca życia - obiecałem. Objęła mnie i oboje się rozplakaliśmy.

Płakałem nad Frankiem Brownem, nad Pandorą, nad sobą nad niewłaściwymi wyborami, nad przeszłością, nad tym, co na zawsze utraciliśmy. Przytuliłem ją mocniej.

- Pandoro - szepnąłem. Pochyliłem się.

I wtedy dotarła do mnie niestosowność tej sytuacji: jej ojciec nie żyje od trzech dni, a ja chcę ją pocałować.

Odsunąłem się, poklepałem ją po ramieniu. Nie patrzyłem jej w oczy. I nie myślałem o Sarze.

Wróciłem do salonu i powiedziałem mamie, że możemy już iść. Wracałem do domu wściekły na wszystko i na wszystkich - na Franka Browna za to, że umarł, na Pandorę, że niemal pozwoliła mi się pocałować, na siebie, że tego nie zrobiłem. Po południu wróciłem do Los Angeles i odsłuchiłem wiadomość na sekretarce:

Gary, tu Sara. Wpadnij do mnie, jak tylko wrócisz.



Z tonu głosu domyśliłem się, co mi powie, i miałem rację. Powiedziała, że wszystko przemyślała i że chce się ze mną rozstać.

- Chociaż bardzo cię kocham - dodała na końcu.

- Ja też cię kocham - zapewniłem szybko.

Uśmiechnęła się, pokręciła głową. r

- Nie, nie kochasz - mruknęła. - Tak naprawdę nie. Zawsze kochałeś

Pandorę. . . .

W drodze do domu kombinowałem, jak odzyskać Sarę. Poślę jej sto róż; zawrócę, oświadczę się na kolanach. Ale wiedziałem, że nie zrobię żadnej z tych rzeczy.

Zastanawiałem się, co mnie powstrzymuje.

Uznanie, że Sara miała rację nie zajęło mi dużo czasu.

Ledwie to sobie uświadomiłem, ta prawda zasłoniła mi wszystko inne. Miesiącami robiłem, co w mojej mocy, by nie myśleć o Pandorze, a teraz była tylko ona. Pandora. Pandora Brown. Jak mogłem mieć nadzieję, że się od niej uwolnię? . .

Powracały wspomnienia, o których nie myślałem od lat - partyjka mini-golfa w szkole średniej, torebka z plecionki, która nosiła, kiedy miała dwanaście lat. Przypomniało mi się wszystko, co mówiła, jak wyglądała. Śniłem, że się z nią kocham, i budziłem się odurzony zapachem jej ciała.

Ale nie robiłem nic, żadnego ruchu, żeby się z nią zobaczyć. Po co? Nadal była mężatką, nadal, jak przypuszczałem, kochała Troya. Zresztą nawet gdyby była wolna, już mieliśmy naszą szansę. Niejedną. Nigdy nam się nie udało; naiwnością byłoby liczyć, że nagle, jakimś cudem, to się uda, więc trzymałem się z daleka. Tak się złożyło, że tego lata często byłem w okolicy, czasami nawet w tym samym budynku - instalowałem nowe programy w agencji Johna Bradshawa. Lecz drzwi do jej agencji zawsze były zamknięte. Nie pukałem.

Pod koniec sierpnia spotkałem Sarę przed II Sole. Wyglądała ślicznie, miała nową, krótszą fryzurę. Był z nią mężczyzna, wysoki, szpakowaty, dobrze ubrany. Przedstawiła go jako Jima.

Wieczorem do mnie zadzwoniła. - Cieszę się, że cię spotkałam, od dawna chciałam się odezwać.

- Jak to jest z tym Jimem? zapytałam czujnie. Rozbawił ją mój ton.

- Poznałam go na degustacji wina. Jest prawnikiem.

- To coś poważnego?

- Taką mam nadzieję.

Życzyłem jej wszystkiego naj lepszego.

- A co u Pandory? - zapytała.

- Nie widziałem jej - odparłem. Zaśmiała się cicho.

- Jeszcze zobaczysz, nie martw się.

Nie spałem tej nocy. Wciąż brzmiał mi w uszach śmiech Sary. Pragnąłem Pandory gorączkowo, boleśnie.

Rano podjąłem decyzję. Muszę się z nią zobaczyć, muszę jej powiedzieć, co czuję. Nieważne, że zrobię z siebie idiotę. Nie wytrzymam tego dłużej.

Tego samego dnia otrzymałem zaproszenie. John Bradshaw zapraszał mnie na uroczyste przyjęcie w hotelu Beverly Ramin, z okazji dwudzie-stopięciolecia agencji.

Zadzwoiłem do niego, potwierdzając przybycie. Pandora na pewno też tam będzie.

W dzień przyjęcia mżyło - kapuśniaczek był wszędzie, także na moim wypożyczonym fraku, jak mokry kurz.

Przyjechałem do hotelu Beverly Ramin pół godziny za wcześnie. Przechadzałem się po foyer i czułem się bardzo nie na miejscu. Jak dla mnie to wszystko było zbyt eleganckie: portierzy w liberjach, kwartet smyczkowy, kryształowe kandelabry.

W końcu nadszedł czas. Nie miałem ochoty jechać do sali balowej windą z dziesięcioma innymi facetami we frakach, więc poszedłem schodami.

Zastanawiałem się, czy Pandora już tam jest, czy będę musiał na nią długo czekać, czy w ogóle przyjdzie.

Stała przy drzwiach, miała na sobie niebieskozieloną suknię, która mieniła się przy każdym ruchu. Wyglądała jak syrena, jak wtedy, na szkolnym balu. I była piękniejsza niż kiedykolwiek.

- Gary! - krzyknęła. Podbiegła do mnie, objęła. - Tak się cieszę, że cię widzę. Byłeś pierwszą osobą na mojej liście gości.

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło.

- Wydajecie to przyjęcie wspólnie?

- Och, nie - zbyła mnie lekko. - John po prostu chciał, żebym mu trochę pomogła.

Ja jednak pomyślałem, jak mi dziękował wtedy, w biurze podróży, że jej pomogąłem, jaką miał minę, ilekroć wypowiadał jej imię. I poczułem się nieswojo.

Obserwowałem ich uważnie. Ulżyło mi, że Pandora zachowywała się jak inni goście - nie pozowała z nim do zdjęć, nie stała koło niego. Lecz

on to co innego. Nieważne co robił, z kim rozmawiał, nie odrywał od niej oczu.

Kiedy na nią patrzył, był skupiony, niemal promienny, ale jednocześnie zaskoczony, jakby była zielononiebieską ważką, która usiadła na jego ramieniu.

Widziałem także, jak podchodził do każdego, z kim rozmawiała. Ledwie skończyła i odeszła, podchodził i zaczynał rozmowę z daną osobą-jakby to mogło mu ją przybliżyć.

To było żałosne. Żałowałem, że w ogóle przyszedłem.

Pomyślałem, że skoro już tu jestem, mogę nawiązać nowe kontakty, ale nie byłem w nastroju. Nie przyszedłem tu w interesach, tylko dla Pandory, ale nie miałem odwagi, żeby do niej podejść. Wziąłem lampkę szampana i postanowiłem, że wyjdę, kiedy wypiję.

Przy barze stała kobieta koło pięćdziesiątki. Miała na sobie złota suknię i grubą warstwę makijażu.

Stuknęła mnie w ramię.

- Johnnie jest twoim agentem?

Powiedziałem, że instalowałem panu Bradshawowi oprogramowanie i zapytałem, czy jest aktorką. Uraziłem ją.

Zaczęła wyliczać wszystkie filmy w których grała. W kółko powtarzałem, jak bardzo mi przykro, że ich nie znam.

Odwróciła się do mnie plecami i zamówiła następnego drinka.

Odstawiłem kieliszek, szykowałem się do wyjścia, gdy nagle coś się zmieniło. Nie było żadnego hałasu, żadnego ruchu, ale miałem wrażenie, że coś się stało.

Podniosłem głowę; w drzwiach stał Troy.

Wyglądał jak wtedy, na Santa Monica Boulevard: czarna skórzana kurtka, na szyi złote łańcuchy. Nie ruszał się, ale i tak oczy wszystkich skupiły się na nim. Nawet kelnerki zastygły bez ruchu. Wszystko zamarło. Patrzyliśmy na drzwi, na niego.

Uśmiechał się swobodnie, niemal arogancko. Rozglądał się po sali, póki nie zobaczył tej, której szukał.

- Pandora - powiedział.

Stała przy bocznym stoliku. Była blada jak ściana.

- Troy - szepnęła.

Nagle ktoś ją wyminął. John Bradshaw. Zaskoczyła mnie szybkość jego ruchów. Oparł ręce o framugę.

- Nie jesteś tu mile widziany - wycedził.

Troy się roześmiał. Leniwie, bezczelnie, aż przeszył mnie dreszcz. Bradshaw powiedział coś jeszcze, ciszej.

Usłyszałem odpowiedź Troya:

- Tak jest, staruchu. Bradshaw odwrócił się, wrócił do sali balowej. Wziął coś ze stołu nie widziałem co, i znowu podszedł do Troya. Nikt się nie ruszył, nikt nie próbował go powstrzymać. Zobaczyłem, że wziął nóż.

- Proszę stąd wyjść.

Na widok noża Troy znowu się roześmiał. Wyciągnął długie ręce, złapał Johna Bradshawa za klapy fraka.

- Co ty wyprawiasz, starcze?

Bradshaw zamachnął się nożem. Troy z łatwością unikał jego ciosów.

- No, jak? - kpił. - Chcesz mnie załatwić?

Bradshaw dźgał powietrze. W końcu Troy jednym ruchem wytrącił mu noz z ręki. Upadł z brzdękiem na marmurową posadzkę; żalosna zabawka

- Chodźmy, Pandoro - powiedział Troy. John Bradshaw rzucił się na niego z krzykiem.

Wcześniej nie mogłem się ruszyć, ale teraz skoczyłem do przodu. Kiedy dopadłem drzwi, byli już przy schodach, mocowali się nad balustradą z kutego żelaza. Dłonie Bradshawa na ramionach Troya; cofnął się trochę i pchnął z całej siły. Troy na moment stracił równowagę. Na jego twarzy malowało się zdumienie. A potem spadł ze schodów. Nie krzyknął, nie wydał żadnego dźwięku. Spadał niemal w zwolnionym tempie, koziółkował, przewracał się, aż znalazł się na dole. Leżał nieruchomo, z głową opartą o poręcz.

Nie wiem, kiedy skręcił kark.

Panowała cisza. Goście tłoczyli się przy drzwiach do sali balowej. Bradshaw stał na szczycie schodów.

Podszedłem do niego. Piętro niżej po wcześniejszej elegancji nie zostało siadu. Ludzie krzyczeli, wskazywali schody. Dokoła Troya gromadził się tłum.<sup>6</sup>

Pandora stanęła za mną. Patrzyła w dół. Ruszała ustami, ale mówiła tak cicho, że początkowo nie rozróżniałem słów.

- On... on... nie umiał upadać.

Dotknąłem rękawa Johna Bradshawa. Zaprowadziłem go do sali balowej, posadziłem na krześle za bufetem.

Usiadłem obok. Nikt do nas nie podchodził. Pandora obserwowała nas od drzwi, lecz tym razem Bradshaw nie był świadomy jej bliskości.

Siedzieliśmy w milczeniu do przyjazdu policji.

Niejaki porucznik Stevens zapisał sobie moje nazwisko i adres, powiedział, że będę musiał złożyć zeznania.

Siedziałem z Bradshawem, póki go nie zabrali.

## **Pandora**

Znowu nie mogłam zasnąć. Pogoda jest dziwna; duszno i szaro. Przyszło dwóch dziennikarzy, czekali, aż wyjdę z agencji. Szli za mną do samochodu, biegli, powtarzali imię Troya, Johna Bradshawa. Nie mam im nic do powiedzenia, ale i tak ciągle przychodzą.

Po południu widziałam Emmetta. Czasami spotykam go na ulicy. Zawsze odwraca wzrok na mój widok, przechodzi na drugą stronę. Nie chcę z nim rozmawiać. Nie wiem, co powiedzieć.

Staram się skupić na pracy. Wczoraj przez cały dzień sprzątałam gabinet. Znalazłam mnóstwo rzeczy wujka Gene'a - stare scenariusze, fotosy, nagrania. Nie wiem, co z tym zrobić. Dziś rano Cynthia pytała, co zamierzam zrobić z agencją. Powiedziałam, że nie wiem.

Zaczęli remont w dawnym biurze Johna. Jest bardzo głośno. Cynthię doprowadza to do szału, ale mnie nie przeszkadza wiercenie ani walenie młotkiem. Dzięki temu nie myślę.

Często sobie wyobrażam, jak zjeżdżam z autostrady i jadę do więzienia, ale nie robię tego. Brzydzę się sobą za takie tchórzostwo. Cynthia u niego była. Mówi, że jest w dobrej formie. To takie niesprawiedliwe, że odmówiono mu wyjścia za kaucją. Ale podobno ma wspaiałego prawnika, na pewno go z tego wyciągnie.

Nie czytam gazet. Trzymam się z daleka od stojaków z prasą w supermarkecie.

Dzisiaj zabrałam rzeczy wujka Gene'a i zawiozłam do ciotki Mariiynn. Dom jest taki sam. Weszłam do gabinetu.

Usiadłam w skórzanym fotelu wujka i zamknęłam oczy. Wyobraziłam sobie, co by powiedział, gdyby tu był. Chyba, że wszystko zepsułam.

Wyjaśniłam ciotce Mariiynn, że porządkowałam agencję i znalazłam coś, co może chciałaby zatrzymać. Nie spojrziała na nic, nawet nie otworzyła pudełka. Powiedziała:

- Gdybyś nie przejęła agencji, nic by się nie stało. - Zapytała, czy chcę zrezygnować. Odparłam, że nie wiem. Ale im częściej to mówię, tym bardziej przypomina to „tak”.

Przyjechała z wizytą Steph. Dobrze mi z nią. Wyglupiałyśmy się, zajmowałyśmy drobiazgami. Nie pytała, jakie mam plany, nie wspomniała słowem o agencji, Troyu czy Johnie. Ignoruje dziennikarzy, udaje, że ich nie zauważa.

Dzisiaj wyjechała. Zostawiła spinkę. Kiedy na nią patrzę, tęsknię za Steph, ale cieszę się, że znowu jestem sama. Przebywanie z innymi jest zbyt męczące.

W weekend pojechałam do Palm Springs. Mama ma się dobrze, dużo pracuje w ogrodzie. Nie rozmawiamy o tym, co się stało. Dzisiaj zasadziłyśmy tymianek i powój. Pięknie pachnie. Siedzę w ogrodzie, zamykam oczy i wdycham zapach.

Pytała, czy miałam wiadomości od Gary'ego. Powiedziałam, że nie.

- Może teraz, po tym wszystkim, wreszcie się pobierzecie. - Pękało mi serce, kiedy to mówiła. Jest jak dziecko, czeka na szczęśliwe zakończenie.

Znowu śnił mi się ten sen o Troyu. Siedzieliśmy w pustym pokoju, na kartonach. Zimny wiatr szarpał białymi zasłonami. Chciałam z nim porozmawiać, ale nie pamiętałam żadnych słów. Mogłam się tylko uśmiechać, ale miał odwróconą głowę, nie widział mnie.

Prace na górze zakończone. W agencji Johna mieści się teraz atelier fotograficzne. Poszłam tam dzisiaj. Dziwnie się czułam, znowu tam wchodząc.

Oprowadzała mnie młoda dziewczyna. Atelier jest piękne, w jasnym drewnie. Na ścianach powiększone fotografie: śluby, zakochane pary. Zmienili wszystko. Nie sposób się domyślić, że kiedyś była tu Agencja Artystyczna Johna Bradshawa.

Zapytała mnie, czy już tu byłam, czy widziałam dawny wystrój. Odparłam, że tak.

Przejeżdżałam koło cmentarza. Myślałam, czy się nie zatrzymać, ale nie zrobiłam tego. Zamiast tego wyczarowałam obraz Troya; jak wyglądał, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, dotyk jego dłoni, miękkość jego ust, kiedy spał. To jak fajerwerki. Z czasem bledną, choć staram się zatrzymać je jak najdłużej.

Dzisiaj pojechałam do więzienia. Nie myślałam, po prostu skręciłam przy Cesar Chavez i ruszyłam dół Vignes.

Zaparkowałam, weszłam. Takie drzwi mogłyby prowadzić dokądkolwiek, do biurowca, do centrum handlowego.

Podeszłam do kontuaru. Strażnik zapytał, kogo odwiedzam.

- John Bradshawa.

- A kim pani jest dla niego?

Pomyślałam o Amandzie, o tamtej kawie w Le Clafoutis.

- Córką.

Dostałam przepustkę i ruszyłam korytarzem. Kolejny strażnik stał przy zamkniętych drzwiach. Nacisnął guzik, drzwi się rozsunęły, powoli, cicho, weszłam dalej. Otworzyły się kolejne drzwi, trzeci strażnik obejrzał moją przepustkę.

Poszłam długim korytarzem i znalazłam się w dużym pomieszczeniu. Na środku była gruba szklana ściana, przed nią krzesło.

Nastawiłam się na długie czekanie - Cynthia mówiła, że czekała czterdzieści minut ale minął zaledwie kwadrans. Przyszedł. Bałam się, że będzie skuty, ale nie był. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon, ale nawet w więziennym stroju wyglądał dostojnie. Nosił go jak pizamę. Elegancką pizamę.

- Dziękuję, że przyszedłeś - zaczął. Nie powiedział, że powinnam była to zrobić już dawno.

Powiedziałam, że podobno ma świetnego prawnika. Potwierdził, sprawy są na dobrej drodze. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, za miesiąc lub dwa wyjdzie; wnieśli o kwalifikację czynu jako nieumyślne spowodowanie śmierci.

- Mam taką nadzieję.

Nie chciałam pytać, co robi, kiedy będzie wolny. Nie zamierzałam mówić mu, że widziałam atelier fotograficzne w jego dawnym biurze. Powiedział:

- Tak mi przykro, Pandoro.

Pomyślałam o Troyu. Staram się tego nie robić. Troy na plecach, wykrzywiony na marmurowej posadzce. Jego głowa oparta o poręcz.

Powiedział, że ładnie wyglądam. Rzucił to lekko, jakby zabierał mnie na przyjęcie, jakby otworzył drzwi i zobaczył mnie w wieczorowej sukni.

- Tak ładnie.

Mogłam zostać dłużej, ale wyszłam po dziesięciu minutach. Kiedy wstałam, zapytał, czy jeszcze przyjdę. Pojawił się strażnik i wyprowadził go.

Boję się zrobić krok, boję się zrobić cokolwiek. Przynoszę nieszczęście wszystkim, do których się zbliżam.

Myślę, czy nie rzucić pracy. Tylko o tym myślę; przekazać agencję Ma-rilynn, oddać klucze, zamknąć drzwi. Wrócić do Palm Springs. I wtedy przypomina mi się wujek Gene. Zawiodłam wszystkich. Przynajmniej jemu muszę być wierna.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie miałam ochoty otwierać. Tylu ludzi nie chcę widzieć. Ale pukanie nie ustawało. Lori. Nie wierzyłam własnym oczom. Objęłam ją. Zesztywniała.

- Gdzie byłeś?! - krzyknęłam. - Próbowałam cię odnaleźć. Dlaczego nie dałeś znaku życia?

Jej oczy były mętne jak zielone oliwki.

- Wszystko zniszczyłeś - powiedziała. - Od początku wiedziałam, że tak będzie.

To samo szeptał głos w mojej głowie, codziennie. Odsunęłam się. Śmierdziała, jakby mieszkała na ulicy.

- Co się z tobą działo?

- Cały czas o tobie myślę. O tym, co zrobiłeś. O ludziach, którym zniszczyłeś życie. - Uśmiechnęła się. - Przyszłam, żeby ci powiedzieć coś, o czym nie wiesz. Gene mnie pieprzył, tu, na tym dywaniku, na tym biurku.

Powiedziałam, że kłamie, ale wiedziałam, że to prawda.

- Jesteś taka jak on - rzuciła. - Żałosna. Odwróciła się i wyszła.

Gapiałam się na drzwi. Staralam się przywołać wujka Gene'a, pogodnego, radosnego wujka Gene'a, ale nie przychodził. Widziałam tylko biednego podstarzałego faceta pieprzającego na dywaniku asystentkę.

Myślałam, że straciłam już wszystkich: Gary'ego, Troya, tatę, Johna Bradshawa. A teraz po raz kolejny straciłam wujka Gene'a.

Jeżdżę bez celu, chcę, żeby odgłosy i obrazy mnie wypełniły. Obserwuję przechodniów, wszyscy mają swoje życie. Jestem jak wahadło, które się nie rusza. Zostać czy wracać, zostać czy wracać, te słowa wyznaczają granice mojego świata, a ja, bezradna, nieruchoma, tkwię pośrodku. Czekam na powiew wiatru, na znak, na cokolwiek, co wskaże mi kierunek.

Kiedy wracam do domu, dzwoni telefon.

- Słyszałaś już? - pyta mama.

- Nie.

- Dzisiaj rano spotkałam mamę Gary'ego. Jeden z jego klientów wchodzi na rynek krajowy. Chce, żeby Gary pojechał do Nowego Jorku i poprowadził mu biuro.

Nie mogę przestać płakać. Chcę do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby nie jechał. Nie zrobię tego. To czysty egoizm.

Nie mogę prosić, żeby został. Wiem, co by to oznaczało, i nie zrobię nam tego. To się nigdy nie uda, już próbowaliśmy. Oszukuję się, jeśli myślę,



że teraz będzie inaczej. Po prostu ostatnie miesiące były koszmarne i chciałam od tego uciec. A Gary zawsze stanowił bezpieczne schronienie -najbezpieczniejsze, jakie znam. To wszystko. Dlatego płaczę.

Cały czas myślę o przeszłości. Wspomnienia. Tyle lat. Jego dobroć, jego lojalność. Jego listy. Mam je wszystkie. To, jak na mnie patrzy, to, jak mnie kochał, zawsze, nawet kiedy byłam dla niego okropna, nawet kiedy wcale na to nie zasługiwałam, nawet kiedy wcale tego nie chciał. Mój

Kochany Kumpel.

Zadzwoniłam. Tylko sygnał. Przestraszyłam się, że już wyjechał, bez pożegnania. W końcu podniósł słuchawkę.

- Mogę przyjechać? - zapytałam.

Zaczął się pakować. Mieszkanie świeciło pustkami. Na toaletce było jego zdjęcie z ojcem. Stał bez ruchu. Miał na sobie koszulkę, miejscami pociemniałą od potu.

Powiedziałam:

- Podobno wyjeżdżasz do Nowego Jorku.

Skinął głową.

- Mogłeś mi powiedzieć. Wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, by miało to dla ciebie znaczenie.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale naprawdę chcesz tam jechać? Dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów, ale i tak zbliżył się o krok. Widziałam, jak poruszają się mięśnie jego ramion. Nie patrzyłam mu w twarz.

- A co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

- Wrócić do Palm Springs.

Zmusiłam się, by podnieść wzrok. Uśmiechał się. Leniwie, lekko. Troy czasami tak wyglądał.

- Prosisz mnie, żebym został?

- Tak, chyba tak.

- Cóż, Pandoro - powiedział - zrobię to tylko pod jednym warunkiem.

Jego głos drżał. Wiedziałam, co teraz powie. Nie było innej możliwości.

Położył mi dłonie na ramionach. Ich ciepło przenikało przez bluzkę.

Wyłączyłam się, mój umysł odleciał. Nagle zobaczyłam wszystko, wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch lat, jak obrazki w książeczce dla dzieci: Troy, Lori, tata, John Bradshaw, Gary, ja. Widziałam nas, jak tańczymy bezradnie, staramy się ułożyć nasze małe życia. Byliśmy tacy mali i delikatni, tacy ważni i tak kompletnie nieistotni.

Przypomniała mi się puszka Pandory, puszka, która prześladowała mnie przez całe życie. Pandora uwolniła wszystkie klęski, wszystko zepsuła. Myślała, że puszka jest pusta. Ale, wedle mitu, nie była, nie całkiem. Na dnie był jeszcze jeden skrzydlaty duch. Nadzieja.

Patrzyłam w twarz Gary'ego. Uderzyło mnie, że jej proporcje są idealne, wręcz doskonałe; od nosa do podbródka, od czoła do oczu. Dziwne, że do tej pory tego nie zauważyłam.